

0.52

CZARNEBŁOTO

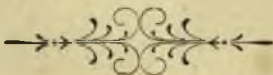
Egz. archiwalny IBL

KLEMENS JUNOSZA



CZARNEBŁOTO

(Pająki wiejskie)



**INSTYTUT
BADAŃ LITERACKICH PAN**

Biblioteka

ul. Nowy Świat Nr 72

00-000 Warszawa

Tel. 26-68-63, 26-52-81 w. 42

WARSZAWA

NAKLAD GEBETHNERA I WOLFFA

—
1895



ДОЗВОЛЕНО ЦЕНЗУРОЮ.
Варшава, 31 Мая 1894 года.

Druk Rubieszewskiego i Wrotnowskiego, Nowy-Świat 34.

1293
<http://rcin.org.pl>

ROZDZIAŁ I,

w którym mowa o misternem świecie urządzeniu, o siatce koronkowej, rozciągniętej na jego powierzchni, tudzież o niej jakim filozofie, mniej głośnym.

Jeżeli patrzymy na zegarek powierzchownie, nie widzimy nic osobliwego, cyferblat i dwie wskazówki; ale gdy otworzymy kopertę i zapuścimy wzrok do wnętrza, da nam się widzieć cała, prześliczna, delikatna maszynerya: koła, kółeczka, kawałeczki, sprężynki skombinowane, skomplikowane dziwnie, połączone ze sobą.

Każda cząstka pełni swoją czynność. Każda wykonywa ruchy, ściśle wyrachowane i określone.

Rozumie się, że człowiek zwyczajny i nieogładzony, zdatny tylko do ciężkiej pracy, do łopaty lub siekiery, nie pozna się na kunsztownej mechanice, ale zegarmistrz, okiem znawcy, zgłębi jej wszystkie tajniki.

Odnosi się to nietylko do zegarka, ale i do całego świata, który, jeżeli się głębiej zastanowimy, jest nie co innego, tylko ogromny zegarek. Biorąc to zdanie wprost, naodwrot, jeszcze raz naodwrot i w znaczeniach przenośnych, kombinując je z tem, co widzimy oczami, dotykamy rękami i czego wreszcie domyślamy się siłą naszego umysłu, przychodzimy do rezultatów zdumiewających i do wniosków takich, które człowieka, nie przyzwyczajonego do ciągłej pracy myśli, mogą przyprawić o gwałtowny ból głowy, a nawet i o gorszą słabość.

Uszer Engelman nie lękał się takiego wypadku dla dwóch powodów: przedewszystkiem był biegły w myśleniu, jako największy filozof miasteczka, powtóre zachowywał ściśle przepisy higieny umysłowej, to jest: nosił czapkę jedwabną bardzo lekką, tył głowy strzygł nader krótko, a co trzy tygodnie na karku, w tem miejscu, gdzie się głowa kończy, a szyja zaczyna, kazał stawiać sobie jedną ciętą bańkę.

Jest to znakomity i wypróbowany środek na to, ażeby głowa była zawsze zdrowa, a umysł bystry i lotny.

I to jeszcze dodać należy, że Engelman nie miał nigdy zbyt obciążonego żołądka. Jadał on raz na tydzień rzeczy pożywne, i to w niewielkiej ilości, a przez sześć dni pozostałych żywił się tylko chlebem, kartoflami, cebulą lub rzodkwią.

Może dlatego, może jeszcze dla innych przyczyn, widział on wiele rzeczy nie w takim świetle, w jakim widzą je zwyczajni ludzie i rozumiał to, co dla głów ciężkich wcale nie jest dostępnem.

Ten to człowiek usiłował przeniknąć kombinacye mechanizmu świata i nieraz całemi dniami i nocami nad tem pracował.

Dlaczegoby nie?

Przedewszystkiem miał głowę, powtóre miał dużo czasu, potrzebie lubił myśleć. W takich warunkach można kombinować swobodnie i tyle, ile się podoba.

On też kombinował.

Czasem kreślił kredą na czerwonym stole figury geometryczne i wpatrywał się w nie okiem bystrem. Ze wszystkich, jakie znał i jakie rysować umiał, najbardziej podobało mu się koło, jest ono albowiem zamknięte doskonale, samo przez się przedstawia obraz skończonej całości, a jego obwód nie posiada ani początku, ani końca.

Kombinując dalej, spostrzegł, że jeżeli z jednego punktu zakreślać koła, z początku małe, potem większe i znowuż większe, to się utworzy dużo kół, mających wspólny środek, a jeżeli nakreślać koła z różnych punktów, to się utworzy dużo kół, mających środki każde na swój rachunek i bynajmniej nie wspólne.

Zachodzi pytanie, co komu z tego przyjdzie?

Cierpliwości!

Dajmy na to, Engelman mieszka w miasteczku, które się nazywa Czarnebłoto i dajmy na to, że to miasteczko Engelman obrał sobie za centrum, za środek koła. Jeżeli rzuci okiem na wschód i na zachód, na południe i na północ, to zobaczy, że miasteczko otoczone jest płaszczyzną, wydającą się oku ludzkiemu wielkiem kołem, zakreślonym przez promień tak długi, jak daleko ludzkie oko widzi.

Cóż jest na tej płaszczyźnie, mającej dokładną formę koła? Są wioski: Olszanka, Brzozówka, Wierzbówka, Zatraceniec, Koziedołki, dwie Wole i trzy Wólki: Ciepła Wola i Zimna Wola, Biała Wólka, Kurza Wólka, Lisia Wólka. Co więcej? Są lasy, pola, łąki, stawy, rzeki, młyny, folwarki, chaty chłopskie — a środkiem tego koła jest Czarnebłoto.

Idźmy dalej.

Jeżeli Engelman pojedzie o dwie mile dalej, przypuścimy, że do swego brata, albo szwagra, gdyż posiada rozległe stosunki familijne, to znajdzie miasteczko Białebłoto, które znów dla swej okolicy będzie centrem koła, o trzy mile dalej to samo, o pięć, dziesięć, piętnaście, trzydzieści, jeszcze to samo.

— Gdyby na wielkim arkuszu papieru odmalować fizyognomię naszego świata, jego podobiznę, wziętą z lotu ptaka i gdyby oznaczyć wszystkie punkta centralne i wszystkie koła, zrobiłby się śliczny,

misterny, delikatny deseń, z samych kół i punktów skombinowany, coś w rodzaju koronki brabanckiej lub... pajęczyny. I znowuż pytanie: Do czego to prowadzi? Co znaczy deseń?

On dużo znaczy.

Wobec owej siateczki delikatnej jest fizycznym niepodobieństwem, aby jeden chociażby korczyk zboża, wymłócony w chłopskiej stodole, choćby jedno cielę, wyhodowane w oborze, choćby jedna kura, jedno jajko, mogło wydostać się z tej sieci i wyjść po za jej granice, nie zawadziwszy o jakikolwiek centr.

Owóż na tem właśnie opiera się cały finansowy i życiowo-praktyczny mechanizm, który bystrem okiem obserwuje i bada cichy filozof, Uszer Engelman.

Engelman żywi to przekonanie, że niema siły, któraby mogła rozerwać zadzierzgnięte oczka tej siatki i popsuć delikatny deseń koronki, którą pokryte jest oblicze ziemi, niby twarz pięknej oblubienicy, mającej stanąć pod baldachimem ślubnym.

Ale nareszcie: któż jest Engelman?

Powoli... Z taką osobą nie można nagle, tembardziej, że i odpowiedź na to pytanie łatwa nie jest.

Możnaby wprawdzie powiedzieć odrazu: Engelman, to jest Engelman — i byłaby to odpowiedź względnie dobra, ale zakrótka i nie mająca znaczenia dokładnej informacyi. Nie można też powie-

dzieć, że Engelman, jest to izraelita, zamieszkały w miasteczku, zwanem Czarnebłoto, bo w Czarnembłocie mieszka trzy tysiące dwieście siedmdziesięciu pięciu izraelitów, licząc w to kobiety i dzieci.

Nie można również powiedzieć, że Engelman jest kupiec lub kapitalista, gdyż handlu on nie prowadzi, a cały jego majątek, ruchomy i nieruchomy, oszacowany bardzo grubo i hojnie, wart jest, licząc w to część domu, kosztowności, meble, garderobę i bibliotekę, osmdziesiąt dwa ruble i coś kopiejek.

Trudno też powiedzieć, że jest to mąż uczony, gdyż uczonych w Czarnembłocie jest co najmniej trzystu, ale jeżeli powiemy, że Engelman jest to Uszer Engelman, tośmy powiedzieli wszystko.

Usłyszawszy to imię i nazwisko, małe dziecko emoka ustami, jak gdyby zjadło makagigę, mąż gładzi się po piersiach, jakby po wypiciu kielicha zielonej szabasówki, a kobiety wyrażają swój zachwyt westchnieniami i mówią:

— Oj, oj! to chluba całego miasta, to jest ozdoba Syonu!

Jak wygląda ozdoba Syonu?

Zaprawdę, wcale niepokaznie i niktby się nie domyślił, że wielki duch mieszka w takim marnem ciele. Ozdoba Syonu trzyma się pochyło, lewą łopatkę ma wystającą, oczy podkrążone, powieki z czerwoną obwódką, nos długi, twarz kościstą,

brodę i wąsy rzadkie, rude, przyprószone gęsto siwizną.

Tak wygląda ozdoba Syonu.

Szaty na nim nie rażą elegancją, przeciwnie, jest w nich raczej wielki urok zaniedbania.

Kapota u dołu nosi na sobie zeszłoroczne błoto, nie brak na niej łat na dziurach, ani dziur na łatach, buty są ozdobą szczątkową, pas bawełniany, czarny niegdyś, jest tak spłowiały, że najbieglejszy farbiarz nie potrafiłby nazwać jego obecnego koloru.

Słusznie powiedział o Engelmanie pewien mąż, że podobny on jest do starego i bardzo już zniszczonego futerału, zawierającego w sobie cenny klejnot. Z futerału tego skóra zupełnie oblaża, wypłwiał on, zrudział i napozór nie posiada żadnej wartości, ale proszę go otworzyć i zobaczyć, co w nim wewnątrz jest!

Wielki brylant!

Dlatego też, pomimo powierzchowności niepokążnej, Engelman przyjmowany bywa z honorami u wszystkich notablów czarnobłockich. Kupiec zbożowy, taki, co ma tysiąc rubli własnych pieniędzy w obrocie, ubiega się o jego przyjaźń; panowie kahalni zapraszają go do towarzystwa, żonę ma z wielkiej rodziny, wprawdzie nie bogatej, ale bardzo znacznej, z takiej, w której byli wielcy uczeni i rabini. Dzieci dał mu Pan Bóg siedmioro, śliczne

potomstwo! Używa on poważania i miru w całym Czarnembłocie, a słowo jego cenione jest na wagę złota.

Engelman jest obywatelem miasteczka, posiada on w jednej czwartej części szóstą część z połowy nieruchomości przy ulicy pryncypalnej, co daje mu mieszkanie w jednej połowie stancyi do wspólki ze szwagrem, a jego żonie prawo gotowania kaszy i kartofli na wspólnym kominie.

Z czego Engelman żyje?

Na to pytanie on sam nie potrafiłby odpowiedzieć.

Majątku nie posiada, dochodów stałych nie ma, niestale trafiają mu się tak rzadko, że nie ma ich co liczyć. Żona jego cokolwiek handluje i utrzymuje dom — sam zaś Engelman, pogrążony w kombinacjach wyższych, nie zajmuje się tak pospolitymi kwestyami, jak to, co jego dzieci dziś lub jutro jeść będą.

Dzięki takiemu odosobnieniu się od spraw prywatnych, Engelman zrobił kilka znakomitych odkryć, pomiędzy innymi to, że nie masz takiej wioski, do której nie prowadziłaby droga przez miasteczko, ani takiego miasteczka, do którego droga nie wiodłaby przez wioskę; że zaś we wsiach mieszkają chłopci i szlachta, a w miasteczkach żydowie, a na świecie panuje ciągły ruch, więc jedni o drugich nieustannie ocierać się muszą, a na ta-

kiem wzajemnem ocieraniu się polega cały mechanizm świata.

Jeżeli owca przechodzi przez gęste krzaki, na każdym pozostawia trochę wełny; dla owcy strata nieduża, a ptaki mają z tego poślanie do gniazd; jeżeli chłop wiezie zboże w starym worku, to zboże sypie się po drodze; chłopu niewielka strata, a ptaki mają z tego pożywienie; jeżeli wieś ociera się o miasteczko, zawsze coś przy miasteczku pozostaje; wsi niewielka strata, a miasteczko ma z tego życie.

Tak wygląda, tak myśli i takie ma zdanie Uszer Engelman, filozof z Czarnegoblota.

Świat o nim nie wie, ale on wie o świecie; świat o nim nie myśli, ale on przy myśleniu o świecie posiwiał; świat go nie zna, ale on zbadał całą jego mechanikę.

ROZDZIAŁ II.

Przebudzenie się lwa, krótkie objaśnienie geologiczne, oraz słówko o moralności czterdziestodwuprocentowej.

Piszący te słowa mniema, że nie popełni czynu karygodnego, jeżeli zaraz z miejsca odwróci ten rozdział na drugą stronę i zanim zacznie mówić o lwie, skreśli mały traktacik geologiczny.

Wiele rzeczy na tym świecie zaczyna się od końca, a wiele też jest i takich, które mają dwa końce i tem samem zaczynają się nie wiadomo skąd.

Nie gdzieindziej to przecie, ale w sławnem i bogobojnem mieście Czarnembłocie, wiedli dwaj uczeni spór naukowy, na temat: z kąd się zaczyna ryba? od głowy, czy też od ogona?

Obadwaj mędracy przedstawiali argumenta i dowody równej siły, na skutek tego dysputa nie mogła być rozstrzygnięta inaczej, jak przez arbitra, któremu pod względem nauki i jedna i druga strona przyznawały wyższą kompetencyę.

Wezwany, bacznie wysłuchał o co idzie i przez długą chwilę zastanawiał się głęboko, patrząc na przedmiot sporu, leżący na półmisku, następnie wziął z ryby co największe dzwonko, zjadł je, piwem popił i rzekł:

— Nie zaprzeczycie, dobrzy ludzie, że ta ryba, jeszcze przed kwadransem cała, jest już obecnie zaczęta, niechże teraz pouczą was własne wasze żrennice, zkąd zaczęta została. Cokolwiekbyście chcieli- byście zarzucić mojej metodzie, fakt przecież jest faktem i obecnie możecie już, bez żadnej pomocy, dojść, na czym się ryba skończy: na głowie, na ogonie, czy na drugim dzwonku?

Ten spór, o którym dużo swego czasu myślał i opowiadał Uszer Engelman, do dzisiejszego dnia jeszcze zajmuje umysły poważnych obywateli Czarne- błota i dzieli ich na dwa stronnictwa: partyę głowy i partyę ogona; orzeczenie bowiem arbitra zyskało tylko aprobatę ze strony prostaków i żar- łoków, ale nie dostąpiło honoru uznania przez my- ślicieli prawdziwych i głębokich.

Również nierozstrzygniętą i do dziś dnia otwar- tą pozostaje druga kwestya: zkąd się zaczęło mia- sto Czarnebłoto.

Ani tradycya starożytnych rodów, ani pomniki piśmiennictwa, nie rzucają na to pytanie dostatecz- nego światła, a właściwie mówiąc, nie rzucają nic, ani jednego promyka.

Monumenta zasłużonych ludzi na kirkucie, zrobione z balików drewnianych, spróchniały lub też zgniły na szczęt i nie się z nich dowiedzieć nie można; starożytnych budowli w Czarnembłocie niema, gdyż miasto co lat kilkanaście peryodycznie dotykane bywa klęską ognia.

Istniała przed laty stara bóżnica modrzewiowa, lecz i tej niema już dzisiaj, bo starszyzna miejska marzyła o murach i drewniana rudera, jak gdyby dogadzając tym marzeniom, nie robiła żadnej opozycji i dała się pożreć płomieniom.

Z powodu marnej świeczki łojowej, nie zagaszanej w swoim czasie, powstał piękny gmach muryrowany i malowany na żółto.

Uczeni zastanawiali się nad początkiem miasta, ale nie mogli wyjść z zaczarowanego koła domysłów i przypuszczeń, bo poważnych faktów i pozytywnych dowodów nie mieli, a to ich zastanawiało najbardziej, że domy, stawiane zaledwie przed kilkunastoma laty, zagłębiały się coraz bardziej w ziemię.

Niektóre schowały się w nią z podwalinami, inne małemi oknami dotykały prawie powierzchni gruntu, zaś starzy ludzie pamiętali, że za ich młodych lat wzgórze, na którym miasto się wznosi, było znacznie mniej wypukłe, niż obecnie.

Ten fakt dawał wiele do myślenia. Jeżeli wzgórze coraz bardziej wyniosłe się robi i, że się tak

wyrazimy, rośnie w górę i jeżeli ten postępowy wzrost nie ustanie, to oczywiście z czasem gród się wzniesie.

Owszem, niech się wznosi, ale w innem znaczeniu, w rozumieniu zaś zwykłym, niech nie rośnie zbyt szybko — bo i tak wjazd, zwłaszcza jesienią i na wiosnę, jest bardzo ciężki.

Żyje w pamięci obywateli przygoda Jankła Basa, kupca, który sprowadzał w październiku sześć kuf okowity do składu. Wozy ugrzęzły pod górą i nie było sposobu ich wyciągnąć, pomimo, że nie żałowano chłopom wódki, a wołom batów. Trzeba było przelewać kosztowny towar w inne, mniejsze beczki i czynić to na ulicy. Jankiel kilka garnicy okowity przy tem stracił, a dzierżawca z Ciepłej Woli, od którego ona pochodziła, był tak hardy, że nie chciał tej straty wynagrodzić.

Słusznie powiedziano, że bezczelność ludzka jest jak Ocean i wcale nie ma granic.

Najniespodziewaniej zdarzył się wypadek, który aczkolwiek daty początku miasteczka nie wskazał, pozwolił jednak wywnioskować, że jest ono bardzo starożytne i od dawnych czasów zamieszkane było przez Izraelitów.

Na przedstawienie pana burmistrza, polecono wykopać w mieście nową studnię, iżby Czarnebłoto posiadało wodę na potrzeby obywateli, oraz na wypadek pożaru.

Sprowadzono ludzi biegłych i przystąpiono do roboty.

Takie wydarzenie ważne dla miasta nie trafia się codziennie, a że mieszkańcy mieli, jak zresztą i dotychczas mają, dużo ciekawości, a jeszcze więcej wolnego czasu, przeto po całych dniach przypatrywali się czynności kopania i baczny wzrokiem badali pokłady gruntu, w głąb którego stopniowo coraz niżej dostawali się kopacze.

Nietylko kobiety i dzieci, ale poważni ludzie, kupcy, kapitaliści i uczeni, patrzyli w ziemię pilnie, jak gdyby przeczuwając, że dzieje rodzinnego ich miasta wyjaśnione do pewnego stopnia zostaną.

Nad wielkim dołem godzinami całymi stali i patrzyli tacy notable, jak bogaty kupiec Jankiel Bas, wielki aferzysta Dawid Śliwka, uczony Uszer Engelman i wielu innych, co najwybitniejszych, mężów.

— Szczególna rzecz — rzekł Jankiel — jak ziemia, na której stoi nasze miasto, nie jest podobna do innych gatunków ziemi. Nie po raz pierwszy zdarza mi się być przy kopaniu studni, ale gdziekolwiek taką czynność widziałem, gatunek ziemi nie był taki, jak ten.

— Cóż osobliwego w nim widzicie? — zapytał Dawid Śliwka.

— Co?

— Tak, tak, co osobliwego? Ziemia jest ziemia.

— Przepraszam was, handlując okowitą, zbo-

zem, wełną, zwiedziłem świat na kilka mil dokoła, z czego zresztą próżnej chwały nie szukam—i miałem przytem sposobność oglądania różnych gatunków ziemi i rozmawiania z ludźmi, którzy się na niej znają. Otóż wiem dokładnie; bywa glina, bywa piasek, bywa czarna ziemia, tak, jak w Zatrąceńcu naprzykład pole czarne; ale to, co my widzimy, nie jest ani gliną, ani piaskiem, ani czarną ziemią. Cóż więc jest?

Engelman głos zabrał.

— Ja wam powiem—rzekł—puściłem w ruch myśl moją i nie napróżno. To wcale nie jest ziemia.

— Więc cóż?

— Co jest?—dorzucił Dawid.

— To są najprawdziwsze śmiecie.

— Śmiecie?

— Przypatrzcie się tylko uważnie. W głębokości dwóch łokci kopacze natrafili na szczątki starej miotły, która jeszcze nie zdążyła zgnieć. Zdaje się, że nie potrzebuję dodawać, iż miotła jest dowodem obecności śmieci.

— Uszer słusznie mówi—rzekł Jankiel Bas.

— Uważajcie dalej, tu widzę blaszane pudełko od sardynek.

— To jest głupstwo.

— Nie, to dowód. Dzieci bawią się takimi pudełkami.

— Więc co?

— Któż wie? Jeżeli weźmiemy na uwagę głębokość, w jakiej to pudełko znaleziono, to łatwo przyjść do wniosku, że mogło ono służyć do zabawy naszym ojcom, a może nawet naszym dziadkom.

— Oby dla zasług swoich używali szczęścia w raju!

— Oby używali!... Chciejcie mi wierzyć, panowie, że w tym wypadku śmiecie do pewnego stopnia znaczą tyle, co nieprzysłowiając, mądra książka.

— Nie plamcie ust waszych bluźnierstwem.

— A wy nie bądźcie popędliwi i zbyt pohopni w sądzie, bo wyrzeczecie głupie zdanie. Ja nie powiedziałem: nabożna książka, tylko mądra książka; powtóre, dla bezpieczeństwa i od wszelkiego wypadku, dodałem: „nieprzysłowiając,“ a dlaczego ja tak powiedziałem, zaraz wytłómaczę.

— Bardzo jesteśmy ciekawi.

— Jeżeli przewracasz karty książki, to możesz w nich wyczytać, co było; jeżeli zaczniesz pilnie rozgrzebywać śmiecie, również dowiedzieć się możesz, z kąd one się wzięły.

— Eh! eh!

— Za pozwoleniem, śmiecie też mają mowę; nie jest ona, jak mowa ludzka, nie jest jako pismo, ale jest mowa. Patrzcie uważnie, ile ta studnia ma już głębokości.

— Może sążeń...

— Może trochę więcej — dodał Dawid.

— A ile potrzeba pokoleń, żeby wytworzyć sążeń śmieci?

— Jeżeli duża familia — rzekł Dawid po długim namyśle — to, podług mego rozumienia, przez rok zrobi więcej, niż sążeń kubiczny śmieci... Mówię to z praktyki.

— Bardzo wam wierzę — odparł Engelman — ale tu idzie o pokład, o te stwardniałe śmiecie, w których można już kopać, jak w ziemi.

— Aj! — zawołał Dawid — ja już rozumiem! Nasz dom, ten dom, w którym ja mieszkam z moją familią, stawiał dziadek, a ten dom dopiero na jaki łokieć wrósł w ziemię — to znaczy, że na sążeń potrzeba trzech dziadków!

— Jesteście bliscy prawdy i mówicie pięknie. Otóż, wielce szanowni, patrzcie i podziwiajcie. W tej chwili z głębokości sążniowej rydel robotnika wyrzucił wcale dobrze zachowane szczątki wielkiego pantofla. Nie zaprzeczycie zapewne, że jest to niezbity dowód, że przed trzema dziadkami nasze miasto było już izraelskie i nabożne, albowiem ludzie innej wiary chodzą bądź to boso, bądź też w butach, a jedyny, oprócz żydów, człowiek w miasteczku, który używa pantofli, to jest aptekarz, nosi aksamitne i wyszywane jedwabiem. Takie nie wytrzymałyby w ziemi nawet pół roku. Ten pantofel, którego szczątki przed sobą widzimy, jest

aktualnie żydowski i to żadnej wątpliwości nie ulega. Obecność zaś jego dowodzi, że ziemia, na której miasto się wznosi, od wieków jest nasza, że na niej kwitnęła nabożność, krzewiła się mądrość i że Czarnebłoto od wieków było Czarnemblem, twierdzą mocną, panującą nad wszelkimi okolicznymi wioskami.

Jankiel, słuchając wywodów Engelmana, trącał nieznacznie Dawida w bok i mówił:

— Uważaj, uważaj!

Dawid cmokał ustami i był zachwycony domyślnością i bystrym umysłem filozofa.

Codziennie przychodzili ci trzej notable, aby patrzeć na postęp budowy studni i codziennie bardziej i silniej utwierdzali się w przekonaniu, że Czarnebłoto jest niezmiernie starożytne i niezmiernie żydowskie, że tworzyło ono się tak, jak się tworzy góra potężna, że panowało nad okolicą niby wieża wysoka, albo twierdza mocna, że było punktem centralnym swego koła, węzłem licznych nici, splątanych doskonale, w których sieci misternej znajdowały się wszystkie wioski od Wierzbówki do Zatracańca, od Olszanki do Kurzej Wólki.

Sześć sążni kopano, zanim natrafiono na źródło; chwilami była obawa, że cała praca pójdzie na marne i że upragniona przez mieszkańców woda nie tryśnie.

Na szczęście, trysnęła i to tak obficie, że robot-

nicy ledwie po rusztowaniu i cembrowaniu uciec przed nią zdołali.

Woda zimna, czysta, dobyła się ze znacznej głębokości i wyrzuciła na powierzchnię ziemi ogromnych rozmiarów pantofel.

To już był najwymowniejszy i najbardziej przekonujący dowód wielkiej starożytności miasta, dowód, który jego mieszkańców napęlił słusznie dumą i podniósł ich o całe niebo wyżej w przekonaniu własnem.

Teraz możemy zobaczyć, jak wygląda śpiący lew.

Ślicznie wygląda.

Lew, gdy śpi, ma pazury ukryte, paszczę zamkniętą, opiera głowę na łapie, a przyjemny wietrzyk chłodzi go i porusza lekko jego wspaniałą grzywę.

Piękny jest widok lwa uśpionego, leży on nieruchomo, siła jego spoczywa. Mysz może przebiegać koło niego bezkarnie, a marna mucha siada na jego kudłach tak bezpiecznie, jak gdyby to nie była lwia grzywa, lecz zwyczajna, sierścią pospolitych bydłał wypchana kanapa.

Miasteczko Czarnebłoto w tem jest do lwa podobne, że usypia i budzi się, jak on.

„Jak lew pomiędzy zwierzętami, tak ty, o miasto moje, wśród wiosek“ — śpiewał swojego czasu poeta, a gdy gruby jakiś człowiek zarzucał, że

w porównaniu jest zawiele honoru, Uszer Engelman stanął w obronie poety i przyznał, że w istocie zawiele jest honoru... dla lwa.

Jest dzień lipcowy, święto, godzina czwarta po południu, deszcz pada.

Na ulicach miasteczka cisza grobowa, na rynku ani żywego ducha. Sklepy pozamykane, okna prawie wszystkie zasłonięte.

Wychudzona koza przechadza się po rynku, kot zgłodniały czatuje na wróble. I taka cisza, taki spokój bezwzględny trwa prawie do wieczora.

Deszcz ustał, wiatr chmury rozpuścił, zachodzące słońce zalewa miasto światłem złocistym i oto, tu i owdzie, otwierają się drzwi domostw, ukazują się mężowie, niewiasty i dzieci; tu i owdzie otwiera się okienko i dolatuje z niego odgłos pieśni.

Ale jacy to mężowie, jakie niewiasty, jakie dzieci, jakie pieśni!

Język ludzki tego nie opowie, pióro nie opisze.

Każdy prawie mąż w atlasowej kapocie, każda prawie niewiasta w jedwabiach, Przechodzone to i łatanie miejscami racimory, trochę już utraciły świeżość, ale racimory! A jakie czapki futrzane, z tchórzów, z kun, z lisów, z soboli — a jakie kosztowności na niewiastach! Jakie perły, jakie złoto, jakie brylanty!

Coraz częściej drzwi skrzypią, coraz nowe,

wspaniałe, jeszcze wspanialsze postacie wychodzą na ulice, na rynek i powoli, majestatycznym krokiem, spuszcza ją się ze wzgórzka, na którym stoi miasto, na równinę, nad rzeczkę, gdzie się zwykle co tydzień, letnią porą, taka parada odbywa.

Miał słusność poeta, mówiąc, że lew się pięknie budzi; ślicznie on wygląda, gdy otworzy jedno oko, piękniej, gdy oba.

A jak przytem mruczy rozkosznie!

Nie jest to groźny ryk, rozlegający się na puszczy, ale łagodne mruczenie, wyraz błogości po wypoczynku i po śnie pełnym widzeń przyjemnych.

Z otwartych okienek płyną pieśni rzewne, smutne, albo radosne, szumrzą niby toczące się po kamienistym łożysku strumienie, a spacerującym nad rzeką mężom słusznie wydawać się może, że te strumyki zlały się już w jedną rzekę dużą, której fale pluszczą zgodnie, wydając harmonijne szmery.

I cieszą się mężowie, gładzą brody, podchwytyją takt i jak który może, tenorem, basem, falsetem, dorzucają swoje własne trojaki do tego wielkiego kapitału harmonii.

Niewiasty, słysząc to, przymrużają oczy z zachwyty, a ustami wyrabiają takie grymasy i cmoktania, jak gdyby jadły placki figowe z miodem, rajskie jabłka, lub gęsi smalec z chlebem.

Ale oto już słońce złotą głowę ku spoczynkowi

skłania, już mu i poczerwieniało jasne oblicze, niby porządnemu obywatelowi po spożyciu dobrej szabasowej kolacyi i wypiciu wielkiej butli koszerne-
go wina. Wietrzyk letni, niby „miszures“ usłużny, nakrył je ogromną pierzyną z lekkiej chmury — i oto już drzemie ono, już tonie zupełnie w betach... już śpi.

Na wysokościach niebieskich zapalają się gwiazdki, na ziemi zaś świeczki łojowe i kopzące lampki.

Ustają pieśni i marzenia, twarda rzeczywistość w prawa swoje wstępuje. Jankiel Bas, który jeszcze przed chwilą o cudnych krajobrazach dalekiego Wschodu marzył, osadził swego ducha na miejscu i duch ten, niby duch-orzeł na potężnych skrzydłach, bystrym lotem z nad Jordanu wpadł do olszanieckiej gorzelni.

Duch Dawida Śliwki, który dopiero co na wyżynach Libanu myszkował, w jednej sekundzie wpadł pomiędzy stada chłopskich gęsi na pastwisku w Zatraceńcu i już tam jest, już je ogląda, już ich wartość targową ocenia.

I inne duchy, niby duchy-lwy, z po nad wód babilońskich, z pod Jerycha lub Damaszku, wpadły między Wole i Wólki... duchy odświeżone, wypoczęte, silne...

Racimory, atłasy, czapki futrzane, klejnoty powracają z nad rzeczki, pnąc się po pochyłości

wzgórza, utworzonego z pokładów śmieci, zsypanych i ubitych przez wiele pokoleń, rozdzielają się na grupy drobne, coraz drobniejsze, od grup odpadają jednostki i wszystko chowa się w niskich drzwiach domów drewnianych.

Otwierają się szynkownie i sklepy; we wnętrzach ich, oświetlonych naftowymi lampkami, rysują się postacie kobiece i męskie, a we wszystkich głowach teraz mieszka, wszystkie serca napęśnia, na wszystkich ustach teraz błądzi, jeden tylko wyraz:

— Początek, dobry początek!

Wielki, piękny wyraz, z którego idzie wszystko dobre; dobry początek, to połowa interesu, to dobra nadzieja, otucha, zachęta, to pewność niemal, że wszystkie zamiary udadzą się jak najpomyślniej...

Okienka błyszczą światłem dogorywających łójówek, niby wielkie szare koty ślepiami; ciemność zapada zupełna, noc obejmuje panowanie nad światem.

Tu i owdzie uczony jeszcze nad książką się kiwa; tam praktyczny i światowy człowiek rachunki przegląda lub się do drogi szykuje; kobiety z wielkim krzykiem dziatwę zapędzają do snu, gdyż rade jeszcze na progach do gawędy z sąsiadkami zasiąść — wypowiedzieć wszystko, co na sercu mają, uzalić się na dolegliwości fizyczne i moralne, na

drożyznę gęsiego smalcu i kartofli, na skąpstwo mężów, na wszystko, co najgorsze w życiu.

Posiadały na progach, niby kwoki na grzędach, i gdaczą, radzą, przerywając sobie nawzajem to westchnieniem, to śmiechem, przekleństwem na wrogów, albo ostrym, gryzącym dowcipem.

Radzą długo, gdyż po święcie nikt wcześniej spać nie chodzi, a umysł, wywczasowany i wypoczęty w dzień, potrzebuje ruchu. Umysł, a cóż dopiero język niewiast czarnobłockich, który nie nawidzi spoczynku, i niby woda spływających z wysokiej góry potoków, musi być w ciągłym i nieustannym ruchu.

Skrzypią żałośnie drzwi stajen, stękają wychudzone szkapy i kręcą łbami, widząc, że im chomonta chcą na karki pakować.

We wszystkich kierunkach z pochyłości wzgórza, na wschód i na zachód, na południe i na północ, staczają się biedki dwukołowe, a ktoby się umiał wsłuchać dobrze w ciszę nocną, ktoby wszystkie jej szmery ułoić potrafił — posłyszałby w różnych stronach, w wioskach, tonących w ciemności, zawzięte ujadanie kundli wiejskich.

Te psy ogłaszają ludziom, że się lew uśpiony przebudził i że biegnie, szukając kogoby pożarł.

Już północ — światelka gasną, sejmy kobiece na progach skończone, tylko w jednym domku

i w jednym szynku świeci się jeszcze. Tam czuwają.

Czuwa też i Engelman, gdyż wyspał się doskonale w dzień i teraz na przyzbie przed domem usiadłszy, fajkę pali, wodze myślom puszcza i kombinuje.

On wie, co znaczą te dwa światła, dlaczego nie gasną one, chociaż jest noc, a tem samem nie ma prawdopodobieństwa, że nagle ktoś obudzi się ze snu i przyjdzie do szynkarza wódki kupić, lub do tamtego drugiego przyjemny dyskurs z nim prowadzi.

Engelman wie, że zarówno szynkarz, jak i ów drugi obywatel, nie są uczeni kabaliści, żeby mieli noce na rozmyślaniu przepędzać i to wie także, że zarówno jeden, jak i drugi, nie należą do rzędu rozrzutników i nie wypaliliby nafty napróżno. Wie, że to światło się pali i palić się musi dla takich interesów, które słońca nie znoszą.

Nie jest to nadzwyczaj pięknie, nie jest bardzo pięknie, ale cóż robić?

Ten, który pali światło w nocy, potrzebuje żyć — i ten, co przy słońcu handlować nie lubi, także „potrzebuje żyć“ — a w tych dwóch wyrazach leży najgłówniejsza przyczyna wielu zjawisk życiowych, napozór dziwnych i niezrozumiałych, ale w gruncie rzeczy tak naturalnych, jak to, że słońce świeci w dzień, a gwiazdy w nocy.



Owóż, jeżeli w procesie myślenia nad tą mianowicie sprawą wyruszymy z tego punktu widzenia, to możemy w wywodach zajechać niezmiernie daleko.

Engelman tak też czyni; siedzi na progu izby i kombinuje :

— Czysta moralność, jest to niby czysty spirytus, chociaż i to wątpliwe, bo czystego spirytusu nie ma, najwyżej jest 96°, 97° — ja też myślę, że i czysta moralność nie trzyma wyższej próby, a jeżeli trzyma, to chyba jakaś apteczna, nadzwyczajna i w ogóle bardzo rzadko pojawiająca się w codziennym handlu.

I dalej :

— Ja myślę, że mądre zdanie, mówiące, że człowiek „potrzebuje żyć“, jest to zwyczajna woda. Tania rzecz, ale niezbędna dla każdej istoty stworzonej, a zwłaszcza dla człowieka.

Opierając się na tych dwóch porównaniach, możemy oznaczyć dokładnie stopień moralności. Weźmy na przykład owego szynkarza, który pomimo spóźnionej pory, pali lampę w swojej brudnej szynkowni.

Czy on jest człowiek moralny? Trochę jest, cokolwiek jest, a nawet dużo jest, jeżeli sądzić będziemy bezstronnie. On się modli, on obserwuje święta, on w życiu swoim nie jadł trefnego po-

karmu, on zachowuje wszelkie prawa i przepisy, obowiązujące żyda.

Względem swojej żony i dzieci nie jest zły. Daje im pożywienie, odziewa ich, posyła chłopców do szkoły, słowem, czyni to, co każdy porządny i uczciwy ojciec. Jest to moralność, jeżeli nie tak bezwzględnie czysta i mocna, jak bezwodny spirytus, to przynajmniej, jak dobra okowita na 78°.

Weźmy teraz tego samego szynkarza z drugiej strony.

Czy on jest niemoralny? Cokolwiek jest. On przez całą noc pali lampę, do niego przychodzą ludzie nie lubiący słońca, przynoszą mu różne rzeczy i sprzedają tanio — to wszystko prawda. I to prawda, chociaż mówić o tem głośno nie wypada, że te rzeczy są kradzione, ale... „każdy człowiek potrzebuje żyć.“

Jeżeli wodę tej maksymy zmieszamy z okowitą moralności, jeżeli wstrząśniemy je dobrze w naczyniu naszego myślenia, a potem zbadamy za pomocą próby, to się pokaże jasno, że moralność owego szynkarza pod względem mocy równa się zwyczajnej, średniej wódce. Czterdzieści, może czterdzieści dwa stopnie.

Czy taka moralność nie ma już żadnej wartości?

Stanowczo ma i jeżeliby ją można sprzedawać na garnce, to ludzie płaciliby za nią tyle w stosun-

ku do czystej moralności, ile się płaci za wódkę 42% w stosunku do czystego spirytusu.

Engelman rozmyśla dalej i przychodzi do wniosku, że człowiek, w którym jest chociażby bardzo maleńka odrobina dobrego, nie może być nazwany bezwarunkowo złym.

Oto teraz naprzykład, wśród ciszy nocnej, słychać ciężkie kroki. Ktoś idzie.

Niech sobie idzie!

Sylwetka jego zarysowała się w świetle lampki, płonącej w szynku na oknie i widać, że jest to barczysty człowiek, dźwigający worek na ramionach. Worek ciężki, zapewne ze zbożem, bo chłop ugina się pod jego brzemieniem.

Wszedł do szynku i światelko natychmiast zagasło, a właściwie nie zagasło, lecz przeniesione zostało przez gospodarza do drugiej izby, której okna na podwórko wychodzą.

Co się tam robi? Cóż nam do tego? Niech się robi co chce: ludzie potrzebują żyć.

Świt zastał jeszcze filozofa na ławce przed domem, zastał go pogrążonego w dumaniach o moralności i o misternem urządzeniu świata, w którym się wszystko wiąże, płacze, kombinuje i wikła.

ROZDZIAŁ III,

*opisujący oberżę pod „Zielonym łabędziem“, panią
Matkę Fisch, tudzież pewien rodzaj flirtu
handlowego.*

Są pewne nieprawdy, uznane powszechnie za prawdy niewzruszone i nieulegające zaprzeczeniu. Oberża w Czarnemłocie „pod Zielonym łabędziem“ była właśnie taką nieprawdą.

Dzierżawcy, drobna szlachta, koloniści, włościanie z całej okolicy, znali doskonale ten dom, w którym przy każdej bytności sporo zostawiali pieniędzy, ale „Zielonego łabędzia“ nikt, jako żywo, na oczy swoje nie widział.

Nie widzieli go też ani żydzi czarnomłoccy, ani sama właścicielka, ani jej mąż i nie przychodziło im nigdy na myśl zapytać, skąd się wzięła ta nazwa? Który z przodków taki herb osobliwy dla domu wymyślił?

Co prawda, niewiele im zależało na posiadaniu owej wiadomości. Białe łabędź, czerwony, czy pstry, wszystko to jedno w gruncie rzeczy — byle handel szedł — a handel szedł doskonale.

Jeżeli Czarnebłoto było centralnym punktem interesów okolicy, to oberża „pod Zielonym łabędziem“ była centralnym punktem Czarnebłota, była ona sercem tego wielkiego organizmu handlowego. W dnie targowe, jarmarczne, świąteczne, bywał tu zjazd duży.

W paradnej stancyi gromadziło się wyższe towarzystwo: dzierżawcy, rządcy folwarków; w średniej drobna szlachta i ekonomowie, a w wielkiej izbie narożnej, która się niczem od zwyczajnej nie różniła szynkowni, pospolity naród — chłopci.

Oberża podobna była do wielkiego pociągu pasażerskiego, podzielonego na klasy.

Pierwsza, urządzona z przepychem, umeblowana była staremi, ale wyściełanymi gratami; na środku stał stół jesionowy z klapami, politurowany onego czasu, a przy ścianach kilka stolików, bejcowanych na czerwono.

Nad kanapą wisiało lustro, tak popstrzone przez muchy i taką grubą warstwą kurzu pokryte, że już czynności swych na żaden sposób spełniać nie mogło. Były też obrazy poczerniałe, popękane, może niegdyś ładne, może po jakim amatorze zbieraczu pozostałe, lecz zniszczone zupełnie, tak, że mogły

uchodzić za arcydzieła bardzo starożytne, pokryte pleśnią wieków.

W tym salonie przyjmowała gości sama pani Małka i tu obrabiano najgrubsze interesa.

W drugiej klasie były krzeselka wyplatane i stoliki pokryte czerwonymi serwetami, w trzeciej tylko proste ławy przy ścianach i dwa zwyczajne stoły sosnowe na koziołkach.

Ma się rozumieć, że i towar i trunki także się na klasy dzieliły.

W pierwszej nieraz zjawiało się na stole wino i porter, marynata ze szczupaka, sardynki i inne delikatesy; w drugiej arak, piwo bawarskie, marynowane śledzie; w trzeciej siwucha zwyczajna, pieprzem, wapnem i tytoniem zaprawna, żeby chłop czuł przynajmniej, że coś wypił i żeby miał po czem spluć.

Pani Małka miała oko na wszystko i na wszystkich, a prowadziła interesa doskonale. U niej w oberży i w sklepie wytworzył się punkt centralny wszystkich interesów okolicy, a wpływ miała tak znaczny, że nawet Jankiel Bas i Dawid Śliwka musieli się z nią liczyć.

Sam pan Fisch, zacny Mojsie Fisch, znaczył tyle, co przeszłoroczny mróz względem tegorocznej wody, czyli, krócej mówiąc, nie znaczył nic i całym jego zadaniem było słuchać żony i robić, co ona każe.

Tak to się zaraz od pierwszych dni pożycia małżeńskiego ułożyło. Pani Małka pochodziła ze znacznej rodziny, z dalekiego miasta, odległego dziesięć mil od Czarnegołota.

Wyszła za mąż za Mojsia, bo tak rodzice kazali, bo Mojsie miał sławę uczonego i nabożnego kawalera, pochodził także z arystokracji, a majątek, jaki do wspólni małżeńskiej wkładał, wynosił około sześciuset rubli.

Pod względem powierzchowności, para ta przedstawiała rażąco kontrast. On był niepozorny, chudy, zgarbiony, oblicze podobne miał do karty staro-pargaminu, bródkę do kępki trawy, zrudziałej na słotach jesiennych; Małka natomiast była kobieta, co się zowie piękna, a jeżeli dzierzawca z Zatraceńca wspominał nieraz o róży z Saronu, to dlatego, że sądził, iż Małka jest właśnie do takiej róży podobna.

Wiedziała o tem piękna kupcowa doskonale i wiedziała także, iż uroda w takim interesie, jak oberża, gdzie dużo panów bywa, nic a nic nie przeszkadza, ale owszem, w pewnych razach pomaga.

Ubierała się też elegancko, nie dotykała takich towarów, które mogłyby poplamić jej ręce i umiała w razie potrzeby „robić oko“ i być bardzo uprzejmą dla gości. Był to flirt niewinny, czysto handlowej natury i pan Mojsie Fisch, chociaż był z na-

tury wielki zazdrośnik, uznawał jednak praktyczność tego flirtu.

Wiedział doskonale z ksiązek i z tradycyi, że bywały liczne dowody, co może zrobić ładna kobieta, choćby tylko przypomnieć dwie Esterki i Judytę. Historia uczy, że obie te panienki i trzecia wdówka miały oczy bardzo piękne, a władały nimi nader zręcznie; spojrzenia ich miały blask piorunu i zarazem słodycz miodu.

Skoro pani Małka posiadała także piękne oczy i także dzielnie władać nimi potrafiła, to pytanie, dlaczego nie miała robić z nich użytku?

Nie leżało w jej intencjach ucinanie głowy Holofernesowi, przedewszystkiem dla braku Holofernesa, a powtóre, z przyczyny, że taki interes grozi kryminalnym procesem — ale zawracać głowę, choćby młodemu dzierżawcy z Zatraceńca, umiała doskonale.

To nie jest bez znaczenia. Wie Jankiel Bas, że można od tego dzierżawcy taniej kupić zboże pod „Zielonym łabędziem“ w obecności Małki, niż pertraktując interes na cztery oczy w Zatraceńcu.

Jankiel Bas ma to do siebie, że jest człowiek sprawiedliwy — a nie jest głupi — rozumie dobrze, że ręka rękę myje, to też od wszelkich tranzakcyj, zawartych w oberży, daje pięknej gospodyni porękawicze.

Jeżeli kto widzi w tem co złego, niech mu oko wypłynie, żeby nie widział za dużo.

Niekiedy jednak Mojsie Fisch nie mógł się oprzeć brzydkiemu uczuciu zazdrości. Raz naprzykład zdawało mu się, że dzierżawca z Zatraceńca zbyt pilnie i cokolwiek zadługo podziwia nową bransoletę na rękę Małki.

Uczuł Mojsie, że krew się w nim burzy, ale narazie poznać tego po sobie nie dał; dopiero wieczorem, kiedy już w sklepie i w zajęździe ucichło, kiedy goście porozjeżdżali się, ośmielił się powiedzieć do żony:

— Słuchaj-no, Małka, mnie przykro wymówić to słowo, ale...

— Cóż?

— Są interesa, których ja nie rozumiem.

— Wielka nowość! — odrzekła żona — na dzie sięć interesów z pewnością jest dziewięć takich, których twój umysł objąć nie zdoła.

— Czy masz mnie za głupca?

— Przeciwnie, uważam cię za bardzo mądrego człowieka, ale rozum twój zdatny jest do szkoły żydowskiej, nie zaś do interesów i nie do handlu. Ty się wcale nie znasz na tem.

— Przepraszam cię bardzo.

— Nie ma za co, każdemu zdarzy się powiedzieć głupstwo, a uczonemu człowiekowi najczęściej.

- Ależ ja bynajmniej...
- Wszystko jedno, ja i tak i tak nie bardzo
zważam na twoje gadanie.
- Małciu!
- No, czego jeszcze chcesz? Daj mi już pokój.
Ja jestem zmęczona, cały dzień był ogromny ruch,
chciałabym teraz iść spać i odpocząć.
- Ja tylko...
- No, co? co? Kończ już raz to twoje gada-
nie, nie cykaj po półkwaterku, wylej odrazu cały
gąsior...
- Pozwól mi przyjść do słowa...
- Bronię ci? Przychodź...
- Widzisz... ja sobie miarkuję, że ty zabardzo
się śmiejesz do tego młodego goja, dzierzawcy z Za-
tracenia.
- Coś ty powiedział?
- Że zanadto się śmiejesz, zawiele z nim roz-
mawiasz, załadnie patrzysz na niego.
- No, no, a co więcej? Mów odrazu, wyrzuć
z siebie wszystką złość, która w tobie kipi. Mów,
co więcej?
- Cóż ma być jeszcze więcej? Czyż to mało?
- Ma się rozumieć, że bardzo mało.
- Co ty mówisz? Więc to mało, że ty, sta-
teczna kobieta, zamężna, prowadzisz wesołe roz-
mowy z takim gojem? Więc to mało, że się do
niego śmiejesz, że na niego patrzysz?

— I to ci się nie podoba?

— Nie.

— To bardzo dobrze.

— Ja jestem twój mąż, ty powinnaś mnie słuchać!

— Owszem, owszem, już słucham; obaczysz, co tu będzie za tydzień?

— Będzie jarmark.

— Jak dla kogo.

— Dla całego miasta.

— Dla nas nie; ponieważ nie podoba ci się, że ja się śmieję, rozmawiam i patrzę na ludzi, więc będę cały dzień płakała, schowam się na strych, albo do piwnicy i nie powiem do nikogo ani jednego słowa. Zobaczymy wtedy, jaki będziesz miał jarmark i co utargujesz.

— Przecież ja nie chcę, żebyś się miała chować przed ludźmi; wszak mamy sklep i zajazd.

— Ja już sama teraz nie wiem, czego ty chcesz i najlepiej zrobisz, jeżeli nie będziesz się wtrącał w nieswoje rzeczy.

— Ja przecież jestem mąż.

— Ja wiem, co ty jesteś, a co ja jestem, ty nie rozumiesz. Najlepiej zrobisz, jeżeli pójdziesz spać i przestaniesz mącić mi w głowie.

Z temi słowy energiczna pani Małka wypchnęła Mojsia za drzwi — i na tem się rozmowa skończyła.

Mojsie Fisch, aczkolwiek wypchnięty za drzwi, nie obraził się i miał słuszość. Wielka rzecz być wypchniętym za drzwi przez kobietę, i do tego przez własną żonę! Taka awantura porządnego człowieka ani ziębi, ani grzeje.

Wyrzuciła — niech się cieszy z tryumfu.

Mojsie posłał sobie, z powodu gorąca, pierzynę na ulicy przed domem, na tak zwanem podsieniu, jak to czynią podczas lata w ogóle wszyscy obywatele starozakonni w Czarnembłocie.

Nocleg taki jest bardzo przyjemny; człowiek, położywszy się, zanim uśnie, widzi nad sobą księżyc, gwiazdy i cały firmament niebieski, czuje, że łagodny wietrzyk chłodzi mu oblicze, słyszy rechotanie żab i turkot młyna, nie próżnującego nigdy.

Nieraz usiłował przekonać obywateli burmistrz, że sypianie pod gołym niebem nie jest zgodne z przyzwoitością publiczną; doktor, bardzo doświadczony człowiek i niezmiernie biegły w swoim fachu, ostrzegał, że to się sprzeciwia higienie: że przy takim interesie można się zaziębić, dostać trochę kataru, odrobinę febry, cokolwiek malaryi, albo jeszcze czego w lepszym gatunku.

Ale obywatele nie słuchali tych głosów. Ich dziadkowie sypiali w lecie w ten sam sposób, dla czego nie mają podobnie czynić wnuki?

Co nieprzyzwoitego w tem, że ktoś na ulicy

śpi? Niech się ten wstydzi, co wcale w nocy nie śpi, upija się, hula, ale stateczny obywatel może spać, choćby na środku rynku. Nie ma nic do ukrywania podczas snu; prędzej w dzień, kiedy geszefta załatwia, kiedy szachruje i kręci, zakryłby się przed ludzkimi oczami, aby go nie podpatrzono.

Mojsie Fisch położył się na wielkiej pierzynie czerwonej, ale nie mógł usnąć. Trapił go niepokój i pewne wątpliwości: postępowanie żony wydało mu się dziwnem. Niby nie popełnia ona i nie popełniła dotychczas nic karygodnego, ale niekiedy ma taką minę, jak gdyby chciała zrobić głupstwo.

Zachodzi pytanie, czy jest to prawdziwy zamiar, czy tylko pozór zamiaru?

Jeżeli tylko pozór, w takim razie dlaczego na pytanie męża nie odpowiada szczerze, że jest to pozór, figielek handlowy, po za którym kryją się dalsze praktyczne, a głęboko obmyślane plany?

Mąż powinien być wtajemniczony w takie interesy, jako mąż i jako współnik całego majątku. Być może, że to pozór, ale być również może, iż zamiar — w takim razie zachodzi pytanie, dlaczego Małka nie mieni się, kiedy mąż na nią patrzy?

W ogóle jest to kobieta bardzo dziwna. Wobec męża i wobec ludzi prostych a biednych jest ona taka wielka, taka wspaniała, taka pyszna, jak królowa Saba, która swego czasu jeździła do króla Salomona; dla marnego dzierżawcy, który przy-

chodzi do oberży, jest nadzwyczajnie uprzejma i grzeczna.

Jeżeli w jej myśli jest zamiar, to na twarzy powinien być kolor — ale ona jest dziwna. Gdy się rozgniewa, wówczas robi się czerwona, jak śmierć; zdaje się, że jej twarz to kryształowa karafka, nalana krwią, w której pływa para okropnie błyszczących oczu.

Mojsie Fisch oglądał niekiedy takie widowisko, a gdyby go kto wówczas zapytał, gdzie jest jego dusza, to nie potrafiłby na to odpowiedzieć.

Zazwyczaj, kiedy się nie gniewa, ona jest blada, a czasem, gdy się zamyśli, gdy tworzy kombinacje i plany, siedząc nieruchomo przy stole, to wydaje się niby figura z kamienia.

Dzierżawca z Zatraceńca dostrzegł to i nieraz przy sposobności powtarza:

— Pani Małka jest kobieta z marmuru.

Mojsie nie lubi słuchać komplementów, do jego żony stosowanych, ale przyznaje w duchu, że w tem jest trochę prawdy.

Nie mogąc spać, zapatrzony w złote gwiazdy, jaśniejące na szafirowem tle nieba, Mojsie rozmyśla. Zastanawia się nad swem małżeństwem i przychodzi do wniosku, że ma ono swoje dobre i złe strony. Dobre, ponieważ żona interesa prowadzi doskonale, złe, gdyż jest bardzo pyszna względem

niego, a zanadto uprzejma dla puryców różnych, którzy w sklepie bywają.

I czego oni właściwie chcą?

Zdawałoby się, że jeżeli kto potrzebuje cukru, śledzi, herbaty, świec lub innego towaru, to powinien przyjść do sklepu, powiedzieć, czego żąda, zapłacić, zabrać sprawunek i iść do domu. Tymczasem on siedzi, a po co on siedzi? Żeby rozmawiać z Małką.

A o czym z nią rozmawia? Oczywiście nie o przedmiotach poważnych, lecz o głupstwach, o których porządny człowiek nie powinien nawet myśleć.

On naprzykład rozmawia o tem, że pani Małka jest śliczna kobieta, że jej bardzo do twarzy w żółtym kolorze...

Oby sam żóltaczki dostał, bezwstydnik!

Powiada, że piękna dama z takimi oczami nie powinna siedzieć w Czarnembłocie! Ciekawa rzecz, gdzie ona ma siedzieć i co komu do tego, w jakim miejscu ona siedzi!

A Małka słucha tych głupstw z wielką uwagą i śmieje się. Dlaczego ona się śmieje?

Czy jej to przyjemność robi, że kto plecie głupstwa, czy jest tak ograniczona, że lubuje się w tem co nie ma żadnego sensu? Zdaje się przecież, że kobieta niegłupia...

Bardzo ciężko wzdychał Mojsie i spać nie mógł,

przewracał się na swojej pościeli, w gwiazdy się wpatrywał badawczo, jak gdyby w nich spodziewał się odpowiedzi na męczące pytanie, dlaczego Małka się śmieje?

Nic innego, tylko w tem musi być ręka złych duchów, czyhających nieustannie na to, aby płatać figle ludziom.

Kiedy pomyślał o duchach, z oddalenia, z wieży kościoła, dał się słyszeć przykry głos puszczyka, a współcześnie chmurka przysłoniła księżyc tak, że ściemniło się nagle.

Mojsie tedy przykrył głowę pod wpływem mimowolnego strachu i niebawem zasnął. Sen jednak nie przyniósł mu ukojenia i to, o czem myślał na jawie, majaczyło mu się jeszcze w widziadłach.

Widział sklep swój, zajazd i trzy stancye gościnne, a w najparadniejszej z nich dzierżawcę z Zatraceńca i Małkę, bardzo ładną, bardzo wystrojoną i bardzo śmiejącą się.

Całą pociechą w tych snach przykrych było, że widział przy sobie małego Abramka, swego syna pierworodnego i jedyne, żrenicę swego oka, swoją nadzieję i dumę.

Oprócz Abramka, więcej dzieci nie było, ale Mojsie nie tracił jeszcze nadziei, że dzięki zasługom jego przodków i dzięki dobrym radom pewnego bogobojnego i sprawiedliwego mędrca, wszystko się zmieni na lepsze.

Tymczasem cieszył się jedynakiem i z dumą patrzył na niego.

Dziecko miało pięć lat, a było już niezmiernie poważne i myślące. Już chodziło do chederu i dawało nadzieję, że będzie biegle w myśleniu i rachunkach.

Oboje rodzice nie żałowali pieniędzy na to, żeby jedynaczek wyglądał elegancko i wyróżniał się od swoich rówieśników. Pani Małka, nie żałując fatygi, własnoręcznie zdjęła wierzch ze starej atlasowej salopy i kazała uszyć z niego dla Abramka bardzo piękną kapotę.

W tym stroju, przepasany pasem wełnianym, w wielkiej aksamitnej czapce (którą swego czasu nosił jeszcze dziadek Mojsia), w niebieskich pończochach i w pantoflach, pięcioletni dzieciak wyglądał tak pięknie i poważnie, jak gdyby był, co najmniej, wielkim kupcem od zboża i członkiem kahału.

Widząc go, ludzie stawali na ulicy i zazdrościli rodzicom pociechy.

Noc letnia krótka jest, a panowanie ciemności podczas niej nie może się bynajmniej nazywać wielkim panowaniem.

Zaledwie słońce dobrze zajdzie, ledwie ludzie się do snu ułożą, już w zabudowaniach mieszczan, na odleglejszych ulicach Czarnegobłota położonych i gdzie indziej na strychach domów kupieckich

w środku miasta, zaczynają drzeć się koguty, ogłaszając północ.

Grube, cienkie, chrapliwe, najrozmaitsze głosy tych ptaków łączą się w jeden chór; psy, przebudzone, odzywają się szczekaniem i znowu cisza — ale na krótko, bo oto ciemności się przerzedzają, na niebie od wschodu blade, bardzo blade światło się pojawia; właściwie nawet nie światło, tylko coś pośredniego pomiędzy zupełną ciemnością a brzaśkiem. Jeszcze chwila, a bladość ta wyraźniejszą się robi, nabiera tonu żółtawego.

Jak kot z pieca, Czarnebłoto powoli i leniwie wysuwa się z ciemności.

Już można rozróżnić kilka drzew wysokich, synagogę, domy z okiennicami, pozamykanemi szczelnie.

Jeszcze moment. Złoto wschodu rozpala się, staje się różowem, wróble z głośnem ćwierkotaniem spadają na ziemię, bo już widać doskonale śmiecie i różne szczątki pożywienia, walające się koło domów, cały ów materiał, z którego w przyszłości utworzy się nowy pokład gruntu dla przyszłych pokoleń.

Wrony, kracząc, przeciągają nad miastem, jaśkółki zwrotnym lotem migają w powietrzu, chuda koza wychodzi na rynek i pożywienia szuka, psy i inne, jeszcze bardziej niż psy, nieczyste zwierzęta wychodzą podwórka lustrować.

Z oddalonych uliczek, gdzie mieszczenie-rolnicy mają swoje siedziby, dolatuje piszczenie otwieranych wierzei od stodół, skrzyp żórawi studziennych i ryczenie bydła.

Słońce się ukazuje i rzuca blaski, wielkie letnie blaski; z domku przy bóżnicy wychodzi zaspany staruszek, z długą brodą, w obdartej polatanej karpocie, z kijem zakrzywionym w ręku.

Idzie on od domu do domu i kijem tym trzykrotnie w okiennice uderza, wzywając tym sposobem nabożnych obywateli, aby wstali ze snu i zanim zaczną szachrować i gonić wiatr w polu, przede wszystkim poszli oddać cześć Bogu.

To jest urzędowe niejako rozpoczęcie się dnia w Czarnembłocie.

ROZDZIAŁ IV.

Opisujący jarmark w Czarnemłocie. Tu także poznajemy imćpana Walentego Wasążka.

Słusznie powiada piękna pani Małka, że człowiek żyje od godziny do godziny, od jarmarku do jarmarku. Zdanie to podzielają w Czarnemłocie wszyscy obywatele bez wyjątku; pisze się na nie dorosły, czy nieletni, bogaty kupiec zbożowy i najbiedniejszy kapcan i łapserdak, dla każdego bowiem dzień jarmarczny jest dniem radości i wesela.

Zawczasu też mieszkańcy Czarnegołota czynią przygotowania, aby wystąpić godnie w chwili tak ważnej i tak doniosłe znaczenie mającej.

Kupcy sprowadzają świeży towar do sklepów, szynkarze trunki, przekupnie szykują pieniądze, faktorzy języki, biedne żydówki starają się zawczasu o zapas niedojrzałych owoców, pieką pierniki, makagigi, obwarzanki, całe miasto jest w ruchu gorączkowym.

Pani Małka stara się, aby pod „Zielonym łabędziem“ było szykownie i elegancko, kazała więc swoim służebnicom trochę uprzątnąć izbę paradną, w oknach zawiesić nowe firanki z zielonej głasy, bo wiadomo, że teraz ludzie w ogóle komfort lubią i że elegancya w urzędzeniu zakładu ściąga publiczność.

Na kilka dni przed jarmarkiem piękna pani Małka zawołała swego małżonka i rzekła do niego lakonicznie:

— Mojsie, dziś na noc pojedziesz w drogę.

— Owszem — odrzekł. — Dokąd mam pojechać?

— Dokąd? Alboż nie wiesz, że niedługo jarmark? Ty masz taką szczególną głowę, że nigdy o niczem nie pamiętasz.

— No, nie masz się o co gniewać. Małe dziecko wie, że nim nadejdzie jarmark, bywa czas przedjarmarczny i że każdy myśli o zakupie towarów, ale swoją drogą mógł się trafić interes całkiem inny. Ja myślałem nawet zrobić z Janklem małą współkę na kupno owsa.

— Ty nie zrobisz tej współki...

— Dlaczego?

— Bo ja ją już zrobiłam bez ciebie. Powiem ci więcej. Ja już nawet sprzedałam mój udział Dawidowi.

— Dawidowi?

— Czemu robisz takie wielkie oczy? Czy mi nie wolno odstąpić mego udziału Ickowi, Dawidowi, lub komu mi się podoba?

— Owszem, wolno, tylko ja się dziwię, że ty tak prędko to zrobiłaś.

— Masz rację, dziw się.

— Dziwię się doprawdy i jeszcze to mi się wydaje osobliwym, że ty mi wchodzisz w drogę.

— Nierozumne jest twoje słowo, Mojsie. Naprzód, ja ci zupełnie w drogę nie wchodzę, bo czybyś ty sfuszerował interes, czy ja samabym go porządnie zrobiła — pieniądze zawsze przyjdą do nas. Ja ich nie stracę, owszem, ja dorobię dwa, trzy razy tyle, ja nagromadzę, zbiorę, a dla kogo zbiorę? Dla Abramka. Ja nie wiem, czy ty masz prawo na to narzekać?

— To prawda, ale i jabym chciał czasem zrobić jaki geszefcik, chociażby tylko dla przyjemności.

— Ja ci nie bronię, rób, owszem. I współkę z Janklem mogłeś zrobić, ale masz ciężką głowę. Zanim się zdecydowałaś, namyśliłaś, zanim swoim zwyczajem podrapałaś się w brodę, zanim poradziłaś się bardzo mądrych twoich przyjaciół, ja już cię uprzedziłam. To też ja mam uczciwego zysku trzydzieści dwa ruble, a ty... namyślałaś się. Ja się cieszę moim, ty się ciesz twoim i nie mamy się o co kłócić. Tymczasem idź do Berka, zamów

u niego miejsce na furze do kolei. Jutro rano powinienes być w Warszawie.

— Co nie mam być? Owszem, będę.

— Dostaniesz pieniądze i spis towarów, które trzeba kupić do sklepu. Wszak wiesz, gdzie się jaki towar kupuje?

— Oj, oj, albo mnie to pierwszy raz?

— Mogłeś zapomnieć, tyle mądrych rzeczy masz na pamięci! — dodała ironicznie.

— Ty nie znasz mnie jeszcze, Małciu. Gdy siedzę spokojnie w domu, rzeczywiście jestem cokolwiek powolny, a nawet mogę się wydawać człowiekiem ociężałym, do interesów zupełnie niezdatnym, ale proszę mnie zobaczyć w podróży, proszę zobaczyć! Jestem zupełnie inny człowiek.

— A cóż ty robisz w drodze? — zapytała męża.

— Co ja robię w drodze? Dobre pytanie! Co ja robię? Nie każdy to może zrozumieć. Ja siedzę na furze, albo w wagonie i palę fajkę.

— To zupełnie tak samo, jak w domu.

— Nie pozwoliłaś mi dokończyć tego, com chciał powiedzieć. W domu ja palę fajkę i rozmyślam, w drodze zaś palę i rozmawiam. O jakich interesach można w drodze usłyszeć, jakich ludzi spotkać! Słuchając różnych opowiadań o wielkich geszeftach, ja czuję, że się we mnie budzi lew; że mógłbym być wielkim kupcem i ryzykantem nad-

zwyczajnym. Daj-no mi tylko trochę kapitału i puść mnie w drogę, to dopiero zobaczysz, jaki ja potrafię zrobić figiel i jakie piękne zyski do domu przywiozę!

Mówiąc to, Mojsie bardzo się zapalił, oczy mu błyszczały, jak u kota, twarz pokryła się rumieńcem.

Pani Małka na te zapały była, jak zawsze, bardzo obojętna.

— Ja ci wierzę — rzekła — ale jednak proszę cię, niech ten wielki lew, który się ma w tobie przebudzić, jeszcze trochę śpi; przynajmniej do czasu, dopóki nie powrócisz z Warszawy i nie przywieziesz towaru. Wiadomo ci, że nam dużo różnych rzeczy w sklepie brakuje, a przed jarmarkiem trzeba we wszystko się zaopatrzyć, więc ty swojego lwa nie budź, aż po jarmarku. Tymczasem jedź, towary kupisz według spisu, który ci dam, dopilnujesz, żeby dobrze opakowali i przywieziesz na stację. Będzie oczekiwał na ciebie Berek z furą.

— Bardzo dobrze.

— Sądzę, że dwa dni czasu wystarczy ci na załatwienie sprawunków.

— Dwa?

— Mało ci dwa dni?

— Owszem, za dużo! Ty mnie znasz, ja w domu jestem sobie powolny i spokojny, ale zobacz-no mnie gdzieindziej! Ryba tak się nie rusza w wo-

dzie, jak ja w Warszawie! Za pół godziny wszystkie sprawunki będą załatwione! Jak ja jestem w dużym mieście, między ludźmi, w wielkim ruchu, to mam zupełnie inny werk w głowie i gang w nogach. Chodzę wtenczas, jak parowa maszyna, a taki jestem zapalony, żebym nie jadł, nie spał, tylko ciągle wielkie geszefta robił! Zazdrość mnie przejmuje, gdy widzę tylu żydków, jak biegają, krzyczą, ładują towar na fury. Nabieram wielkiego smaku do interesów handlowych, zapal mnie ogarnia...

— To dobrze, że jesteś taki zapalony i że czujesz w sobie inny gang, ale swoją drogą nie spiesz się. Masz dwa dni czasu, nie daj się oszukać, dopilnuj, żeby ci dobrze odmierzyli i odważyli, żebyś nie zapłacił więcej, niż potrzeba.

— Ja?

— Przecież nie ja, bo mnie tam nie będzie.

— Masz rację, ale dwa dni to za dużo; po co aż dwa dni?

— Już tak być musi i Berek nie przyjedzie prędzej na kolej.

Mojsie Fisch, czując przedsmak Warszawy, wielkiego ruchu i wielkich interesów, zapalił się odrazu i nie poszedł, ale pobiegł bardzo szybko do Berka, aby zamówić sobie miejsce na wielkiej furze, która dwa razy tygodniowo toczyła się regularnie od Czarnegobłota do stacyi kolei żelaznej, odległej o pięć mil drogi.

Berek był tego dnia bardzo hardy, a wiedząc, że przed jarmarkiem wszyscy kupcy muszą zaopatrzyć swe sklepy, podniósł o pięćdziesiąt procent swoją taryfę pasażerską i towarową; gdy zaś kto protestował, lżył go bez pomiarkowania słowem nieprzystojnem i grubem, przeklinał brzydkiem przekleństwem, zwyczajnie, jak furman, z samego fachu swojego człowiek ordynaryjny, który mając do czynienia prawie ciągle z końmi, nie może nabrać oglady towarzyskiej i dystynkcyi.

Mojsie także nie chciał się zgodzić na wygórowaną cenę, ale Berek ani grosza nie odstąpił — i jedynie ze względu na wysoką pozycję Mojsia, jako męża pani Małki, nie zelżył go sromotnie. Wogóle dość delikatnie się z nim obszedł, życząc mu tylko, aby przy pierwszej okazji nogę złamał.

Gdy noc nadeszła, Mojsie siedział już na furze w towarzystwie bardzo licznem i dobranem, palił fajkę i przyjmował udział w rozmowie o nadzwyczajnych interesach, jakie się w przeszłości i czasach mniej odległych przytrafiały.

Stosownie do zlecenia żony, lwa w sobie nie budził i pozwolił mu spać spokojnie, dopóki nie nadejdzie chwila stosowna.

Śliczna bardzo i przyjemna dziwnie jest taka podróż na wielkiej furze, zwłaszcza podczas nocy pogodnej. Ośmnastu mężów siedzi na bryce, na przodku mieści się Berek i kieruje trzema chudemi

szkapami, a patrzy, czy na drodze jeszcze mu się jaki pasażer nie trafi. Zazwyczaj trafia się i siada, jest mu trochę ciasno, ale przyjemnie. Rozmowa idzie ogólna — czego się tam nie można dowiedzieć! czego nie usłyszeć!

Prawie każdy podróżny pali fajkę, niektórzy mają trochę pożywienia i jedzą, a gdy rozmowa znuży, to trochę drzemią, kiwając się na prawo i na lewo. Zdarza się przytem, że jedna mądra głowa, podczas ogólnego kiwania, zetknie się z drugą i uderzą o siebie nawzajem, ale to nic, uderzą, odskoczą i znów się kiwają miarowo. Czasem się który pasażer przeciągnie, czasem Berek ziewnie tak głośno, że się wszyscy obudzą, a niekiedy, gdy się fura nad rowem przechyli, robi się gwałt niezmierny, jakby pożar nagle wybuchnął.

Wymyślają wówczas Berkowi, mówiąc mu, że łajdak jest, że śpi w drodze i życie ludzkie lekceważy, ale on na to nie zważa i albo milczy, lub gdy go zbyt zniecierpliwia, woła grubiańsko:

— Siedzicie cicho, gałgany, bo was naprawdę do rowu wysypię, żebyście połamali swoje kości!

Robi się krzyk, ale sen bierze górę nad złością. Zawzięte głosy milkną, głowy znowu się kiwają miarowo.

Księżyc rzuca z wysokości blade promienie. Ślizgają się one po wychudłych grzbietach końskich, po aksamitnych czapkach, kapotach zatłu-

szczonych, po brodach czarnych, siwych, kasztanowatych, żółtych, po karkach pochyłonych, po wielkim biczu, który tkwi w grubej dłoni Berka i co chwila spracowane konie uderza.

Ciężka fura toczy się po nierównej drodze powoli, toczy się coraz dalej ku stacyi.

Nietylko w Czarnembłocie o jarmarku myślano, ale i w okolicy robiono przygotowania do tej uroczystości obyczajowo-handlowej.

W promieniu kilkumilowym wiedziano, że zbliża się ów dzień ważny.

Drobna szlachta i chłopci robili przegląd inwentarza i namyślali się, coby kupić, a co sprzedać; kobiety myślały o trzodzie, drobiu, o nabiale, jako o środkach do zdobycia chustek kraciastych, perkalików, płócienek, wstążek, koralu i bursztynów ze szkła, paciorków i tych rozmaitych świecideł, bez których wiejska elegantka z chłopskiej zagrody nie może się obejść.

Cała prawie ludność wioskowa była zmobilizowana i gotowa do wielkiej wyprawy, a dodać trzeba, że w okolicy wioski były gęsto zamieszkałe w części przez chłopów, w części przez drobną szlachtę zagonową. Oprócz tych wiosek, w okolicy były wielkie dobra, należące do dwóch magnatów. Obadwaj ci panowie gospodarstwem sami się nie zajmowali i wogóle zaglądali rzadko do swych dóbr, które, podzielone na drobniejsze folwarki,

wypuszczali w dzierżawę. Było więc sporo dzierżawców, rządców, ekonomów, leśniczych i pani Małka miała zupełną słuszość, przyznając okolicy tej wyższość nad innymi i twierdząc, że pięciu małych dzierżawców daje miasteczku znacznie więcej dochodu i korzyści, niż jeden duży dziedzic.

Daje więcej, zwłaszcza w dzisiejszych czasach, w których każdy obywatel zamożniejszy omija miasteczko i korzystając z kolei żelaznych, handluje nie ze swoimi żydkami, mającymi do niego niezaprzeczone prawo, lecz z jakimiś domami warszawskimi lub zagranicznymi, co jest oczywiście wielkie paskudztwo i naruszenie odwiecznego porządku.

Z czego będzie żył i utrzymywał swoją rodzinę Jankiel Bas, Dawid Śliwka, tylu faktorów i kupców zbożowych, jeżeli sami dziedzice zaczną handlować? Przecież tym dziedzicom i wszystkim ludziom, którzy żyją z ziemi, nikt ziemi do góry nogami nie przewraca, nikt nie rusza zagonów, wydających zboże, a oni chcą wywrócić do góry nogami cały handel!

Nie potrzeba dowodzić, że jest to zbrodnia, prawie taka, jak rozbój na publicznej drodze.

Na szczęście, w okolicy Czarnegobłota panuje dawny system, sprawiedliwy, taki właśnie, jaki powinien być: ani jedno ziarno zboża nie ominie miasteczka, ani jedna kura nie wydostanie się z siatki, dokoła Czarnegobłota rozrzuconej.

Tak właśnie jest dobrze; tak być powinno, gdyż na świecie od dawien dawna ten jest ustanowiony porządek, żeby jedni orali, a drudzy żeby handlowali. Zaraza czasów nowych wkrada się wszędzie, psuje ład, inne obyczaje zaprowadza, i to właśnie dla ludzi myślących jest przykre, bo oni, widząc jaśniej i dalej, niż śmiertelnicy zwyczajni, przewidują następstwa najgorsze.

Usher Engelman zastanawiał się nieraz specjalnie nad temi mianowicie kwestyami i przyszedł do bardzo smutnych wniosków. Gdyby dalej poszło w tym stosunku, gdyby dzierżawcy w okolicy Czarnegobłota nauczyli się handlować zbożem, a chłopci zrozumieli, co to znaczy współka, to zaprawdę, strach pomyśleć, coby się stać mogło z Czarnem-błotem.

Oby nasze oczy tego nie widziały i nasze uszy tego nie słyszały, ale następstwa takiego przewrotu byłyby przerażające! Zacni kupcy, obrotni i wygadani ludzie, uczeni filozofowie, musieliby rąbać drzewo, roztrzasać gnój po polach, kopać kartofle, słowem, wykonywać roboty obrzydliwe i poniżające, bardziej bydłom, niżeli ludziom właściwe.

Na szczęście, okolica Czarnegobłota była jeszcze niedostępna dla dzikich innowacyj.

Tam szło wszystko uczciwie, po staremu. Miasteczko było miasteczkiem, każda wieś wsią — je-

dno drugiemu nie wydzierają atrybucyj — chłop żaden nie handlował, a żydom ani się śniło orać, lub machać ciężkimi cepami.

Miasteczko kwitnęło na swej górcie śmieciowej i panowało dumnie nad wioskami, rozrzucenymi wśród pól i lasów.

Już w przeddzień jarmarku, na noc, dążyli chłopię pieszo, ów krowę, ów wołu, albo inne zwierzę prowadząc, a odpoczywali przy gościńcu, w polu lub w lesie. Wlokły się wozy rzemieślników z sąsiednich miasteczek, wozy bednarzy, szewców, czapników, którzy od wczesnego ranka mieli rozbić swe kramy na rynku.

Z nastaniem dnia największy się ruch rozpoczął.

Wszystkimi drogami, dróżkami, które do Czarneblota wiodły, ciągnęły wozy, biedki, bryczki, dryndule najrozmaitszych fasonów, a ludu pieszego, jak mrowia.

Można się było obawiać, czy się ta wielka publiczność zmieści w tak małej miejscinie, czy przygotowane przez zabiegliwych szynkarzy zapasy napojów i żywności wystarczą?

Próżna obawa.

Wiadomo z praktyki od najdawniejszych czasów, że Czarnebloto, pomimo swojej pozornej szczupłości, jest niesłychanie pakowne.

Podobne ono jest do wańtucha od wełny, który

sam przez się wcale nie wielki, gdy go wypchać, wygląda jak Lewiatan. Ma ono piękny rynek, na place specjalne, na użytek jarmarczny przeznaczone; targ bydłocy, koński i — za wielkiem przeproszeniem — świński.

Targi te rozległe są i nie było zdarzenia, nawet podczas najświetniejszych jarmarków, żeby miejsca na nich zabrakło.

Drogą od Olszanki do Czarneoblota wiodącej, jedzie wierzchem na chudej szkapie ogromnie czupurny jegomość.

Szkapą pod nim okielznana i osiodłana. Co prawda, siodło nie zanadto wspaniałe, stara, zniszczona terlica, gołem drzewem świecąca, bo skóra z niej zlazła miejscami, ale zawsze siodło, ze strzemionami, jak się należy.

Mąż na tem siodle siedzący, ma nos potężny, trochę czerwony, wąsiska konopiaste, wielkie, wyraz twarzy zawadyacki, czapkę na bakier.

Jegomość ten jest ubrany w surdut sukienny szaraczkowy, spodnie z płócienka domowej roboty, w kraty czerwone z niebieskiem, buty z cholewami do kolan. Rękę ma narobioną, jak chłop, chociaż chłopem nie jest; cała okolica wie doskonale, że to pan Walenty Waszątek, szlachcic zagonowy z Olszanki.

Ma on własną posiadzialność z obejściem i dzie-

więć morgów gruntu w jedenastu kawałkach wazintkich, a długich niestychanie.

Niegdyś miał trochę piękniejszą fortunę, ale sporo ziemi sprzedać musiał na „prawo“, bo procesował się wciąż, a zamknięcie do spraw miał takie, że byle o najmniejszą bagatelę skargi do sądu podawał.

Zaledwie się ożenił i gospodarstwo na siebie objął, zaraz ze szwagrami taniec po sądach rozpoczął i wodzili się o te długie zagony od instancyi do instancyi, a że, jeden drugiemu, rozmyślnie przytem psoty robili, zabijali cieleta, ukręcali łby gęsiom i sami się często za czupryny brali, więc oprócz spraw cywilnych, rosły ciągle karne, z różnem szczęściem dla jednej i dla drugiej strony prowadzone.

Już się Waszązek i dzieci dochował, już mu i ogromne wąsiska urosły, gdy zagonki posagowe w spokojne posiadanie objął, ale nie żałował ani pieniędzy, ani czasu straconego, bo kawał świata zwiedził, sądy najrozmaitsze poznał, prawa się owąchał tak, że aż kodeks od niego załatywał, a artykuły wszelkie sypał z pamięci, jak groch z worka.

Żaden z jego sąsiadów do takiej biegłości nie doszedł, chociaż też byli to ludzie na różne sposoby wypraktykowani i posiwieli w procesach. To też

równać się z nim nawet nie śmieli, a w razie potrzeby sami przychodzili o radę prosić.

W takich wypadkach Waszązek tryumfował, zasiadał z powagą na ławie w izbie, lub też na kamieniu przed chatą i odrazu, bez żadnego przygotowania, okiem nawet nie mrugnawszy — wykład miał, gęsto go artykułami prawa przeplatając.

— I niech wam się nie zdaje, ludzie — mówił — że Waszązek jeno na małe sprawy znawca. Ho! ho! Zna on ci i kredytorstwo i hypoteczność, wie dobrze z którego boku co się zaczyna i gdzie się kończy:..

Zmarnował większą połowę fortuny na procesy, ale ten miał zysk, że w kaszę sobie napluć nie dał i że po dzień dzisiejszy chodzi z podniesionem czołem i patrzy na ludzi tak z wysoka, jak gdyby siedział na dzwonnicy.

Jechał pan Waszązek stępa, fajeczkę ćmił i o nowym jakimś procesie myślał, gdyż z przechodniami i przejeżdżającymi w rozmowę się nie wdawał, a na powitanie ledwie że głową raczył kiwać.

Wtem usłyszał po za sobą turkot i wołanie:

— Wio, wio!

Obejrzał się i wstrzymał trochę szkapę. Niebawem jadący zrównał się z nim.

Był to Jukiel, pachciarz z Zatraceńca, dobrze znany w okolicy Jukiel Katz, bardzo sprytny i obrotny obywatel.

Jukiel siedział wysoko na tak dobrze wyładowanej biedzie, że dziw, jakim sposobem mógł się na niej utrzymać.

— Ho! ho! — zawołał basem Walenty — a niechże cię psi zjedzą Juklu, toś będę wypchał dopiero!

— Każdy człowiek swoją biedę pcha — odparł sentencyonalnie żyd — a tymczasem dzień dobry panu Walentemu.

— Dzień dobry! Ma się rozumieć, że będzie dobry. Dla takiego spekulanta, jak Jukiel, jarmark to żniwo.

— Jak czasem. Trafi się dobry, trafi się gałgan i częściej gałgan, niż dobry, a ten, choć niby powinien być najlepszy, niewiadomo jeszcze, jaki będzie...

— Wielki będzie, nadzwyczajny!

— Zkąd to można wiedzieć?

— A toć ludu wali moc! Jak muchy czernieją po drodze. Ile to przed nami, ile za nami, a przecież ta droga nie jedna. O! panie Jukiel, czujesz ty, że będzie dobry jarmark, skoroś tak będę wypchał, że siedzisz na niej tak, jak na wielbłądzie.

— To same drobiazgi, więcej powiózł mój syn wozem.

— Ha! dawni Izraelitowie jeździli podobnoś i na wielbłądach i na inszych bestyach, prawda?

— Albo ja wiem; ja przy tem nie byłem, zresz-

tą, co mnie do tego, ja mam swojego konia i biedkę — to dosyć dla mnie.

— Nie ma się co wstydzić; jeździli starodawne żydowie na wielbłądach, bo jeździli — i mannę, bywało, swego czasu, jedli, aż im się uszy trzęsły, ale że im coś do łba przystąpiło i zgrymasili, tedy muszą jeść czosnek. Może nieprawda, panie Jukiel?

Żyd ramionami ruszył.

— Panie Walenty — rzekł — na co wasan zaczepia tych starodawnych Izraelitów, co już od tysięcy lat pomarli. Oni już nie handlują, nie szachrują, oni już leżą w ziemi. Daj im wasan leżeć spokojnie i nie rusz ich, a jeżeli masz złość do dzisiejszych, to ich pozwij do sądu, albo rachuj się z nimi innym sposobem.

— Jukiel swój rozum ma, a ja swój.

— To wielka prawda; zostańmy każdy przy swoim, a jeżeli asan chce, to możemy zrobić handelek na co innego.

— No, no, nie mamy się o co sprzeczać. Tak sobie oto powiedziałem, aby gadać. W drodze się nudzi, porozmawiać więc dobrze. Nie?

— Dlaczego — owszem.

— Cóż wasz dzierzawca w Zatraceńcu?

— Piękny kawaler.

— Ma się rozumieć, że piękny. A rychło z Zatraceńca wyleci?

— Tymczasem siedzi.

— Toć i pies na płocie niekiedy siedzi, ale nie utrzymuje się mocno i zleci... On też jakoś, podług mego rozumu, nie inaczej siedzi, jeno po psiemu...

— Jeszcze mu kontrakt służy na sześć lat.

— Bywa, że i przed kontraktem dzierżawcy wychodzą, albo ich eksmitują. Nie dzisiejszy ja człowiek, zęby na prawie zjadłem, a widziałem eksmisyj więcej, niż mam włosów na głowie. A Jukiel wie, co to jest eksmisya, co?

— Dlaczego nie miałbym wiedzieć! To jest bardzo głupi interes.

— Wasz dzierżawca pozna go niedługo bliżej.

— Co pan Walenty w tem ma? Może pan sam chce wziąć Zatraceniec? Może pan ma amatora?

— Może sam wezmę, może kogo mam, a może sobie jeszcze co inszego myślę, to już mój interes.

— No! w takim razie po co czekać aż pan Różański wyleci? Lepiej iść wprost do niego i porozumieć się. Dajcie dobre odstępne, on nie będzie się upierał. Zarobi trochę i pójdzie dalej. Czy mało na świecie majątków do wydzierżawienia? Chce pan Walenty, ja mogę być do tego interesu faktorem, usłużę nie drogo, aby tylko cokolwiek, aby darmo gęby nie psuć.

— Albo on zechce odstąpić?

— Niech się pan Walenty nie boi, nie żałujcie pieniędzy, a Zatraceniec będzie wasz na całe sześć lat. I nie dość na tem. Jak się sześć lat skończy,

to Jukiel będzie umiał trafić do plenipotenty hrabiowskiego i tak interes nakręcić, żeby z wami zrobili kontrakt jeszcze na dwanaście lat. Pan Walenty myśli, że ja plenipotenty nie znam, że ja w Warszawie nie bywam, że nie wiem, gdzie on mieszka? Oj, oj! żeby ja tak drogę do szczęścia znał, jak znam całą Chmielną ulicę i jego mieszkanie! On jest wielki pan, on dużo krzyczy, wielkie fanaberye potrafi, ale swoją drogą z nim można. Z każdym można, tylko trzeba umieć.

— Na bok! z drogi! — rozległ się głos za nimi.

Jukiel skręcił na bok i czapkę zdjął pokornie. Waszązek jeszcze bardziej kaszkiet na bakier nasunął i ani na krok nie ustąpił.

— Dla wszystkich droga równa! — mruknął.

Nikt mu nie odpowiedział; stangret w czapce z galonami zręcznie wyminął szlachcica i zasypał go tumanem kurzawy. Zgrabna bryczka, zaprzężona w parę tęgich koni, mignęła się tylko.

— Z drogi! — mruczał Waszązek. — Patrzenie go, jaki pan! On będzie na mnie krzychał: z drogi! Wielka figura! Zawsze, co ja, to ja; urodzony, tu-tejszy, na własnych śmieciach siedzę, a on co? Dyabli go wiedzą, zkąd przyszedł i dyabli go wiedzą dokąd pójdzie, prawda Jukiel?

— Co wasan do niego cierpi?

— Co mam cierpieć! Niech go licho porwie!

Pychy nie cierpię, bom taki dobry pan, jak i on, a może i lepszy.

— Na jedno pan Walenty jest dobry, na drugie on jest dobry; każdy człowiek dobry jest na taką lub owaką stronę, a pan Walenty, jako człowiek praktyczny, to bardzo dobrze rozumie.

— Macie rację, on dobry na tę stronę, gdzie „Zielony łabędź.“

— A wasan nie bywa pod „Łabędziem?“

— To co innego; ja zajeżdżam dlatego, żeby bydłę przy żłobie postawić, a samemu pod dachem być, w godnej kompanii wypić i przekąsić, on zaś dla czego innego tam zagląda.

— Tak samo w godnej kompanii potrzebuje czasem wypić.

— A Małka? — zapytał szlachcic, śmiejąc się na całe gardło.

Jukiel splunął nieznacznie.

— Panie Walenty — rzekł — pfe! Wasan powiada to, co nie trzeba. Co Małka? jaka Małka? Ona jest sobie zwyczajna żydówka, ma swego męża, swój handel, swoje zatrudnienie, a on jest pan; ona ma swoje kombinacye, on swoje. Co między niemi może być?

— No, juści ślepie ma, psia kość, ładne!

— Pfe! panie Walenty, wielkie pfe! Wasan nie powinien wymówić takie słowo! To nie pasuje na letniego i porządnego człowieka. Oczy! Co za

dziwo, że człowiek ma oczy? Ładne, brzydkie, aby
oczy, aby widziały.

— No, no, wiedzą sąsiedzi, jak kto siedzi.

— Niech sobie siedzi, niech wcale nie siedzi,
niech leży! Co nam do tego? Daj wasan pokój,
panie Walenty, nie mówmy już o tem. Wasan za-
pewne chce co kupić na jarmarku?

— Nie.

— To po co wasan jedzie?

— Interes mam.

— Pieniędzy?

— A właśnie, muszę spenetrować po mieście,
może znajdę jakiego żydka.

— Przecież ma asan na miejscu w Olszance
Chaskiela, bardzo porządny człowiek i chętny do
każdej dogodności. Dlaczego on panu Walentemu
nie dał?

— Obiecywał, że się na jarmarku postara
i właśnie dlatego jadę.

— Niech się pan Walenty nie boi; jeżeli Cha-
skiel przyobiecał, że się postara, to się postara na-
pewno. On bardzo słowny jest. Zresztą, dlaczego
nie ma być słowny? Panu Walentemu jeszcze
można dać pieneędzy.

— Dlaczego Jukiel mówi, że jeszcze?

— Bo są tacy, którym już dać nie można.

— No, to skoro mnie można, po co mam cze-

kać na Chaskla. Niech Jukiel sam da, będzie i prędzej i pewniej.

— Może jabym dał, ale mnie nie pasuje, trochęby to było niepolitycznie.

— Aha, żydowska hajzówka! Znam ja się na tem.

— Asan myśli, że asan się zna, a asan się wcale nie zna. Są takie interesa, na których nie każdy może się znać. Kto panu Walentemu powiedział o hajzówce?

— A cóż to jest?

— Widzi asan, na żydów gadają dużo, ale w tem gadaniu prawdy jest mało, tak samo i z hajzówką. Dlaczego ma być jaka hajzówka, kiedy to jest tylko zwyczajna grzeczność i delikatność; jeden drugiemu nie wydziera chleba z ręki. Czy asan myśli, że teraz łatwo żyć? Wcale nie łatwo, a gdyby jeden drugiemu chciał jeszcze psuć, to chyba wszyscyby z głodu pomarli. Widzi pan Walenty, że niema żadnej hajzówki, tylko jest delikatność i grzeczność.

— Więc takim prawem o moim interesie z wami niema co mówić?

— Ja tego nie powiedziałem. Niech pan Walenty będzie około południa u Małki, może ja tam przyjdę, może Chaskiel przyjdzie, a najprędzej przyjdziemy oba. Może się coś zrobi, może być asan spokojny:

— No, to dziękuję wam, bo mi bardzo pilno potrzeba pieniędzy.

— Asan pewnie chce gruntu przykupić? Właśnie teraz ziemia niedroga.

— Właśnie, że o grunt idzie, ale nie o kupienie, tylko o co innego. Sąsiad mój, Michał, po przeważeniu Koszałka, znacie go zapewne?

— Oj, oj, co nie mam znać. Jaki interes ma pan Walenty z tym Koszałką?

— W grunt mi się łajdak worał; miedzy, która moja sprawiedliwa i rodzona jest z dziada pradziada, oderznął mi caluteńką skibę.

— Czy pan Walenty siał na tej miedzy pszenicę?

— Toż Jukiel dziwny, a któż na miedzy sieje? Miedza jest miedza; zielsko jeno na niej rośnie i trawa.

— No, więc w czym on zrobił panu Walentemu stratę?

— On teraz na tej oderzniętej skibie zboże zasieje, ale niedoczekanie jego! Ja zaraz do sądu i żeby miało mnie niewiem co kosztować, z torbami puszczyć.

— Mnie się zdaje, panie Walenty, że dwa lata temu asan miał sprawę w takim samym gatunku.

— Ho, ho! miałem ja i niejedną.

— I zdaje mi się, że nawet z chłopem, Marcinem Sójką. Przypominam sobie ten interes, tylko

ta jest dyferencya, że teraz szlachcie się worał w miedzę pana Walentego, a wtedy pan Walenty. I to też sobie przypominam, że tamtą sprawę pan Walenty przegrał.

— To i cóż? Nie każda sprawa bywa wygrana, ale com się z chłopem po sądach natańcował, to pewnie jeszcze do dzisiejszego dnia pamięta!

— A ile pana Walentego kosztowało to tańcowanie?

— O tem niema co gadać; kosztowało, bo kosztowało, ale chłop się przekonał, że Walenty Waszązek nie da sobie w kaszę dmuchać! Był koszt, ale i skutek był, a skoro skutek był, to koszt bajki!

— Nu, prawda. Każdy człowiek ma swoje lubienie; asan ma lubienie w sądach, asan gotów jeszcze kiedy i mnie sprawę zrobić.

— Niech Jukiel dwa razy tego nie mówi.

— Ale o cobyśmy się mieli prawować?

— O co? To najmniejsza rzecz. Chcecie, jutro was zapozwę i narobię wam takiej kapusty, że jej do Nowego Roku nie zjecie.

--- No, niech asan da spokój, co mi po sprawie, co po kapuście — to nie mój interes...

— Ja też tylko powiedziałem dla przykładu, żeby Jukiel wiedział, że jak ja zacznę z kim tańcować, to już rzetelnie. Hulam przez wszystkie instancje i przez kasacyę hulam, że żaden młodzik na weselu tak nie hula.

Miasteczko było już widać. Jukiel szkapinę do szybszego ruchu przynagłał. Wasążkowi też się spieszyło.

— Pamiętaj, Jukiel — rzekł — że w południe u Małki.

I uderzywszy konia prętem, wyciągniętym galopem popędził.

Przy wjeździe do miasta ścisk był wielki. Dzierżawca rogatkowego, zmęczony, zadyszany, w czapce na tył głowy zsuniętej, biegał od fury do fury, aby odbierać należne mu groszaki. W czynności tej pomagała mu żona, kilkoro starszych dzieci i prócz nich, specjalnie na ten dzień wynajęty mąż zaufania, niejaki Wigdor, człowiek biedny, z profesyi tylko krawiec, ale tak dalece uczciwy i rzetelny, że można mu było nawet całego rubla drobnemi powierzyć — bez obawy, że sobie choćby jednego trojaka przywłaszczy.

Wielki krzyk był ciągle przy rogatce, bo każdy chłop wywijał się od zapłaty jak mógł, lub obiecywał, że należność wieczorem odda, gdy będzie powracał. Dzierżawca rogatkowego, jako człowiek w fachu swoim biegły i doświadczony, znał się na takich obietnicach i przed niewypłacalnym pasażerem rogatkę bez ceremonii zamykał, i to nie na patyk, jak w zwykłych okolicznościach, ale na ciężką kłódkę żelazną.

Chłop się certował, dzierżawca w niebogłosy

krzyczał, że jest skrzywdzony, że w taki sposób może cały majątek stracić, a tymczasem, na drodze, przed zamkniętą roгатką, gromadziło się coraz więcej fur, wozów, bryczek, bydła i trzody. Chłopi krzyczeli, klęli, odgrażali się; niejeden, gorętszego temperamentu, z wozu zeskakiwał i nie zważając na słuszność sprawy, dzierżawcy wygrażał, co przecież było niedelikatnością wysoką.

Przeraźliwy kwik stworzeń nieczystych napełniał powietrze, klątwy i złorzeczenia wzmagały się, dzierżawca o mało nie płakał ze złości i życzył swoim wrogom, żeby w godzinę śmierci mieli taki niepokój, taki czarny, taki brzydki dzień.

Nareszcie chłop wydobył z kalety kilka miedziaków, szlaban się podniósł i liczne wozy, zawadzając jeden o drugi, wślaczały się do miasteczka.

Co pół godziny, co kwadrans, powtarzała się taka sama historia. Poborca roгатkowego ochrypl, żona jego, dzieci i mąż zaufania, zupełnie utracili siły od targowania się i wrzasku.

Coraz trzeba było szlaban zamykać i coraz awantury przechodzić, coraz nową falę ludzi i zwierząt do miasta wpuszczając.

Gwałt jednak przy roгатce, w porównaniu z gwałtem, jaki się dział w samem miasteczku, w rynku, mógł się wydawać niby łagodny szmer strumyka wobec ryku oceanu podczas gwałtownej burzy.

Tam dochodził on do zenitu, huczał, szumiał ni-
by wezbrana fala wody, gdy pozrywawszy groble
i szluzę — szaleje.

W dniu jarmarcznym nawet ludzie bogobojni
i uczeni, wyłącznie oddający się medytacyom i czy-
taniu ksiąg, przerywali swe zajęcia i wychodzili na
rynek, aby napaść oczy przyjemnym widokiem, aby
swoją obecnością uświetnić dzień nadzwyczajny.

I słusznie wydawać się mogło tym myślicielom,
że w owym dniu wyjątkowym rodzinne ich miasto
Czarnebłoto jest niby królową wioską, do której
wszystek lud okoliczny przychodzi z pokłonem i da-
rami, że jest wielką świątnią handlu i spieszy do
niej naród wszelki, aby złożyć dziesięcinę w bydło,
zbożu i wszelkim towarze, a ten wielki krzyk i har-
mider, to niby hymn pochwalny na cześć Czarnego-
błota, odśpiewywany przez tysiące głosów różno-
rodnych.

Taki widok wzrusza, raduje źrenice oczu, gła-
szcze serce, napęnia usta smakiem słodczy prze-
dziwnej.

Jest to dzień ruchu, dzień życia i dzień żniwa
dla tych, którzy dni siewu nie znają.

Dom „pód Zielonym łabędziem“ jest w oblężeniu;
od samego rana wszystkie trzy kajuty tego
korabia pełne są podróżnych, bo dzień jarmarczny
tą się jeszcze właściwością odznacza, że wzbudza
w ludziach wielkie pragnienie do picia. Wiedzą

o tem dobrze szynkarze i dbają pilnie, aby zawczasu zasilić źródła, do których przyjdą spragnieni dla ochłody lub rozgrzania.

Zbliża się południe, złota kula słoneczna pali się na wysokościach, gorące promienie na ziemię rzucając, na rynku zgiełk coraz większy, po kramach tłok nadzwyczajny, przez ulice z trudnością przepychać się trzeba.

„Pod łabędziem“ pani Małka na swoim stanowisku od rana. Dzieli ona swoją energię pomiędzy sklep a salon pierwszej klasy. Ubrała się niby po domowemu, ale elegancko. Obcisła suknia uwydatnia jej kształty; w uszach błyszczą kolczyki z brylantami, na szyi sznur pereł, na pulchnej białej ręce bransoleta ze szmaragdem. Rano piękna dama z pół godziny przepędziła przed lustrem; mąż jej zauważył to, splunął i w myśli podziękował Bogu, że go nie stworzył kobietą, że nie uczynił go naczyniem próżności.

— Co to jest — myślał sobie — za głupota pół godziny siedzieć przed zwierciadłem i przypatrywać się — czemu? Własnej gębie, nosowi, oczom, ustom, włosom! I po co? Aby ucieszyć złego ducha, który wymyślił zwierciadło? Co jej przyjdzie z tego? Czy, chociażby dwadzieścia cztery godzin na odbicie twarzy swojej patrzyła, przybędzie jej jeden grosz do majątku? Pfe, pfe i jeszcze raz pfe! Wysoka jest drabina próżności, ale mąż roz-

tropny nawet na pierwszym jej szczeblu nogi nie postawi, nie będzie się przyglądał własnemu swemu nosowi, nie będzie hołdował brodzie swojej; niewiasta natomiast wdrapuje się na najwyższy szczebel, przy pomocy współnika swojego, szatana, który od samego świata początku lubi z kobietami handlować.

Dalsze rozmyślanie na ten temat Mojsie musiał odłożyć do właściwszej chwili, gdyż teraz czem innym zaprzątnięty miał umysł. Żona powierzyła mu nadzór nad klasą drugą i trzecią, a obie były pełne gości i chociaż kuzynowie Mojsia, chwilowo zatrudnieni przy nalewaniu kieliszków i wydawaniu butelek, byli porządni ludzie i godni zaufania, jednak nie zaszkodziło, że czujne oko gospodarza, chociaż od czasu do czasu, zniecka padało na ich ręce.

Nie bowiem łatwiejszego, jak się cokolwiek omylić, a omyłka najczęściej trafia się takim właśnie ludziom, którzy rzadko bardzo własny grosz posiadając, nie mają wprawy w liczeniu. A takich tylko do pomocy brać można, gdyż wielki kapitalista nie zechce się wynająć do nalewania kieliszków w szynkowni.

Do „salonu“ wszedł młody dzierżawca, zrzucił z siebie szare okrycie płócienne, siadł na trzeszczącej kanapie i główką od szpicruty w stół kilkakrotnie uderzył.

Na to wpadł zaraz zadyszany „myszures“, stały majordomus zajazdu i kłaniając się nisko, zapytał:

— Co wielmożny pan rozkaże?

— Nie był tu jeszcze Jankiel?

— Nie, ale nadejdzie, tylko patrzeć; jeżeli pilno, mogę polecieć po niego.

— Dobrze, powiedz mu, że ja przyjechałem i czekam.

— Zaraz lecę, już lecę! Czy mam kazać stangretowi, żeby do stajni zejechał?

— Naturalnie. A gdzie gospodyni?

— Pani Małka w sklepie jest, ale ona tu zaraz przyjdzie. Jak się tylko dowie, że wielmożny pan przyjechał, to w ten moment przyjdzie.

Jeszcze nie dokończył tych słów, gdy Małka weszła.

— Taki gość! — rzekła z uśmiechem — taki rzadki gość, to jest zdarzenie, naprawdę.

— Jakże się pani miewa? — zapytał, biorąc ją za rękę.

— Nie życzę moim wrogom, żeby się tak mieli, jak ja.

— Co pani zawsze tych wrogów ma na myśli? Któż oni są? Może i ja do ich liczby należę?

— Fe, jak można tak niedobrze myśleć o mnie? Chociaż...

— Co?

— Pan dobrze wiesz co. Pan lubisz czasem

zartować i mówić takie słowa, których mnie nie wypada słuchać. Czy tak robi przyjaciel? Czy...

— Nie wypada? Na środku rynku powiem, że piękniejszej od pani kobiety w życiu mojem nie widziałem i że szkoda pani dla takiego szkaradnego i brudnego żyda, jak szanowny pani małżonek.

— Cicho, cicho, dość, daj pan pokój...

Młody człowiek znów ujął piękną Małkę za rękę, przyczem bransoletka, zapewne źle zapięta, upadła na ziemię,

Podniósł ją zaraz i podał właścicielce.

— Widzi pan — rzekła — niechący zrobił mi pan szkodę.

— W czym?

— Tu był kamień, widocznie wypadł na ziemię. Zaraz go trzeba poszukać i nie dość, że poszukać, trzeba go wprawić, a kto to zrobi? Czy w naszym kochanem Czarnembłocie jest porządny jubiler? Raz mi się popsuł kolczyk, to musiałam go dać do reperacyi blacharzowi.

— Blacharzowi?

— Cóż miałam robić? Spieszyłam się wtedy na bardzo znaczne wesele. Jankiel córeczkę za mąż wydawał, a kolczyk miałam zepsuty. W całym mieście, prócz kowala, bednarza i szewców, niema rzemieślników, byłam więc w wielkim kłopotcie. Dopiero mąż doradził mi, żeby zawołać blacharza... Jeżeli potrafi naprawić kwartę, może naprawi

i kolczyk. No, i naprawił. Później reperacya tej blacharskiej reperacyi kosztowała mnie kilka rubli. Ach! co pan najlepszego zrobił! Kamyk zginął, taki kosztowny kamyk! Doprawdy, dla mnie duża szkoda jest.

— Szukajmy.

Nachylili się oboje i zaczęli szukać. Mojsie, spieszący z koszem butelek do drugiej stancyi, zobaczył to przez drzwi nawpół otwarte.

Na razie nic nie rzekł, ale pomyślał sobie, że taka wspólna czynność jest bardzo podejrzana i że można o niej myśleć i tak i owak i jeszcze inaczej... Co oni mogli zgubić i czego szukają?

Kamyk się nie znalazł, piękna kupcowa była bardzo zafrasowana.

— Niech-no mi pani da tę bransoletkę — rzekł młody człowiek.

— Na co?

— Wybieram się do Warszawy w tych dniach, więc każę wstawić nowy kamyk. Zapewne był to brylancik?

— Oj, i jaki brylant — odrzekła z westchnieniem — bardzo ładny, duży brylant.

— Zapewniam panią, że i ten, który każę wstawić, nie będzie mały, a jeżeli znajdą się przy nim jeszcze jakie inne klejnociki, to chyba pani wielkiej przykrości nie sprawi?

— Komu to klejnociki mogą sprawić przykrość?

— I nie będzie mnie pani uważała za swego wroga?

— Nie mówmy o tem. Sam pan wie, że tak nie jest. Pomówimy o tem kiedyindziej; dziś jarmark, ja muszę wracać do sklepu. A może panu czem służyć?

— Wyjdę teraz na miasto. Zobaczą konie, za pół godziny wrócę, to mi pani każe dać co zjeść.

— Dobrze, owszem.

— A gdyby Jankiel przyszedł, niech go pani wstrzyma.

— Na co panu Jankiel?

— Pieniędzy mi trzeba, może pożyczę, może trochę zboża kupi. Obedrze mnie porządnie.

— Dlaczego?

— Bo to żyd twardy, jak kamień.

— Niech się pan nie lęka, moja w tem głowa, żeby on był miękki, jak воск.

— Dopomoże mi pani?

— Pan się pyta? A kiedyż to ja panu nie chciałam pomóc? Ja zawsze po pańskiej stronie.

Słowom tym towarzyszył tak przyjemny uśmiech, że młody człowiek byłby chętnie zepsuł drugą bransoletkę, ale nowi przybysze weszli do „salonu.“

W kwadrans później, Mojsie spotkał Małkę w sieni. On szedł po nowy transport butelek, ona wybiegła, aby zawołać służącą.

Bez żadnych wstępów Mojsie rzekł gwałtownie do żony:

— Słuchaj-no, Małka, czegoś ty szukała na podłodze z tym...

— Z kim?

— Nu, z tym gojem!

— Czyś co zgubił?

— Ja nic nie zgubiłem.

— W takim razie nie bądź głupi i nie zwracaj mi głowy.

Na tak ostrą i stanowczą odpowiedź, Mojsie replikować już nie miał odwagi, postanowił jednak w duchu, że przede wszystkim, jak tylko będzie miał czas wolny, to się namysli, a jak się już dobrze namysli, weźmie się z całą energią do rzeczy i zdoła będzie odpowiedź na pytanie: czego oni szukali?

Dla ścisłości historycznej dodać należy, że pani Małka, natychmiast po wyjściu dzierżawcy, znalazła swój szmaragd, że bardzo troskliwie zawinęła go w papier i schowała do mocnej dębowej szkatułki, w której przechowywała kosztowności własne i przyjęte na zastaw.

ROZDZIAŁ V,

opisujący trzy wielkie sale operacyjne, oraz znakomitych chirurgów i ich obiecujących asystentów.

Nie potrzeba jeździć do Berlina, lub do Wiednia, żeby poznać działalność znakomitych operatorów; w Czarnembłocie także można coś widzieć, a nie będzie w naszych słowach ani odrobiny przesady, gdy powiemy, że chirurgowie czarnobłoccy, bez użycia noża, bez rozlewu krwi, nie sprawiając pacjentom dolegliwych cierpień fizycznych, dokonywają operacyj nadzwyczajnych, o jakich nie śniło się najznakomitszym profesorom i praktykom, mającym europejską sławę. Szczególniej, gdy idzie o usunięcie nowotworów charakteru monetarnego, zręczność chirurgów czarnobłockich granic niema i przechodzi wszelkie wyobrażenie. Choćby nawet chłop połknął garść miedzianych groszaków, wydobędą je z niego tak szybko i zgrabnie, że ani się

spoztrzeże, kiedy ciężaru niepotrzebnego się pozbył.

W dzień jarmarczny chirurgowie czarnobłoccy najgorliwiej i najenergiczniej pracują. Ledwie jednego pacyenta zoperować zdążyli, już drugi jest na stole, a trzeciego odurzają, żeby był gotów.

Zajazd „pod Zielonym łabędziem“ podobny jest w tym dniu do olbrzymiej kliniki, w której pacjentom jest tak przyjemnie, jak gdyby napełniona była gazem rozweselającym. Tak tam gwarно i huczno, tak szkło brzęczy, tak się pacyenci śmieją, że patrzący z boku mógłby mniemać, iż się im coś bardzo przyjemnego wydarzyło, lub że wspólną a radosną uroczystość obchodzą.

W paradnej sali młody dzierżawca w dość niedbałej pozie zasiada na kanapie, pani Małka chloroformuje go pełnem obietnic wejrzeniem ogromnych czarnych oczów, tudzież winem, które dla tak rzadkiego i nadzwyczajnego gościa sama własnoręcznie z piwnicy przyniosła.

Główny chirurg i sławny operator, Jankiel Bas, z niezmierną powagą gładzi brodę, jego dwaj asystenci, Tobiasz Głancman i Noach Szparag, gestykulują na stronie i wiodą między sobą spór bardzo ożywiony.

Jankiel Bas, jak trafnie przewidywał dzierżawca, jest dziwnie twardy, jest tak twardy i nieugięty, jak sztaba żelazna. Pani Małka usiłuje go

zmiękczyć cokolwiek, co jej przychodzi z trudnością; młody człowiek nie może ukryć pewnego niepokoju, gdyż niepewny jest rezultatu. Cała jego nadzieja w pięknej gospodyni, która mu przyrzekła poparcie i wzrokiem bardzo wymownym zdaje się to przyrzeczenie ponawiać.

Ale to będzie drogo kosztowało i nie dziwnego, bo istotnie interes jest trudny. Przedewszystkiem Jankiel Bas jest twardy i nieusposobiony; wyraźnie powiada, że nie ma do proponowanej tranzakcyi ani chęci, ani pieniędzy.

Co do pierwszego punktu, ustępuje jedynie naleganiom i prośbom pani Małki; co do drugiego zaś, musiałby się starać o współników, ale jacyż to współnicy! Nie fachowi ludzie od zboża, nawet nie faktorzy. Tobiasz Glancman, młody człowiek, dopiero zaczyna się puszczać na geszefta, jest jeszcze nieśmiały i nie decyduje się łatwo; Noach Szparag przeciwnie, jest już stary i prawie wycofany z interesów i musi przynajmniej dziesięć razy zażyć tabaki, zanim powźmie postanowienie, że trzeba coś zrobić. Jankiel zaś, trzeci i główny współnik w tej aferze, przystępuje do rzeczy bez „fajeru“ i zdradza tendencję ospałą, ziewa bez ceremonii, jak nie „pod Łabędziem“ w dzień jarmarczny, ale jakby u siebie w domu, w święto, popołudniu.

W przemówieniach jego czuć gorycz i zniechęcenie.

— Pan zapewne sądzi, że zboże jest towar. Nie zawsze, jak czasem. Niekiedy jest dobry towar a niekiedy bywa wart tyle, co śmiecie.

— Moja pszenica jest prześliczna; widział Jankiel zapewne, przejeżdżając przez Zatraceniec.

— Owszem, widziałem, bardzo ładna pszenica, ale cóż z tego, kiedy teraz cena brzydka; kto kupuje w tym roku, jest wielki ryzykant, może grubo stracić.

— Dlaczego?

— Dlatego, że przychodził taki telegraf do Gdańska, że w Ameryce szlachta ma ogromny urodzaj w tym roku, że cały świat pszenicą zasypie; Węgry też mają zboża więcej niż zawsze — wszędzie urodzaj, na całym świecie urodzaj — zboże będzie za bezcen i w małym ruchu. Kto może chcieć kupować?

— Jankiel kupi — rzekła pani Małka z uśmiechem. — Ja wiem, że Jankiel kupi.

— Kupię, ale bardzo tanio.

Wymienił cenę, dzierżawca aż się zerwał z kanapy.

— Ależ to niesposób?

— Niema w handlu gniewu, niema w handlu przymusu. Niech się pan wstrzyma do wiosny, może będą ceny lepsze, może się trochę poprawi.

— Pan wiesz, że wstrzymać się nie mogę.

— Więc musi pan sprzedać tanio. Ja powiedziałem już, że pieniędzy teraz dużo nie mam, muszę do tego interesu mieć współników, to też wpływa na cenę.

— A to z jakiej racji?

— Bardzo prosta racja. Jeżeli ja robiłbym sam ten interes i skorzystał na nim, dajmy na to, mówiąc dla przykładu, rubla — to ja będę bardzo kontent, że zarobiłem rubla, a skoro jest prócz mnie dwóch współników, to oni też chcą być bardzo kontenci i także zarobić po rublu. To jest jasne, jak dzień.

— Ma się rozumieć — rzekł Glancman — my też chcemy żyć.

Rozpoczął się targ zawzięty. Młody człowiek z początku trzymał się twardo, lecz widząc, że nie poradzi, stawał się coraz skłonniejszym do ustępstw. Pieniądzy potrzebował na gwałt, o czym współnicy wiedzieli doskonale.

Podczas targu pani Małka rzuciła od czasu do czasu delikatne słówko, aby zmiękczyć twardość Jankla i jego współników, lub w celu przekonania młodego człowieka, że sprzedaż, jaką czyni, aczkolwiek nie jest wyjątkowo świetna, jednak... bywają na świecie daleko gorsze.

— W tym roku rzeczywiście cena mała — mówiła — ale pan jesteś człowiek młody...

— Aj, aj! i jaki młody! — wtrącił Jankiel — ja już nie pamiętam, kiedy taki młody byłem.

— Pan masz czas, pan możesz się doczekać daleko lepszych, bardzo wysokich cen!..

— Aby tylko zdrowie było — dorzucił Glancman — to się wszystko wyrówna.

— Handlowy interes — zakonkludował Jankiel Bas — dziś stracił, jutro zarobił, aby handel szedł.

Cały stół, z którego przy zawieraniu tranzakcyi zazwyczaj zdejmowano serwetę, zapisany był kredą przez Jankla i przez jego współników.

Jest to obyczaj bardzo słuszny. Kreda, minerał szlachetny, a zarazem nie drogi, jest jakby stworzona do notowania umów przedwstępnych i obrachowań tymczasowych. Ślad jej daje się z łatwością zetrzeć rękawem, albo chustką i stół pozostaje czysty, jak gdyby nigdy żadnych umów na nim nie zawierano.

Każdy porządny kupiec nosi kredę w kieszeni, bo ona we wszelkiem zdarzeniu może się przydać, bo ona jest niejako poprzedniczką atramentu, którego znaczenie jest zupełnie inne. Atrament ma charakter stały i bardziej poważny; zaraz też, gdy kreda kończy swą rolę, on swoją zaczyna. To też, kiedy Jankiel powiedział wielkie słowo: „siojn“, pani Małka natychmiast przyniosła kałamarz, pe-

łen utopionych much, ale zresztą bardzo porządy, dwa arkusze szarego papieru i pióro.

Pisanie nie zabrało wiele czasu, a gdy już było skończone, Jankiel wydobył z kieszeni ogromny skórzany pugilares, dający się rozciągać niby harmonijka i wyrzucił z niego na stół paczkę zatłuszczonych banknotów. Operacya była skończona; Jankiel i jego wspólnicy wyszli ze stancyi, a pani Małka, niby trochę zażenowana, mówiąc ciągle o przyjaźni, życzliwości i swoim dobrem sercu, przyjęła jednak dość sute¹ porękawicze, jako wynagrodzenie za to, że skruszyła twardość Jankla.

Młody człowiek wyszedł na miasto, a za chwilę na tej samej kanapie, przy tym samym stole, operowano już drugiego dzierżawcę, jakiegoś siwego wusacza, który widocznie miał bardzo gwałtowny temperament, gdyż wymachiwał ciągle rękami, klął strasznie, a na powłóczyście spojrzenia pięknej kobiety wcale nie zważał.

W chwili uniesienia posunął nawet gburowatość do tego stopnia, że powiedział do zachwycającej kupcowej te słowa:

— Niech Małka nie przewraca ślepiami, bo to się na sto dyabłów nie zda. Widziałem ja już ładniejsze, kiedy jeszcze Małki na świecie nie było.

Niewiele szlachcicowi ta krewkość i gwałtowność temperamentu pomogła; zoperowano go równie szybko i zręcznie, jak łagodnego młodzieńca,

a przy odbieraniu porękawicznego Małka zrobiła do niego takie słodkie oczy, jakie tylko kot może zrobić do myszy, gdy ją zdaleka spostrzeże. Nie było mowy o uczuciach przyjaźni i poświęceniu, a natomiast szedł targ zawzięty, przy którym nie dobierano wyszukanych wyrazów.

Wszystko to jedno zresztą, gdyż różne są metody załatwiania interesów, a wszystkie w skutku jednakowe.

Delikatnego — trzeba operować delikatnie, szorstkiego — szorstko i bezwzględnie.

Dzień był doskonały, tranzakcyje szły wybornie, ogromny pugilares Jankła napełniał się dowodami, grubiał, pęczniał, puchł i można było bez przesady powiedzieć, że mieścił w sobie prawie całą okolicę Czarnobłota.

Po dzierżawcy gwałtownym przyszedł spokojny, po spokojnym płaczliwy i wyrzekający na złe czasy, po tamtym apatyczny, mający minę człowieka, któremu dawno już życie obrzydło.

Byli i oficjaliści, którym trzeba było pożyczyć na rachunek tantiemy — byli różni ludzie i wszyscy wychodzili zoperowani biegle, wprawnie, zręcznie, z niezawodną pewnością ręki i spokojem mistrza, działającego świadomie i napewno.

Część pieniędzy otrzymanych przy kupnie lub pożyczce, zostawała w sklepie pani Małki, w tym pierwszorzędnym sklepie czarnobłockim, w którym

można było dostać wszystkiego, czego tylko dusza zapagnie, od wina do nafty, od herbaty aż do smarowidła.

Znana to w Czarnembłocie zasada, że pieniądź powinien szybko i przez bardzo wiele rąk przepływać, do każdej albowiem jakaś odrobinka przyłgnie a z tych odrobinek ludzie mają życie.

Naturalnie, że pojęcie o odrobince jest bardzo względne. Co jest okruszyną dla Jankła Basa, wydawać się może ogromnem dla dzierżawcy rogatkowego, a odrobinka, jaką w dniu jarmarcznym zyskuje pani Małka, warta jest znacznie więcej, niż całoroczny dochód filozofa Engelmana.

W drugiej stancyi było o wiele gwarniej, zwłaszcza w południe i popołudniu, gdy ruch jarmarczny dochodził do kulminacyjnego punktu. Tam między szaraczkami, pełnymi buty i animuszu, przewijali się operatorowie specyjalni, pachciarze wiejscy, kapitaliści, nie tacy wprawdzie zamożni, jak Jankiel Bas, ale swoją drogą bardzo porządni i solidni ludzie; przyczyniali się oni, jak mogli, do ożywienia stosunków handlowych Czarnegoblota i okolicy, a każdy z nich dla większego kupca wart był tyle, ile najlepsze biuro informacyjne.

Czego nie wiedział naprzykład taki Jankiel z Zatraceńca, Chaskiel z Olszanki, Mendel z Wierzbówki? Oni wiedzieli, kiedy u którego gospodarza kura jajko zniosła, ile która krowa mleka daje,

ile motków przędzy, wianków cebuli, grzybów suszonych, czosnku wisi na strychu. Nie było dla nich nic skrytego, żadnych tajemnic. Wiadomo im było, jaki przy której stajni jest zamek, jaki charakter ma każdy kundel podwórzowy, znali najdokładniej wszelkie drożynki polne i leśne, ścieżki między zbożami, doły w polach, suche rowy, słowem, całą topografię wioskową jak najdokładniej.

O każdym chłopie mogli dać informację wyborną: czy jest pracowity, czy próżniak, trzeźwy, czy pijak, czy ma babę dobrą, czy złą, czy się jej boi, czy nie. Wiedzieli, co warte są jego dzieci; czy lubią palić papierosy i kosztować słodkiej wódki, czy też nie dadzą się skusić za pomocą tych środków.

Od tych informatorów dowiedzieć się było można z całą dokładnością, czy w danym folwarku karbowy ma cholewy u butów bardzo szerokie, czy zwyczajne; gdzie są składane na noc klucze od śpichrza, który fernal ma zamięłowanie specjalne do handlu owsem, który pastuch nie broni znajomemu żydkowi wejść do obory i zaglądać do żłobów, który owczarz zna się na rzeczy i umie wybierać braki, jak się należy.

Oni wiedzą jak najdokładniej, kiedy w folwarku fornale śpią w czworakach, a kiedy w stajni, kiedy śpią twardo, kiedy lekko, a kiedy bardzo mocno. Wiedzą, ile kto na wsi ma pieniędzy, ile mu braku-

je, czy ten brak jest bardzo dokuczliwy, czy też można go wytrzymać i do jakiego czasu.

Gdyby ich kto przebudził z głębokiego snu, mogą powiedzieć bez zająknienia, ile kto posiada stożków siana i kop słomy, czy ma czem przeżywić konie i bydło do wiosny, czy też je musi na jesieni sprzedać.

Jest taki paskudny inwentarz, na który szanujący się kupiec nie powinien patrzeć, a jeżeli wypadkiem spojrzy i zobaczy, to wypada mu splunąć. Wiejski żydek też spluwa, ale swoją drogą liczy sztuki i ocenia je. Wie on dobrze, ile warte jest prosię, ile chudy podświnek a ile spasiony karmnik.

Jest to obrzydliwe towaroznawstwo, ale w interesie przydatne, a częstokroć się zdarza, że szanujący się kapitalista pożyczka chłopu pieniądze na taką nieprzyzwoitą ewikcyę.

Chłop się zaklina, że jak tylko wieprze sprzeda, zaraz dług odda.

Paskudna hipoteka, ale cóż robić? Pilnuje więc chłop na jarmarku, żeby pieniędzy nie stracił, zanim oddać je zdąży.

Właśnie i Wasążek taką Chaskłowi i Jukłowi, którzy porozumieli się w dwóch słowach, ewikcyę przedstawiał. Kapitałści spluwali, mówiąc, że od takiej godnej osoby, jak pan Wasążek, zapewnienia nie potrzebują, że im zwykły rewers wy-

starczy, ale zarazem spojrzeli wymownie jeden na drugiego. Jukiel był spokojny, wiedział bowiem, że od tego dnia chlew Wasążka pozostawać będzie pod ścisłą kontrolą i że żadna zmiana w brzydkim personelu jego mieszkańców nie ujdzie przed bacz-
nem okiem Chaskla.

Nie bardzo jest przyjemnie patrzeć na takie stworzenia i na nich opierać pewność kapitału, ale jeżeli inaczej nie można, to lepiej wziąć jeszcze dwa procent miesięcznie wyżej za nieprzyjemność, niż nie robić wcale interesu, lub opierać go na pięknych oczach Wasążka, albo, co na jedno wynosi, na powietrzu.

Wielki i ciężki był targ żyda z szaraczkiem, trochę już ciętym dla fantazyi. Wasążek wymyślał swoim dobroczyńcom od rozbójników i wisielców, życzył im, żeby zgnili w prochowni, lub w jeszcze gorszym kryminale. Zgodę przybijał im na dłoniach twardą, narobioną ręką, ciężką, jak z ołowiu, silną, jak ze stali.

Jukiel wrywał dłoń.

— Pfe! niech acan tak nie bije! Acan może miarkować, że to boli...

— Głupis i obyczaju nie znasz, dobra zgoda — dobre przybicie. Robimy zgodę, czy nie?

— No, już, już!

— A to dawaj rękę.

— Na co?

— Bez wykrętów. Ma być zgoda, niech raz będzie zgoda i skutek!

Pochwycił rękę Jukła i uderzył w nią swoją dłonią tak silnie, że aż żyd odskoczył.

— Niech acan nie robi awantury, do czego to podobne jest? Niech acan lepiej siada przy stole i pisze rewers. Czy acan piśmienny jest?

— Czy ja piśmienny? A cóż to sobie myślisz? Ja na kodeksach i na sprawach zęby zjadłem i piśmiennybym nie był? Ręka w pracy zesztyniała krzynkę, ale pisma się ona nie boi.

Tak samo, jak w głównym salonie, kreda ustąpiła pola atramentowi, Walenty zasiadł przy stoliku, odsunął butelki, kufle i zaczął pisać. Ciężko mu to szło, w izbie było parno i duszno. Gdy się nachylił nad stołem, a jako chłop wysoki, bardzo zgiąć się musiał, żyły na czole i na skroniach wystąpiły mu, jak baty, twarz nabrała koloru karmazynowego, z czoła krople potu, niby ziarna grochu, spadały na papier.

— Acanu, panie Walenty, krzynkę ciężko jest — zauważył Jukiel.

— Gorąco, psia dusza!

— Nu, z rewersem nie można czekać do zimy.

— Pomaleńku, napiszę.

— Ja acanu co powiem, panie Walenty, na co się pan ma zrywać i męczyć, tu żydek jeden przyjdzie. On bardzo lekki do pióra jest, w jednej mi-

nucie napisze i drogo nie weźmie. Porządny chłopak, da mu pan cokolwiek za fatygę, bagatelkę i będzie kontent.

— O to! jeszcze będę żydziakowi kieszenie napychać! Dość mnie już kosztujecie!

— Ale niech-no pan Walenty uważa, że pana Walentego pisanie długo zabawi, a my nie mamy czasu. Dziś jarmark, dziś godzina więcej warta, niż zwyczajne trzy dni. Ja poślę po żydka.

— Czekać, czekać! — odpowiedział Wasążek i zdjął przedewszystkiem z szyi czerwony szalik wełniany, który pomimo gorąca miał na sobie, następnie zrzucił surdut, kamizelkę, rękawy od koszuli zawinął po łokcie i tak roznegliżowany, chociaż kobiet w izbie nie brakło, do pisania zasiadł.

— No, teraz — rzekł — pójdzie już, jak po mydle, zobaczysz.

Szło oporem.

Ręka mokra przylepiała się do papieru, muchy, obsiadające łysinę, przeszkadzały zebrać myśli, pióro wyślizgiwało się z ręki.

Wielkimi literami wypisał szlachcic: „Ja niżej podpisany własnoręcznie, Walenty Wasążek...“ Znowuż umoczył pióro w kałamarzu, ale umoczył zanadto i ogromny kleks rozlał się po papierze.

— No, co teraz będzie? — spytał Jukiel.

— Uf! gorąco piekielne; siedzę, jak w piecu,

ciężko! Niech będzie, co chce, posyłaj po onego żydziaka wnet.

Chaskiel pobiegł i mistrza od pióra z sobą przyprowadził.

Był to żydek blady, jak kreda, szczupły, w kaptocie nieco krótszej, niż czarnobłocka moda wymaga, z oczami zapadłymi, piersią zakłęśłą, suchotnik.

— To ty, żydku, taki mechanik od pióra?—zapytał Wasążek.

— Ja. Co ma być?

— Napiszesz rewers, a ja podpiszę.

— A co ma być?

— Rewers, powiadam ci. Czyś głuchy?

— Słyszę, ale chcę wiedzieć, co ma być?

— On się pyta, co za to dostanie — wtrącił Jukiel.

— A cóż ty chcesz?

— Rubla.

— Żebyś ty zmarniał, cygańska duszo! Rubla za głupi rewers!

— Co ja winien, że wasan chce napisać głupi rewers?

— Chcę, bo biore pieniądze.

— Ja też chcę brać pieniądze.

— Panie Walenty, nie bałamućmy — prosił Jukiel—to jest jarmark, mamy jeszcze dużo interesów do zrobienia.

Po krótkim targu, żydek, jako człowiek mięk-

kiego serca, dał się przekonać, że za napisanie rewersu żąda trochę zadrogo i poprzestał na dwudziestu groszach, które mu Walenty zaraz po skutecznionej czynności doręczył. Następnie skrypt podpisał, pieniądze do kieszeni zgarnął i spokojny, że już będzie miał o czem z sąsiadem taniec rozpocząć, udał się na miasto, aby sprawunki załatwić.

Gdy Wasążek robił tranzakcje finansowe „pod Łabędziem“, sąsiad jego i przeciwnik zarazem, uczynił to samo „pod Kogutem“. Tak więc obadwaj byli przygotowani do niekrwawej przed krótkimi sądownymi rozprawami.

Dodawało im to animuszu i fantazyi nadzwyczajnej. Myny mieli zawadyackie, czapki zbakierowane, chód wprowadzie niepewny, ale nadzwyczaj śmiały. Ludzie ustępowali im z drogi.

W trzecim oddziale wielkiej polikliniki „pod Zielonym łabędziem“ operowano chłopów. Krzyk tam był ogromny, rejwach nadzwyczajny.

Chłop w normalnych warunkach mówi głośno, a gdy wypije parę półkwaterków, krzyczy; delikatny człowiek, jeżeli chce chłopą przekonać i wpakować mu w twardą mózgownicę pewnik, że dwa i dwa jest siedem, musi krzyczeć jeszcze głośniej, że zaś w szynkowni znajdowało się współcześnie ze czterdziestu chłopów; ze dwadzieścia bab i kilkunastu delikatnych ludzi, więc łatwo sobie wy-

brazić, że panował tam pewien szmer czysto jarmarczny. Nawet Mojsie Fisch, który sam nieraz mówił, że niezmiernie lubi ten rodzaj muzyki i nad wszelkie inne go przekłada, od czasu do czasu zatykał uszy i krzywił się z nadmiaru rozkoszy.

Piękny organ głosu miał Michał Rokita, jeszcze piękniejsze Bartłomiej Podsiadło, Roch Pierzchała, Filip Jagoda. Głosy tych ludzi były bardzo mocne, tak mocne, jak ich plecy rozrosłe, ręce potężne, mięśnie żelazne.

Wszystko na świecie musi mieć swój koniec, więc też i jarmark się skończył.

Jak rano szeregi fur pięły się różnymi drózkami na wzgórze Czarnobłockie, tak o zachodzie słońca znowuż temi samemi drózkami staczały się na dół, każda jakąś cząstkę z siebie w Czarnembłocie zostawiwszy.

W miasteczku gwar się uciszał, natomiast na drogach było głośno. Niejeden wieśniak, podocho-ciwszy sobie, śpiewał na cały głos, inni kłócili się, inni rozmawiali.

O północy, a nawet jeszcze po północy, słyhać było turkot wozów i głosy zapóźnionych jarmarkowiczów, jakby na stwierdzenie tej wielkiej prawdy, że droga na jarmark jest znacznie krótsza, aniżeli droga z jarmarku.

Może komu dziwnem się to wyda, ale tak jest, a przyczyny różnicy dwóch zupełnie jednakowych

i równych dróg są następujące: Na jarmark chłop jedzie rano, z jarmarku wraca wieczorem; na jarmark jedzie trzeźwy, z jarmarku podcięty; na jarmark spieszy się i nie wstępuje do karczem przydrożnych, z jarmarku nie ma potrzeby się spieszyć i może wstępować, gdzie zechce. Nikt mu też nie broni nocować w rowie przydrożnym, lub znaleźć sobie inny na świeżem powietrzu przytułek.

Oto są powody, dla których wbrew logice, ale zupełnie zgodnie z rzeczywistością, jedna i ta sama droga może być raz dłuższą, raz krótszą.

ROZDZIAŁ VI.

O bydlęciu mądrym, o dziadzie hardym, oraz o dwóch pannach urodziwych.

Jeżeli kto wyobraża sobie, że na jarmarku w Czarnemłocie bywają tylko ludzie z tego mizernego świata, który oczami naszemi widzimy, na którym żyjemy i handlujemy, ten jest w błędzie i znajduje się od prawdy tak daleko, jak dajmy na to miasto Czarnebloto od miejsca, na którem ongi wznosił się gród rozpusty — Sodoma.

Że nietylko zwyczajni ludzie bywają na jarmarkach, o tem dają świadectwo z jednej strony uczeni mężowie, z drugiej zaś nieokrzesani prostacy, co jest wymownym a niezbitym dowodem prawdy.

Można w tym razie powiedzieć, że prawdę, o której mówimy, widzący widzą, a ślepi ją namacali.

Jest niedaleko od Czarnegołota nieduże, ale

bardzo sławne miasteczko Kopytków; w niem mieszka pewien mąż sprawiedliwy i uczony, do którego się tysiące ludzi zjeżdżają, głośny na dalekie, dalekie okolice, rabi Chaim. On wie dobrze, kto bywa na jarmarkach i jakim towarem handluje.

Gdyby kto miał szczęście być dopuszczonym przed oblicze rabi Chaima i usłyszeć słowa, które niekiedy z ust swoich, niby rajskie ptaki ze złoczonej klatki, wypuszcza, dowiedziałby się wielu a wielu ciekawych, a nieznanych rzeczy: usłyszałby, że na tym naszym świecie znajduje się drugi jeszcze świat, zaludniony przez istoty niewidzialne gęściej, niż największe miasto. Są między niemi złe i dobre, pomocne i psotne, przyjazne i wrogie, a skoro są na świecie, to oczywista rzecz, że bywają i na jarmarkach, bo któżby im mógł tej przyjemności zabronić? Ale nie trzeba szukać aż tak wielkiej powagi, jak rabi Chaim z Kopytkowa, gdyż każdy najprostszy żyd wie o tem, że na jarmarkach w Czarnembłocie bywa wielki miłośnik prorok Eliasza i w ten lub inny sposób nastęrcza ubogim żydkom sposobność do zarobienia, aby mieli z czego żyć i żywić liczne potomstwo; wie również, że bywają duchy dobre i złe, wie, że w bezmyślnych zwierzętach, w koniach, bydle, w drobiu, siedzą duchy zmarłych ludzi, że istnieją one nawet w przedmiotach martwych, jak np. w suchych drzewach i kamieniach przydrożnych.

Ciemny i nieokrzesany naród, chłopi, niezdolni do poważnego myślenia i zastanawiania się nad zagadnieniami świata, także mają o złych duchach pojęcie. Wiedzą oni, że o północy przeszkadzają one na groblach, koło mostów, na drogach rozstajnych i czynią różne psoty niegodziwe.

Wasązek, chociaż nie zaznał w swoim życiu i nie zazna do śmierci smaku mądrych ksiąg i chociaż, z drugiej strony, nie jest tak bezwzględnie nieokrzesany, jak na przykład Michał Rokita, znał się jednak cokolwiek na duchach i miewał z nimi nieraz do czynienia.

Najczęściej spotykał ich, powracając z jarmarku.

Opowiadać o tych przygodach nie lubił, ale ludzie wiedzieli, że je miewał; świadczyło bowiem o tem zabłocone ubranie, czasem guz na czole, lub siniaki pod okiem. Po załatwieniu interesu z żydami i zakupieniu kilku drobnych sprawunków, Wasązek powrócił jeszcze „pod Łabędzia“ i tam zabawiał się w godnej kompanii, przy butelce.

Trwało to może do jedenastej w nocy. Dokładnie tego Wasązek nawet po gwiazdach wymiarować nie mógł, gdyż te, jak na złość, rozruszały się owej nocy na firmamencie, akurat, jak żydzi na jarmarku.

Chociaż Wasązek miał wóz kuty i litry wyplatane, które wyglądały — pisz, maluj — jak bryczka,

jednak na kołach jeździć nie lubił i najczęściej podróżował wierzchem, na starej gniadej kobyle. Była to szkapa własnego chowu Wasążka, znała swego pana i słuchała go, jak pies. Wasążek nie sprzedałby jej nawet za duże pieniądze, bo też było to bydłatko wielce mądre i na wszystkie sposoby wypraktykowane.

Wasążek umiał cenić jej przymioty i wiedział, że lepszej szkapiny dla siebie nie znajdzie. Istotnie, była ona jakby stworzona dla niego.

Słusznie powiedział ongi pewien chłop, że „in-sze bydłę, chociaż nie potrafi przemówić, ma jednak więcej rozumu, aniżeli niektóry człowiek.“

Zdanie to możnaby doskonale do szkapy Walentego Wasążka zastosować.

Do drogi tak była wypraktykowana i widząca, że czy w zaprzęgu, czy pod wierzchem, wśród nocy najciemniejszej, stąpała tak pewno i śmiało, jakby w samo południe. Wasążek mógł spać na wozie doskonale, gdyż pewny był, że szkapa nie zabłądzi i że go do rowu nie wrzuci.

Przed sądem gminnym zawsze stawała, jakby wiedząc, że jej pan ma ciągle do tego domu interesa; zatrzymywała się również przed każdą karczmą. Jeżeli Wasążek zeszedł z wozu na rozgrzewkę, czekała spokojnie, dopóki nie wyjdzie, jeżeli zaś nie zsiadał i spał, stała przez jakąś chwilę i włókła się w dalszą drogę.

Do pastwiska bydłatko było jedyne; zawsze znalazła drogę do cudzej koniczyny lub owsa, ale za najmniejszym szmerem, dosłyszawszy zdaleka odgłos kroków ludzkich, wynosiła się pocichutku na swoje miejsce i szczypała chudą, ale Wasążkową trawkę, najlegalniej i bez obawy, że jej kto jakąś przykrość wyrządzi.

Nie było wypadku, żeby ją złapano w szkodzie, a przecież wyglądała nieźle, chociaż jej skąpy Wasążek cukierkami nie pał.

Na noclegach i popasach, w cudzych stajniach i zajazdach, umiała się doskonale zdjąć z uździenicy i powyjadać obrok innym koniom, a sprawowała się przytem tak cicho i spokojnie, że żaden furman się nie obudził i malwersacyi nie spostrzegł.

Pożywiwszy się, jak należy, wracała na swoje miejsce i albo kładła się na słomie, albo też stała spokojnie, ze łbem nisko, do samej ziemi spuszczonego, apatyczna, jakby jej życie obrzydło.

Ogromnie zaradne bydłatko!

Potulna i spokojna wobec Wasążka, Wasążkowej i małych Wasążczaków, które najbezpieczniej na niej jeździły, względem obcych ludzi była niezmiernie harda i nieprzystępna.

Gdy się do niej kto zbliżał, tulila uszy i wyszczerzała ogromne żółte zęby, z wyrazem wielkiego niezadowolenia.

Raz w nocy złodziej zakradł się do stajni i chciał ją uprowadzić; tak go pogryzła i kopytami potłukła, że przez kilka tygodni leżał i ledwie się wylizał, tembardziej, że i Wasążek, którego hałas w stajni przebudził, nakładł mu także porządnie.

Od tej pory już się złodzieje nie kusili o szkapę.

Ale wszystkie te przymioty, które wykazywała jako szkapą zaprzęzną w drodze, zaradna w cudzej stajni i na pastwisku, potulna w domu, energiczna wobec obcych, były niczem z przymiotami jej, jako wierzchówki.

Zdaje się, że Wasążek część własnej fantazyi jej odstąpił, bo gdy jej źypie i słomę z ogona wyskubał, gdy ją nieco rękawem wygładził, a stare siodlisko na nią włożył, nabierała takiej zawadyackiej miny i fanaberyi, że trudno było ją poznać.

Od Wasążkowej posiadzialności do figury za wioską niosła łeb wysoko, potem spuszczała go znowuż, ale niechno do innej wioski wchodziła, znów była fantazyja okrutna i mina.

I Wasążek się wtedy pod bok podpierał, czapkę na bakier przekręcał i paradował tak, aż chłopci przystawali, mówiąc:

— Grosiwa wiele nie ma, ale miniasty od stu dyabłów!

Z iluż to przygód niedobrych wyratowała Wasążka wierna szkapą!

Szlachciura gorący był, do zaczepki skory, do

bójki jeszcze pędzsy, to też trafiało się czasem, zwłaszcza, gdy się na kilku rzucił, że musiał zmykać, aby kości salwować. W takich zdarzeniach, skoro tylko szkapiny swej dopadł, był bezpieczny zupełnie. Nieraz gonili go i na dobrych koniach, ale gdzieżtam! Szkapą rwała, jak wichur, grudy ziemi wyrzucając z pod kopyt.

Waszązek wówczas pochylał się tak, że jego konopiaste wąsiska splatały się niemal z rozwianą grzywą wierzchówki i wykrzykiwał co chwila:

— Hulaj, starucha!

I starucha hulała też, hulała bez pamięci. Mogło się zdawać, że ją szła jakiś ogarnął.

Rowy, wyrwy, zagony, nic nie znaczyły dla niej; pędziła, jak wichur, dysząc ciężko, pędziła dotąd, dopóki tylko mogła.

Potem zwalniała bieg stopniowo, uspakajała się, aż wreszcie, ciężko robiąc bokami, stawała.

Wówczas Waszązek napominał ją łagodnie i ostrzegał:

— A spróbuj-no i ochwać się, starucho, obaczysz, zaraz żydowi cię sprzedam!

Nie ochwaciła się, zdrowie miała żelazne i trwałość niespożyta.

Pocziwe bydło. Siedmioro źrebiąt miał od niej Waszązek, a wszystkie pięknie się wychowały i za dobre pieniądze do ludzi poszły. Pamięta je Waszązek dobrze, wszystkie były gniade jako i matka,

łyse jako i matka, z pończochą na lewej nodze zadniej, też jako i matka.

Jeden tylko był odmieniec i miał łeb, jak latarnię, całkiem biały, ale swoją drogą natura w nim była poczciwa; do roboty nie zanadto ciekawy, do żarcia jedyny i przez to właśnie zawsze gładki i gnatami nie świeci. Doskonały koń, kupił go ksiądz z Zimnej Woli i nie wstydzi się nim jeździć w pojedynkę, chociaż osoba znaczna i kanonik.

Starucha wiedziała zawsze, kiedy Wasążek jest trzeźwy, a kiedy pijany, boć się i to szlachcicowi, odpuść mu Panie, zdarzało.

Gdy trzeźwy był, szła pod nim równo i śmiało; gdy pijany, dreptała drobno, podbiegając bokiem to na prawo, to na lewo, stosownie do tego, w którą stronę się szlachciura przechylał i tym sposobem podtrzymywała go na sobie, aby nie spadł.

Ktoby widział w nocy Wasążka, powracającego z jarmarku na swej szkapie, idącej drobniutkim kroczkim, zbaczającej co chwila to na prawo, to na lewo, mógłby wziąć jeźdźca i konia za jedną istotę i pomyśleć, że ma przed sobą dobrze podchmielonego centaury.

Tym razem Wasążek był dobrze cięty, ale nie drzemał, bo mu nowa sprawa na to nie pozwalała. Myślał o niej, miał już potrzebne na nią pieniądze

i rozkoszował się przedsmakiem tańca, jaki z sąsiadem rozpocznie.

Droga ciągnęła się przez niewielką groblę, przerzynał ją rów nie głęboki, a na nim rzucony był mostek z balików, nawpół spróchniałych, jak klawisze ruchomych.

Właśnie do tego mostku dojeżdżał Waszątek, a tak się myślą w swoją uciechę spodziewaną zagłębił, że aż głośno mówić zaczął:

— Będę tańcował — rzekł — o! będę tańcował!

Nagle, nie wiadomo z kąd, w ciemności nocnej, odezwał się głos gruby, ochryply, jakby z pod ziemi wychodzący:

— Łzesz, Walenty, bo nie będziesz tańcował!

Szkapa stanęła, jak wryta, szlachcic narazie zorientować się nie mógł, co się stało, kto do niego przemawia. Uczuł, że mu się jakoś zimno robi, ale przez wrodzonego ducha przekory krzyknął:

— Otóż będę!

— Nie będziesz! — odezwało się znowuż z pod ziemi.

— Ktoś ty? — zawołał szlachcic, czując, że mu się czapka na głowie podnosi.

Zamiast odpowiedzi, rozległ się jakiś śmiech dziwny, nieludzki, w którym słychać było, jak gdyby wycie wilka, głos puszczyka, a jednocześnie ogromna jakaś figura ukazała się tuż przy drodze.

Musiało w niej być coś osobliwego i nadzwyczaj-

nego, bo szkapa drgnęła i rzuciła się w bok tak nagle, że Waszązek o mało z siodła nie wyleciał.

— Wszelki duch Pana Boga chwali! — zawołał i uderzył szkapę z całej siły prętem.

Starucha chrapnęła tylko, rzuciła się naprzód, jak szalona, nie drogą, ale przez podorywkę, przez ściernie, przez łąkę; pędziła, jak wichur, jakby przez wilki ścigana.

Waszązek zląkł się bardzo, ale co dziwniejsze, że przestraszyła się także i szkapa.

Wysoka postać, która niespodziewanie ukazała się, jak gdyby z pod ziemi, ją, tę tak spokojną kobylinę przejęła trwogą — to też, choć Waszązek nie krzyknął na nią „hulaj, starucha!“ — pędziła, jak wichur, bez względu na ciemność i na nierówność gruntu.

Szlachcic przynaglał ją jeszcze do biegu.

Tajemnicza postać wybuchnęła śmiechem.

— Dobrze ci tak! — rzekła — ja!mużny ubogiemu nie dałeś i jeszcześ mnie zdyfamował brzydkiem słowem, mnie! Ho, ho! jeszcze ja cię nieraz nocną porą tak nastraszę, że nie będziesz wiedział, którędy uciekać. Mnie dyfamować, mnie, Błażeja Pokrzywę! Mnie, którego na dziesięć parafij wkoło dziadowskim królem zowią. Ja na jarmarkach pierwszy, ja na odpustach pierwszy, ja na zaduszkach pierwszy; ja sto pieśni znam dziadowskich, a jedna nad drugą dziwniejsza; ja dziesięć głosów

różnych dobyć potrafię, a jeden nad drugi silniejszy; ja wiem, co przededworem zaśpiewać, co przed chałupą, co przed kościołem, co przy cmentarzu, a co na jarmarku pasuje. Ja nie przybędą z końca świata, ani nie kaleka z wypadku, ani chleba z biedy proszący — ja dziad z dziada pradziada rodzony; mój ojciec dziadem był, a matka też z dziadowskiego rodu; jeszcze panną była, a już za babę chodziła po świecie. I on mi dyfamację czyni!

Odsapnął i usiadł na mostku, z pod którego był wyszedł. Z gniewu widocznie jeść mu się zachciało. Zapуścił rękę w sakwę i szukać zaczął, mówiąc do siebie półgłosem:

— Naród jest miłosierny, daje chleb i trojaki... Insza baba i jajko do garści wciśnie i okrasy nie pożałuje, a za ziele dobre od słabości, za zamówienie, za odczynienie, za każdą przysługę zapłaci. Dobry i miłosierny naród, jałmużnę świętą daje i ubogie wspiera. Trafi się i taki Wasążek, coby i psu z gardła wyciągnął, trafi się odmieniec, dusza zatracona, ale rzadko...

Brzękło coś w torbie, flasza z gorzałką zapewne; dziad ją do ust chciwie przyłożył i ciągnął długo, potem rozmaite wiktuały wydobywał i jadł powoli.

Świt przy tej czynności go zastał. Cienie nocy przeredzać się zaczęły i pierzchać; można już było

widzieć drogę i mostek na niej, przysadziste grusze polne, co się rozsiadły na miedzach, a w oddaleniu kilkanaście wysokich topoli, które wyglądały niby smukłe wieżyczki.

Dziad podniósł się.

Był to chłop dużego wzrostu, barczysty, z miny raczej na zbójcę, niż na ubogiego żebraka-kalekę wyglądał. Piwne błyszczące oczy groźnie patrzyły z pod brwi krzaczystych, czarnych jak smoła. Długie włosy, szpakowate, spadały mu na namiona, broda aż na piersi.

Utykał trochę na prawą nogę i o kuli chodził, właściwie jednak nie była mu ona potrzebna, chyba dla dziadowskiego decorum. Gdy go nikt nie widział, Błażej niósł tę kulę pod pachą, lub na ramieniu.

Oprócz kuli, nosił z sobą i kij dziadowski, długi, sękaty, zakrzywiony w grubszym końcu, a w cieńszym dobrze okuty, powyżej okucia zaś obciążony skórą z jeża. Z takim koszturzem w ręku mógł dziad między najbardziej złemi psami przechodzić; koleczasta skórka jeża potrafiła je utrzymać w przyzwoitej odległości. Zresztą, ów kosztur potrzebny był raczej dla zachowania tradycyi dziadowskiej, aniżeli dla obrony. Błażej Pokrzywa tak był dobrze w całej okolicy znany, że i psy wioskowe czekały na niego jedynie ze zwyczaju i z poczucia psiego obowiązku.

Szczekały, gdy szedł, a gdy usiadł przed którą chałupą dla wypoczynku lub pogawędki, gdy świeży, pachnący jeszcze chleb zajadał, to najzawziętszy Burek albo Łysek gospodarski siedział przy nim spokojnie, patrzył mu w oczy, a nawet i łasił się do niego.

Nie przeszkadzało mu to później z ujadaniem groźnem odprowadzić dziada aż do następnej chałupy.

Błażej miał dla wszelkich form poszanowanie i tem lubił się szczyścić, że nie jest ladajaki żebrak, ale dziad zacny, według wszelkiej formy.

Oprócz kosztura z jeżową skórką, miał skorupkę żółwią, w której, gdy pod kościołem siedział, zbierał grosze; miał dwie sakwy płócienne, łątane gęsto, chodaki wykrzywione i dziurawe, sukmanę starą, jak świat, przepasany był pasem rzemieńnym, wytartym aż do białości.

Na szyi nosił różaniec z wielkich drewnianych paciorków, zakończony krzyżem mosiężnym.

Błażej, był to dziad posesyonat, nie włóczęga bynajmniej, lecz osiadły na swoich własnych śmieciach. Mieszkał w Zimnej Woli, wsi kościelnej, gdzie miał niedaleko cmentarza własną lepiankę po ojcu.

Stała ona na gruncie dworskim, ale nikt dziada o tytuł własności nie pytał i używalności mu nie bronił.

Oddawna w zwyczaj weszło, że w lepiance dziad siedzi — to i siedzi. Nie przeszkadzało to nikomu. „Dziadowską budą“ ta posesya się zwała, a sołtys z Zimnej Woli, setnie stary chłop i dawnych rzeczy świadomy, opowiada, że niegdyś, jak wielka zaraza na świecie panowała i grabarz nie mógł sobie z kopaniem grobów dać rady, zgodzono mu do pomocy dziada. Ten, czy dlatego, że chromał i chodzić trudno mu było, czy też, że na wsi go na komorne wziąć nie chciano, budę sobie tuż przy cmentarzu sklecił.

Zaraza przeminęła, a dziad został, budę fundamentalnie wzmocnił, gliną ją i ziemią obrzucił, tak, że trawa na niej porośla.

Zczasem zrobił sobie i drzwi zamykane i okienko i komin, a jednego razu, powróciwszy z włóczęgi kilkotygodniowej, babę szkaradną z sobą przyprowadził i dzieciaka, też kulawego jak sam.

Zaczęli ludzie na to sarkać, że zgorzenie się dzieje tuż przy samym cmentarzu, ale dziad gorszących się brzydkim słowem zdyfamował i złe języki przytarł, gdyż papierami się wywiódł i przekonał, metryki pokazawszy, jako baba jest jego prawowita żona, a chłopiec, prawowity syn, ochrzczony aktualnie, że po imieniu mu Błażej, a po nazwisku Pokrzywa.

Wójt się w tę w sprawę wdał, papiery obejrzał, dziada z rodziną zapisali do ksiąg i już pozostał

on tak przy wsi, jako rękaw przy kapocie, lub guzik przy innym stroju.

Czas uchodził, Błażek podrastał i w dziadowskim rzemiośle porządnie był chowany, aż nareszcie stara Pokrzywina zmarła, a Pokrzywa, jak się w świat po zebraniu puścił, tak więcej go oko ludzkie nie widziało.

Pewnie zmarł gdzie dziadzisko i ziemię gryzie.

W lepiance, w budzie dziadowskiej, Błażej sam pozostał, a że to tak niby jakby na prawie sukcesyi, więc mu nikt przeszkody żadnej nie czynił i siedzi po dzisiejszy dzień spokojnie.

Siedzi, ma się rozumieć, gdy przyjdzie; ale więcej włóczy się po okolicy, na odpusty, na jarmarki i grosze do kabzy, a chleb do torby zbiera, jak dziad.

Baby nie ma. Sam sobie jeść gotuje, sam sobie niekiedy łachmany pierze; w swojej wsi o jałmużnę nigdy nie prosi, chyba, że mu kto z własnej chęci grosz do garści wciśnie, to weźmie, ale nie darmo, bo zaraz, na poczekaniu, pacierz zmówi, żeby nie myśleli ludzie, że jest jako inni dziadowie, co to i pieniądze wezmą i nawet „Bóg zapłać!“ nie rzekną.

Kapnie mu też czasem co nieco za suszone zioła, których w lepiance ma zawsze dość, na różne słałości skutecznych.

Taki to jest ów Błażej, co Wasażka przestraszył, ów dziad posesyonat, dziad z dziadów.

Podjadłszy sobie dobrze na mostku, Błażej wstał i nie spiesząc się, poszedł drogą, potem ścieżką wydeptaną, co się wśród pól wiała, niby szara tasiemka; szedł ze dwie godziny, aż wyszedł pod samą Brzozówkę, pod folwark.

Właśnie przechodził koło dworu, otoczonego dużym, osztachetowanym ogrodem.

Słońce już weszło, na dziedzińcu między budynkami był rach, zóraw od studni skrzypiał przeciągle, fornale konie poili.

Koło sztachet ogrodowych, od drogi tylko rowem oddzielonych, dobył Błażej głosu wielkiego i stosownie do wczesnej pory dnia, zaczął śpiewać z pełnej piersi:

„Kiedy ranne wstają zorze...”

Ledwie prześpiewał jedną zwrotkę, z po za leszczyny, malin, agrestowych krzaków, wychyliła się jasna postać i ktoś dzwięcznym, miłym głosem zawołał:

— Dziadku, dziadku!

Błażej się obejrzał, za sztachetami stała dziewczyna młodziuchna, ładna, a świeża, jak poranek, który na nią blaski swe rzucał.

Ubrana była w jasną sukienkę, włosy miała uczesane gładko i w jeden wielki warkocz splecio-

ne. Za nią ukazała się druga, tak samo ubrana i bardzo do pierwszej podobna.

Błazej czapkę zdjął i do samych sztachet się zbliżył.

— Niech będzie pochwalony! — rzekł. — Dzień dobry panienom!

— Dzień dobry dziadku! A z kąd Pan Bóg prowadzi tak rano?

— Na jarmarku się było wczoraj w Czarnem-błocie, panienko, na jarmarku, podług dziadowskiego rzemiosła, które cięższe i trudniejsze, a mało intratniejsze, niż insze szewctwo. Wieczorem się wyszło z Czarnego błota, nocą się cokolwiek na gościńcu przespało, pod mostem, a potem się poszło i idzie się oto przed siebie.

— Wstąpcie do kuchni, barszczu wam dadzą, a i chleb jest świeżutki, wczoraj pieczony.

— Bóg zapłać! Stroi panienczkę kwiatek, a jeszcze piękniej stroi miłosierdzie dla ubogiego. Niechże Bóg wynagrodzi, niech da panienom zdrowie dobre, fortunę wielką i mężów, każdej takiego, jako sama sobie uwidzi i upodoba...

-- Idźcie do kuchni.

— Pójdę, panienko, podjem sobie i modlić się będę do świętej Zofii, patronki starszej panienci, i do świętej Jadwigi, patronki młodszej panienci, aby wyprosiły wam szczęście i błogosławieństwo

Boże. Podjem sobie, pomodłę się i pójdę dalej w świat.

— A w którą stronę, dziadku, pójdziecie?

— Gdzie oczy wskażą, a nogi poniosą. Powlokę się, kusztykając, przez las, bo między drzewiną chłodniej i precz, precz, lasem do Zimnej Woli na noc ściągnę do domu, jeżeli zdążę...

— To wam droga wypadnie przez Majdan.

— Dziadowi, panienko, rozmaicie drogi wypadają, czasem przez Majdan, czasem i nie przez Majdan, ale dziś musi mi wypaść przez Majdan.

— A to dlaczego?

— Dla panienki. Chociaż ja prosty dziadzisko i nieuczony, aleć zawsze zmiarkuję, co kiedy i jak uczynić, żeby za dobre słowo i za jałmużnę świętą, według swojej możności odsłużyć.

— Nie rozumiem ja, dziadku, co wy mówicie.

— Oj, dobrze panienka rozumie, tylko się przyznać nie chce.

Panna Zofia zarumieniła się, jak dojrzewająca wisienka, siostra jej zaczęła się śmiać, a dziad prawił dalej:

— Dziś mi droga przez Majdan wypadnie, panienko, sprawiedliwie przez Majdan, a coby panienka miała tam komu nakazać, to nakażę, a komuby się kazała kłaniać, to się pokłonię.

— Powiedzieć nie mam nic, a co do pokłonienia

się, to niech się dziadek pokłoni od nas pani Zawadzkiej!

— Dobrze, panienko, pokłonię się, a jej synkowi to pewnie nie trzeba?

— Dlaczegoż?

— Tedy pokłonić mu się od panienki?

— Po cóż?

— Dlaczegoż? Po cóż? I pokłonić się — i nie kłaniaj się... Mój dziadowski rozum nie zmiarkuje.

— Miarkujcie sobie, jak chcecie, ja przecież nie mówię ani tak, ani owak.

— To właśnie najlepiej, panienko.

— A to dlaczego?

— Bo ja, podług swego pomiarkowania, powiem mu i tak i owak.

— Tylko bardzo was proszę, nie powiedzcie za dużo. Ja wam nic nie polecam i do niczego was nie upoważniam. Pan Stanisław, jeżeli chce, może do nas przyjechać, zna drogę; że już dwa tygodnie nie był, to jego wola. Nikt tu nie tęskni z tego powodu i nie płacze, ale jeżeli jego mama, pani Zawadzka, przyjedzie, będziemy bardzo kontente. Niech jej to dziadek powtórzy, niech powie, że tęskno nam za nią, że przyjechałybyśmy do niej, ale teraz czas taki, w gospodarstwie zajęcie, że nie ma kiedy i ojca o konie prosić nie śmiemy. Pani Zawadzkiej łatwiej, niż nam, na leśniczówce gospodarstwo małeńkie, oddalić się można, a pan

Stanisław dla mamy koni żałować nie będzie. To tylko, dziadku, powiedzieć, nic więcej. Nic a nic, ani jednego słówka, bo zagniewałabym się na was strasznie.

— Dobrze, panienko, dobrze, Błażeja uczyć nie trzeba, powie on wszystko pani Zawadzkiej, a gdyby jej syna w lesie spotkał, to już na Majdan nie pójdzie, tylko lasem, wprost koło jeziora, do Zimnej Woli. Com miał matce powiedzieć, to powiem synowi, on zaś jej powtórzy akuratnie, do słowa. O powtórzy, to bardzo akuratny panicz.

— Zkąd wy, dziadku, wiedzieć możecie, czy on akuratny, czy nie?

— Dużo się, panienko złocista, po świecie chodzi, duży się widzi i słyszy, więc też i niejedno się wie. Ludzie nieraz mówią, na dziada nie zważają, a dziad siedzi w izbie, albo koło izby i słyszy. A wie panienska, co to ucho dziadowskie?

— No, ucho, jak ucho.

— Oj nie, panienko złota, nie; różne są na świecie uszy, a wcale nie podobne jedne do drugich. Insze chłopskie, insze żydowskie, a dziadowskie jeszcze inaksze.

— Jakież więc?

— A właśnie, że rychtyk, jak i dziadowska torba — głębokie. Co tam wpadnie, to już i siedzi, bo dziad rzadko kiedy torbę wytrząsa. Panienczki śmieją się z dziada...

-- Ależ nie.

— Wiem ci ja to, wiem, bom trochę widzący.

— Jaktó, widzący?

— Skoro trzeba urok odczynić — odczynię; zamówić bolączkę — zamówię; co w człowieku siedzi, przeniknę, i oj, panienko, jakie kto pomyślenie ma — zgadnę.

— Nie może być!

— A no, niech panienka spróbuje.

— Jakże mam spróbować?

-- Powiedzieć, co panienka myśli?

— Powiedzieć.

— Panienka myśli tak: dobrze, że dziadzisko idzie na Majdan, ale szkoda, że jutro nie będzie tędy powracał. Otóż, na złość, będę jutro powracał, jak się tylko jasne słońeczko ukaże.

Widocznie dziad odgadł myśli dziewcząt, gdyż roześmiały się głośno i uciekły w ogród, niby sarenki spłoszone.

Błazej brodę pogładził i powłókł się do kuchni na barszcz.

ROZDZIAŁ VII.

Słówko o dzierżawcy z Brzozówki, jego siostrze Gertrudzie, o soku wiśniowym i asygnacyi na drzewo.

O dzierżawcy Brzozówki kapitaliści czarnobłocy rozmaicie mówili, wogóle nie przypadał on im do gustu. Zboża na pniu nigdy nie sprzedawał, pieniędzy na zapłacenie raty dzierżawnej nie pożyczał, a kiedy przyszło do jakiej transakcyi, targował się o każdy grosz, czasem kłął, a bywały i takie zdarzenia, że porządnego kupca wyrzucał za drzwi.

Tego rodzaju ludzie nie są bardzo przyjemni w obejściu, ale za to pewni w interesie; są pewni w interesie, ale zarobić wiele na nich nie można.

U takiego człowieka sto korcy znaczy zawsze sto korcy, a dajmy na to ósmy grudnia jest bezwzrunkowo ósmym grudnia, choćby tego dnia było

nawet trzęsienie ziemi. Jest to bardzo ładnie, ale niekorzystnie, nie można bowiem dostać ani grosza za uchybienie terminu, ani kilku korcy zboża za poczekanie, ani nawet głupiego cielęcia, lub gęsi, za grzeczność. Gdyby wszyscy ludzie byli tacy, wów-
wczas delikatność kapitalistów nie przynosiłaby wcale procentu.

W Czarnembłocie wiadano dobrze, że Brzo-
zówka od dwudziestu kilku lat jest w dzierżawie
pana Jacka Boreckiego i będzie w niej dotąd, do-
póki pan Jacek Borecki zechce, bo nikt z okolicz-
nych dzierżawców rat tak regularnie nie płaci
i nikt tak nie gospodaruje porządnie, jak on.

Mówią, że pan Borecki ma pieniądze; finansiści
czarnobłoccy obliczyli, że kto ma takie dochody
duże i takie wydatki małe, jak on, ten musiał przez
dwadzieścia kilka lat uskładać przynajmniej kilka-
naście tysięcy rubli.

Nie można było jednak dojść, gdzie je trzyma
i co z niemi robi; nawet znany z dyplomatycznych
zdolności Dawid Śliwka nie mógł tego wybadać.

Posyłano na zwiady młodego żydka, aby pod
pozorem stręczenia służby, zamówił się do dworku
w Brzozówce i wymiarkował, gdzie co może być,
ale wyprawa się nie powiodła.

Pan Jacek, człowiek z natury podejrzliwy,
spotkawszy żydka na dziedzińcu, sam go zaczął ba-
dać i dopytywać, a ponieważ młodzieniec płatał się

w odpowiedziach i nie umiał objaśnić, po co właściwie przyszedł, szlachcic kazał go za bramę wyprowadzić, zapowiedziawszy mu przytem, że jeżeli się jeszcze raz pokaże w folwarku, to go grubsza nieprzyjemność spotka.

Mógłby kto mniemać, że żydek posłany był w złych intencjach; jest to pogląd błędny i finansistom czarnobłockim uwłaczający: jeżeli chcieli wiedzieć, czy pan Jacek ma pieniądze, to tylko jedynie dla zaspokojenia ciekawości.

Młodemu żydkowi powiedziano, że jest głupi i że przez niezręczne branie się do rzeczy wzbudza tylko niechęć do całego miasteczka.

Młodzieniec odrzekł i dość nawet opryskliwie, żeby na zwiady udał się ktoś mądrzejszy, jeżeli, notabene, znajdzie się taki w Czarnembłocie.

Dawid Śliwka nic nie mówił, ale wyzwanie wziął do serca i postanowił przy pierwszej sposobności gruntownie rzecz zbadać. Jakoż jednego dnia przyjechał do Brzozówki wielce zaaferowany, spocony, czerwony na twarzy i oświadczył służbie, że się musi widzieć z panem Boreckim, w nadzwyczaj ważnym i pilnym interesie.

Powiedziano mu, że pan Jacek jest w polu pod lasem, gdzie jęczmień koszą.

Dawid nie czekał aż wróci, lecz siadł na biedkę i okładając konia biczem, popędził galopem na pole.

Pan Jacek dojrzał go zdaleka i poznał, a wi-

dząc, że mu jakieś nadzwyczajne znaki żyd daje, opuścił robotników i zbliżył się do samej drogi.

Dawid zeskoczył z biedki.

— Panie — rzekł, dysząc — wielmożny panie! Złote jabłko wiozę, na moje sumienie, złote jabłko!

— To je sobie wieź -- odpowiedział obojętnie szlachcic — cóż mnie do tego?

— Jakto co? Ono jest dla pana; ja do pana jadę naumyślnie, ja konia zabijam, żeby nas kto nie ubiegł.

— Nas?

— Ma się rozumieć, przecież i ja przy tem coś zarobię.

— Mów-no po ludzku, bo ja przy robocie jestem, a romansować z żydami nie lubię; chcesz co kupić — kupuj, płać, zabieraj i wynoś się, gdzie pieprz rośnie.

— Po co pieprz? Pan dobrodziej jest bardzo gorący.

— Bądź zdrów, szczęśliwej drogi życzę!

To mówiąc, zwrócił się i ku robotnikom zmierzyl.

— Panie, proszę pana! — wołał, biegnąc za nim, Dawid. — Ja panu do ręki majątek wielki daję, pan może jeszcze sto lat żyć i drugie takie zdarzenie się nie trafi. Niech pan dobrowolnie szczęścia z rąk nie wypuszcza, niech pan nie krzywdzi córek.

— Niech cię o moje córki głowa nie boli, to nie twoja rzecz. Co masz mówić?

— Zna pan majątek Tartaczek, o pięć mil za Czarnemłotem?

— Znam.

— Dobra w nim ziemia?

— Doskonała.

— I las jest...

— Przerzedzony.

— I łąki, aj, jakie łąki! Oj, oj! żebym ja takie szczęście miał.

— Istotnie, wyborne!

Dawid przechylił głowę, przymrużył jedno oko i zapytał:

— Jak się wielmożnemu panu zdaje, czy za ten majątek można dać po tysiąc rubli za włókę?

— Bez namysłu można.

— No — zawołał Dawid z tryumfem — to Tartaczek, choćby jutro, może być pański! Teraźniejszy dziedzic cokolwiek w interesach; jemu się przykrzy na wsi, chce zamieszkać w mieście, odpocząć — i dlatego sprzedaje z wolnej ręki. Trzeba zaraz dziś na noc jechać, z dziedzicem porozmawiać, a pojutrze do hypoteki i koniec.

Pan Jacek uśmiechnął się pod wąsem i odrzekł powoli:

— Nie trzeba jechać dziś na noc.

— Jakto nie trzeba? — zawołał zaperzony Dawid.

— Bo nie. Ja nie kupię tego majątku.

— Nie kupi pan?

— Nie.

— Przecież dopiero co powiedział pan sam, że można dać cenę, jaką żądają, bez namysłu.

— Rzeczywiście, że można.

— No, więc?

— Ale ja nie dam.

— Niech mi pan wytłómaczy, dlaczego, co w tem za feler jest?

— Są dwa, jak dla mnie: pierwszy, że nie mam chęci do kupna, drugi, że nie posiadam pieniędzy.

— Pan nie ma pieniędzy?

— Dziwi cię to?

— Ma się rozumieć; jeżeli pan pieniędzy nie ma, któż je będzie miał w naszych stronach?

— To mi wszystko jedno; niech ma, kto chce!

Próbował jeszcze Dawid z różnych beczek, zachodził ztąd i zowąd, ale to się na nic nie zdało.

Dzierżawca Brzozówki był taki zawzięty i zapracowany gospodarz, że myślą po za granice folwarku, pól i łąk bardzo rzadko wybiegał, cudzemi sprawami nie zajmował się wcale, bliższych stosunków prawie z nikim nie utrzymywał. Od świtu do nocy był on na polu, lub w stodole, wszędzie zajrzał, wszystkiego sam dopilnował.

Nie dziw, że w opinii kapitalistów czarnobłoczkich uchodził za zamożnego, jeżeli nie za bogatego człowieka.

Borecki był to mężczyzna wysoki, silny, imponującej postawy; rysy twarzy miał wyraziste, wąsy duże, szpakowate.

Owdowiał po kilku zaledwie latach pożycia małżeńskiego. Żonę, kobietę młodą, a bardzo dobrą i kochaną, zabrała mu w zaraniu młodości śmierć; pozostał sam z dwiema maleńkimi córeczkami.

Odczuł on stratę głęboko, a choć nie manifestował żalu i rozpaczy, znać jednak było po nim, że bardzo cierpi.

Powtórnie żenić się nie chciał, żeby zaś córeczki miały opiekę kobiecą, a dom gospodynię, sprowadził siostrę swą, pannę Gertrudę; ta Zosi i Jadwini matkę zastępowała.

Była to stara panna, kapryśna trochę, prędką, ale w gruncie bardzo zacna kobieta.

Zajmowała się dziećmi serdecznie, a gospodarstwem kobiecem zawzięcie, z energią niezrównaną.

Odrązu, od pierwszego dnia, w którym do domu swego brata przybyła, zażądała, aby wzajemny ich stosunek był określony jasno.

— Ty, panie bracie — rzekła — pilnuj swego, ja pilnować będę swego i nie przeszkadzajmy jedno drugiemu. Wiedz brat o tem, że rządzić lubię i po-

trafię, a jeżeli nie wyszłam za męża, to tylko dlatego, żeby się pod władzę czyjąś nie poddawać.

— Tak, pani siostrze — odrzekł Borecki — znam cię przecież od małego, bratem twoim jestem, a rodem kurki czubate.

— Rodem, panie bracie, rodem, tylko się nam jakoś nie szczęści.

Borecki westchnął, stara panna mówiła dalej:

— Z pięciorga, dwoje już nas tylko zostało; ja rutkę sieję, a nawet teraz już nie sieję.

— Z własnej woli.

— Jak jest, to jest, dość, że jest. Za męża nie pójdę, bom już z lat wyszła, a i ty, nieboraku, w małżeństwie szczęścia nie znalazłeś.

— Owszem, było...

— Tak, ale krótko.

— Tem większy żal i ból, pani siostrze — rzekł z westchnieniem. — Żeby nieboszczka była zła, przykra, dokuczliwa, to oczywiście nie uczułbym tak boleśnie jej straty, ale taka dobra, taka cicha...

Nie dokończył, oczy łzami mu zasły. Panna Gertruda wstała, zbliżyła się do brata i uścisnęła go serdecznie.

— Bracie — rzekła — dość! Wola Boga. On dał, On wziął. Tyś silny, przetrwasz. Za spokój zmarłej módl się, a na sierotki patrz, mój bracie kochany...

Był to jedyny wybuch czułości, na jaki sobie

panna Gertruda pozwoliła. Otarła nieznacznie oczy i wnet przybrała dawny, szorstki nieco wyraz.

— Panie bracie — rzekła — przystąpmy do rzeczy. Wezwałeś mnie, żebym przyjechała do Brzozówki — jestem; żądasz, żebym była twoim dzieciom matką — będę; ale przede wszystkim musimy się rozmówić.

— O czym?

— Chcę wiedzieć, co mam tu czynić, co do mnie należy, na jakich nogach ja tu stanę? Niedługa to będzie rozmowa, parę słów. Zgodzisz się — dobrze; za godzinę już wszystko ujmę w ręce; nie zgodzisz — drugie dobrze, posiedzę do jutra i wracam.

— Ależ, siostró...

— Zaraz, zaraz, braciszku. Najprzód chciałabym wiedzieć, co myślisz: czy się ożenisz drugi raz, czy nie?

— Nie! — odrzekł z mocą.

— Teraz tak mówisz, ale za rok, za dwa, gdy pierwszy żal przeminie, możesz zdanie zmienić.

— Zapewniam siostrę, że nie zmienię. Sama powiedziałaś przed chwilą, że twardy jestem. Nie ożenię się nigdy.

— Dajmy na to, chociaż rozmaicie to bywa, panie bracie. Będzie, co Bóg da. Otóż naprzód, chciej wiedzieć, że pozostanę u ciebie tylko dotąd, dopóki się nie ożenisz. Gdy się to stanie, odjadę

jako niepotrzebna; nie ma bowiem takich dzieci, któreby potrzebowały dwóch matek, ani takiego domu, żeby musiał mieć dwie gospodynie.

— A więc pozostaniesz na zawsze.

— Od ciebie to zależy... Druga rzecz, co ja mam tu robić?

— No, jak w domu.

— Za pozwoleniem; mam się zająć dziećmi, to główna rzecz; zajmę się, ale to mało. Obejmuję cały zarząd domu i gospodarstwa kobiecego.

— Dobrze.

— Ale z warunkiem, żeby mi się pan brat do niczego nie wtrącał. Wolałabym Belzebuba zobaczyć, aniżeli mężczyznę w kuchni. Pod tym względem chcę sama być panią.

— Już nią jesteś, siostró — odrzekł z uśmiechem Borecki — ja ci się wtrącać do niczego nie będę.

— Ma się rozumieć. Ty siej zboże i zbieraj posagi dla córek, a ja, jeżeli Bóg da doczekać, biore na siebie wyprawy i kobiece gospodarstwo. Na to wystarczy. Zgoda?

— Zgoda.

— W takim razie nie ma co bałamucić; proszę o klucze i niech mi pan brat pokaże, gdzie co jest.

W godzinę później już panna Gertruda, w popielatej sukience, w czarnym fartuchu, z pękiem kluczów u pasa, chodziła po zabudowaniach; zwie-

dziła kuchnię, spiżarnię, piwnicę, strychy, obory, chlewy, kurniki, ogród i ujęła żelazną ręką wszystko, co tylko do kobiecego gospodarstwa należy.

Na drugi dzień krzątała się już tak swobodnie, jak gdyby od wielu lat była w domu brata; już nie było dla niej obcem, ani nowem.

Służba odrazu poznała, z kim ma do czynienia i domyśliła się, że ta pani czasu tracić nie da.

Pan Jacenty miał zapowiedziane, że odtąd obiad ma być punktualnie o godzinie wpół do pierwszej i że spóźniać się nie wolno nikomu, bez wyjątku.

Pracowali usilnie oboje, brat i siostra. On, zapewne w wielkiem zmęczeniu fizycznym chciał smutek swój zagłuszyć i usnąć, a ona z poczucia obowiązku, z przyzwyczajenia, z temperamentu ruchliwego nadzwyczaj — swoje robiła.

Z dziećmi miała trochę kłopotu. Dziewczynki, przywykłe do pieśczot matczynych, nie mogły odrazu przylgnąć do ciotki, szorstkiej w obejściu i surowej; ale z czasem i to przyszło. Bały się trochę, były posłuszne każdemu jej skinieniu, ale i pokochały ją także, może instynktem dzieciennym przeczuwając w niej istotę dla nich, po ojcu, najżywczejszą i całą duszą im oddaną.

Brat z siostrą rozmawiali rzadko, chyba przy obiedzie lub kolacyi, o pogodzie i drobiazgach codziennego życia; tak zwane przez pannę Gertrudę

„konferencye“ zdarzały się zaledwie raz na kilka lat.

Raz, naprzykład, dowiedziała się, że brat chce sprzedać zboże na zaspokojenie jakiegoś pilnego wydatku, a jej zdawało się, że lepiejby było powstrzymać się i na lepszą cenę poczekać.

Było to w czwartym, czy piątym roku pobytu jej w Brzozówce.

Kiedy się obiad kończył, rzekła:

— Panie bracie, chciałabym odbyć z tobą krótką konferencyę w cztery oczy.

On spojrział na nią zdziwiony.

— Sekret? — zapytał.

— Zapewne.

— A więc proszę, słucham, niechże pani siostra usiądzie.

— Nie usiądę — odrzekła — nie mam czasu na długie dysertacye, bo dzisiaj chleb się piecze. Słyszę oto, że bratu potrzeba pieniędzy.

— Tak jest.

— Podobno brat chce sprzedać zboże?

— Rzeczywiście.

— Teraz czas nie jest na to odpowiedni, lepiej będzie trochę poczekać.

— Zapewne, że tak...

— To dlaczegóż pan brat mi nie powie, że potrzebuje?

— Alboż pani siostra ma pieniądze?

— Ileż bratu potrzeba?

— Pięćset rubli.

— Niechże pan brat siada i napisze rewers, jak należy, bo ja na piękne oczy nie dam. Pieniądze zaraz przyniosę.

Wyszła i za chwilę przyniosła żadaną sumę.

Borecki spojrział zdziwiony.

— Zkądże to — zapytał — pani siostra przychodzi do takich kapitałów?

— Mój bracie — odrzekła — czy to z kur, czy z gęsi, to bratu wszystko jedno. Skoro są, brać, rewersik dać, a w terminie oddać. Idę już, bo tam z chlebem Bóg wie co mogą porobić.

Wzięła rewers ze stołu i wybiegła.

Druga bardzo ważna „konferencya“ odbyła się, kiedy Zosia ukończyła dziesięć, a młodsza jej siostra, Jadwinia, ośm lat życia.

Wówczas panna Gertruda zapowiedziała bratu, że konferencya jest konieczna i że odbędzie się w niedzielę, wolnym czasem.

Gdy upatrzyła ten czas wolny, przystąpiła bez żadnych wstępów wprost do rzeczy.

— Panie bracie — rzekła — dziewczyny nasze rosna.

— I zdrowo, dzięki Bogu!

— Co z niemi dalej robić?

— Pod jakim względem?

— Widzi brat, w bawełnę nie ma co owijać;

nauczyłam je czytać, pisać, katechizmu i trochę rachunków, historyi. Więcej nie nauczę, bo i sama nie umiem, a choć tam jeszcze czegoś się za młodu uczyłam, to mi już wywietrzało z głowy. Cóż tedy pan brat myśli?

— Jakże pani siostra uważa?

— Ojciec ma pierwszy głos.

— Pani siostra jesteście dla nich matką, więc też masz głos.

— Chciałabym zasłużyć na ten tytuł. Otóż trzeba te dziewczyny jeszcze kształcić.

— Ale czego? jak? gdzie?

— Otóż w tem sęk.

— Możeby na pensję oddać?

— Co też pan brat mówi! Może jeszcze mają brzdąkać na fortepianie i paplać po francusku?

— Cóżby to szkodziło?

— A nie, panie bracie, jak cię kocham, to na nic! Co je czeka? Gospodarskie córki, wyjdą za mąż za gospodarzy i czeka je praca. Z kim będą po francusku mówiły? czy będą miały czas brzdąkać? Na nic to, panie bracie.

— Więc jakże?

— Ja uważam, że trzeba na kilka lat wziąć porządną nauczycielkę do domu.

— Cóż łatwiejszego?

— Chyba coś trudniejszego? Byle kogo nie chcę a skoro mamy płacić,iedzmy za co.

— To najlepiej będzie, jeżeli siostra sama pojedzie do Warszawy i wybierze osobę wedle swego uznania.

— Ja do Warszawy! Ależ któż tu zarządzi? kto się zaopiekuje dziećmi, dojrzy służby, dopilnuje porządku! Wy mężczyźni traktujecie to lekceważąco, a to są, doprawdy, rzeczy pierwszorzędnego znaczenia.

— Nie przeczę, uznaję to w zupełności, ale tydzień, nie wieczność. Ja dam baczość na wszystko, a Michałowa, szafarka, jest, jak mniemam, uczciwa kobieta i można jej zaufać.

— Zapewne, dopóki trzeźwa, jedyna baba, ale jak się dorwie do flaszki, przepadło. Ja toleruję i przebaczam, gdyż na szczęście, nie pozwala ona sobie zbyt często, raz na kwartał zaledwie. Ale któż mi zaręczy, że podczas mojej nieobecności akurat taki fatalny termin nie wypadnie.

— Niech jej pani siostra zapowie.

— Nie na wiele się to przyda.

— Ja sam pilnować będę.

— Znam ja męskie pilnowanie. Nic, panie bracie, pilnuj tylko dzieci i miej na nie baczenie, reszta niech już tam. Pojadę i wyszukam, a wyszukam takiej kobiety, żeby dziewczątek wielkich a niepotrzebnych mądrości nie uczyła, bo, mojem zdaniem, panie bracie, kobieta winna być przede wszystkim kobietą, a zwłaszcza wiejska kobieta.

Niech ma w głowie, owszem, ale niech ma praktyczne wiadomości. Co do gospodarstwa, niech pan brat będzie spokojny: ja jestem ich guwernantką i zrobię z nich gospodynie wzorowe.

Po odbytej konferencyi, ciotka Gertruda powiedziała Michałowej w cztery oczy bardzo pouczające kazanie o wierności, trzeźwości, sumieniem pełnieniu obowiązków, oraz przyobiecała, że za dobre zachowanie się czeka ją nagroda w postaci oryginalnego czepka z Warszawy, a za złe kara sromotnego wypędzenia na cztery wiatry i pozbawienie godności szafarki.

Baba, do łez wzruszona energiczną przemową, zaklęła się na wszystkie świętości, że żadnego trunku do ust nie weźmie i że źrenicy oka swego nie będzie strzegła lepiej, niż powierzonego jej dobra.

Na drugi dzień panna Gertruda pojechała. Po tygodniu powróciła i panienki miały nauczycielkę, Michałowa zaś czepiec ze wstęgami zielonemi, jak majowa sałata.

Trzy lata była nauczycielka w Brzozówce i uczyła dziewczynki, według programu bardzo skromnego, ułożonego przez ciotkę, a spełniwszy, co do niej należało, odeszła.

Czas zbiegał, dziewczęta rosły i pracowały pod kierunkiem panny Gertrudy, rosły, aż wyrosły na piękne, co się zowie, dziewczęta.

Były one niby kwiaty polne, proste a wdzięczne,

roztaczające dokoła urok młodości i świeżości wiosennej. Ktoby je chciał dokładnie odmalować, musiałby zamiast farb użyć blasków słonecznych, barw kwiecistych, rosy porannej, tchnienia wiatru letniego, gdy się rozigra i z listkami na drzewach figluje. Obie były brunetki, o czarnych oczach, drobnych rysach twarzy. Opalone cokolwiek, ręce miały nie nadto delikatne i wypieszczone, ale zgrabne, ruchy bardzo zręczne, figurki ślicznie zarysowane.

Dobry humor nigdy ich nie opuszczał, śpiewały przy robocie, a srebrzysty ich śmiech słychać było często we dworku, na dziedzińcu, w ogrodzie. Najwięcej w ogrodzie, ten bowiem do nich niepodzielnie należał. Własnymi rękami uprawiały warzywa i kwiaty, ale jakie kwiaty, jakie warzywa! Było co podziwiać, bo choć to niby wszędzie na wsi ludzie coś podobnego mają, ale zawsze to nie to, co w Brzozówce. Zbierały też owoce, a jakie z nich konfitury i soki robiły!

Z powodu soku wiśniowego, starsza siostra, Zosia, znalazła się raz w bardzo kłopotliwym położeniu. Człowiek bo nigdy przewidzieć i przypuścić nie jest wstanie, jaki go może zaskoczyć wypadek. Jak piorun z pogodnego nieba, spadnie coś takiego, niby właściwie nie nieszczęście, ale bądź co bądź ambaras taki... taki, że ochota bierze pod ziemię się schować.

Tak się też właśnie zdarzyło.

Jednego dnia, mając z wiśniami do czynienia, panna Zosia zawinęła wysoko rękawy i ufarbowała sobie ręce po same łokcie na czerwono. Działo się to przed domem, na ganku, w chłodzie, bo ganek był cały otoczony kratami, po których piał się gęsto powój kwitnący.

Była zajęta bardzo robotą, a że nuciła przytem jakąś piosenkę, więc nie słyszała, że przyjechał ktoś obcy. A ten ktoś przyjechał wierzchem, uwiązał konia u sztachet, a sam wszedł wprost do ganku.

Wszedł i stał przez chwilę, a Zosia nic o tem nie wiedziała, aż dopiero, gdy się odezwał:

— Przepraszam najmocniej, czy pana Boreckiego zastałem w domu?

Wówczas odwróciła głowę i ujrzała tuż przy sobie człowieka nieznanego, a młodego i bardzo przystojnego.

Zarumieniała się i uciekła, nic nie odpowiedziałwszy.

Bo też trzeba zdarzenia, żeby się tak przedstawić. Co on sobie pomyśli?

Uciekła do swego pokoju, a o nieznanym gościu powiedziała ciotce.

Pani Gertruda wyszła do niego. Przedstawił się jej i oświadczył, że się nazywa Zawadzki Stanisław, że od roku jest leśniczym w Majdanie,

gdzie mieszka z matką i że właśnie z głównego zarządu dóbr nadeszło zawiadomienie, żeby dzierżawcy Brzozówki wydać drzewo na postawienie nowej stodoły.

— Sądziłem — rzekł — że panu Boreckiemu zależy na czasie, więc przyjechałem, aby mu powiedzieć, że jest asygnacya i że może przyjechać, kiedy zechce i drzewo wybrać. Mamy kilkadziesiąt sztuk ściętych w zimie, które zaraz można obrabiać i zabierać z lasu.

Pani Gertruda zachwycona była uprzejmością młodego chłopca dla brata, chociaż, właściwie mówiąc, była to uprzejmość obłudna. Nie dla pana Jacka on przyjechał, ale dla Zosi, którą widział parę razy zdaleka i która mu się szczególnie podobała.

— Dziękuję panu serdecznie — rzekła — proszę dalej, niech pan spocznie. Brat mój w polu. Wróci za kwadrans na obiad, a mam nadzieję, że pan naszym chlebem i solą nie pogardzi.

Pan Stanisław, szczęśliwy z zaproszenia, skłonił się z uszanowaniem przed ciotką Gertrudą, która zaraz jego konika kazała wziąć do stajni.

Zaczęły się rozpytywania.

— Więc pan na Majdanie mieszka?

— Tak, pani dobrodziejko.

— Przejeżdżałam kiedyś tamtędy; to jest w le-

sie, w samym środku lasu. Nie przykrzy się panu w takiej samotni?

— Nie, pani. Cały dzień w lesie jestem, a często i w nocy trzeba wychodzić, pilnować, czy drzewa nie kradną. Matka moja z początku obawiała się, ale teraz przywykła już.

— Jej to rzeczywiście musi być przykro, gdy pana w domu nie ma.

— Przyzwyczaiła się. Przytem Majdan nie jest takim pustkowiem, jakby się zdawało, ludzi nie brak. Matka ma dwie służące, jest chłopiec do koni, pastuszek do krów, dwóch gajowych mieszka obok w czworaku. Matka moja zresztą ciągle zajęta, zawsze umie sobie znaleźć zatrudnienie. Od rana do wieczora jest w ruchu i wciąż się skarży, że nie ma czasu.

— Ma rację, panie. Kobieta, która chce pracować, jak się należy i zrobić wszystko, co do niej należy, nigdy nie ma zawiele czasu. Czy państwo dawno w tych stronach?

— Od roku.

— A poprzednio?

— Mama mieszkała w Warszawie, a ja, po skończeniu gimnazjum, praktykowałem w leśnictwie.

— Więc państwo z Warszawy rodem?

— Nie — odpowiedział z westchnieniem — rodem my ze wsi. Ojciec miał swój folwark po tamtej

stronie Wisły, ale nieszczęście mu się, chorował długo, wreszcie umarł. Mama nie mogła sama gospodarstwa prowadzić, ja byłem jeszcze bardzo mały, więc trzeba było sprzedać, aby uratować resztki na życie. Tak dobrzy ludzie radzili i tak się też zrobiło. Z niewielkim funduszem przyjechaliśmy do Warszawy, matka trzymała uczniów na stancyi, a ja chodziłem do szkół. Później byłem trzy lata na praktyce w leśnictwie, a teraz, dostawszy posadę w dobrach hrabiowskich, zabrałem matkę do siebie i znów jesteśmy razem. Nieraz matka mówi, że choć się z początku bała trochę, ale teraz dziękuje Bogu, że jest na Majdanie i powiada, że woli mieszkać w lesie, aniżeli w Warszawie.

— Świętą rację ma; ja tak samo myślę. Warszawa, to istne piekło. Zrozumieć nie jestem w stanie, jak ludzie mogą wytrzymać w tamtejszym rozgardyaszu i wrzasku. Turkot, tłok, rejwach — kłaniam uniżenie. A cóż pan myśli o dużem mieście?

— Ja bo jestem przyzwyczajony; przez sześć lat chodziłem tam do szkół, znam wszystkie uliczki i zakątki.

— I zapewne tęskni pan do kochanej Warszawki?

— Nie, proszę pani, mnie tu dobrze, mam zatrudnienie, które lubię, kawałek chleba spokojny.

— Co to, to nie bardzo — rzekła panna Ger-

truda — te nocne wyprawy na złodziei nie są wcale przyjemne.

— Do wszystkiego się można przyzwyczaić.

Niebawem nadszedł Borecki i powitał młodego człowieka bardzo uprzejmie.

— Wielką mi pan wyrządziłeś przysługę — rzekł — byłem bo niespokojny, że tak długo zarząd z odpowiedzialnością zwłóczy, a budynek jest mi koniecznie potrzebny; w polu zboża dość, a nie ma gdzie składać. Już majstrów ugodziłem i robotników, każda chwila mi droga.

— W takim razie zapraszam pana dobrodzieja na jutro na cały dzień na Majdan; wybierze pan budulec i wymierzmy, ile kubików zawiera.

Podano obiad, zjawiły się i panienki. Zosia była bardzo zażenowana, a ile razy młody człowiek spojrział na jej ręce, na których zresztą już ani śladu wisien nie było, spuszczała oczy i rumieniła się.

Przeszło to przecie jakoś i pierwsze lody przełamane zostały. W godzinę po obiedzie Stanisław odjechał, a przy pożegnaniu ciotka Gertruda prosiła go, aby o Brzozówce nie zapominał.

Nazajutrz wieczorem, gdy pan Jacek z Majdanu powrócił, siostra odbyła z nim krótką „konferencyę,” a właściwie badanie.

Pan Jacek uśmiechnął się pod wąsem.

— Uważam — rzekł — że pani siostra bywa niekiedy ciekawa.

— Jak kobieta, panie bracie, a że się pytam, złego w tem nic nie ma.

— A któżby o tem myślał, widzę tylko, że się chłopak pani siostrze podobał.

— Na wszystko czas przychodzi, bracie, a jeżeli podejmiemy się obowiązków, to oczywiście powinniśmy je spełniać sumiennie.

— Nie rozumiem, do czego zmierzasz, pani siostrze.

— Dziwnie pan brat niedomyślny. Dopóki dziewczęta twoje były małe, patrzyłam na gospodarstwo, na kury i gęsi, żeby zebrać pieniądze na wyprawę; teraz dziewczynki podrosły, muszę więc patrzeć na chłopaków, żeby im znaleźć mężów. Chociaż sama jestem starą panną i na ten los się nie uskarżam, ale Zosi i Jadwini życzę, aby za mąż wyszły.

— Dlaczegoż to tak?

— Bo życzę im lepiej, aniżeli sobie.

Rzekłszy to, ciotka Gertruda wstała i odeszła niby do szafy poszukać czegoś, w gruncie rzeczy zaś, aby ukryć rozrzewnienie. Po chwili była już uspokojona zupełnie.

— Sądziłabym — rzekła — że niechby ten młody człowiek u nas bywał. Chciałabym też zapoznać się z jego matką. Cóż pan brat o tem sądzi?

— Niechby i bywał.

— Trzeba, żeby się młodzi poznali, a jeżeli przypadną sobie do gustu, to...

— A za pozwoleniem, pani siostró, to jeszcze na wodzie widłami pisano. Od bywania do ołtarza ogromnie daleko. Zresztą, dziewczyny nasze są tak młode, że nie ma sobie czem głowy teraz zaprzętać.

— O wszystkim trzeba myśleć zawczasu...

— Zawczasu, a zawcześnie, to różnica.

— Może bratu to nie w guście, że ofycjalista?

— O, co to, to nie, pani siostró. I ja przecież nie na swoim, tylko na cudzem pracuję, a tem się tylko od zwykłego rządcy różnię, że mam więcej samodzielności. Nie ma o tem mowy, żebym ofycjalistą pogardzał; ale to, widzisz, chłopiec jeszcze bardzo młody.

— Tem lepiej.

— Niezamożny, może nawet biedny, z czegoż utrzyma rodzinę?

— Słyszałam, że pani Zawadzka ma jakiś fundusik.

— Niechże go ma z Bogiem — rzekł Borecki, wstając — czas na mnie; muszę iść w pole, zaś pani siostra czyn sobie, jako chcesz, zdałem na ciebie prawa matki. Chłopak, jeżeli chce, niech bywa; poznajmy go, przekonajmy się, co wart, ale uprzedzam, że ostatnie słowo sobie pozostawiam

i że się nie zobowiązuję do niczego, uważa pani siostra, do niczego.

— Naturalnie, uważam i żadnych zobowiązań nie wymagam, żadnych, panie bracie. Ja też nie jestem w gorącej wodzie kąpana, a jeżeli pragnę, żeby chłopak bywał, to jedynie dlatego, aby go poznać. Kupić nie kupić, jak to mówią, ale potargować wolno.

Na tem się skończyła konferencya pana brata z panią siostrą. Pan Jacek poszedł w pole, pani Gertruda do swoich zatrudnień i już więcej mowy o tym przedmiocie nie było.

Stanisław przyjeżdżał od czasu do czasu, ale dość rzadko, nie chciał nadużywać gościnności.

Panna Gertruda zrobiła znajomość z jego matką. Obie te kobiety, zawzięte gospodynie, a wiekiem prawie równe sobie i w jednakowych wychowane zasadach, zaprzyjaźniły się w krótkim czasie a jak zaczęły wywodzić swoją prozapię i koligacye rozliczne, to się pokazało w rezultacie, że są jedna względem drugiej, jeżeli nie krewne, to przynajmniej powinowate, albowiem zarówno w dalszej rodzinie pani Zawadzkiej, jak i w rodzinie panny Gertrudy, plątały się podobne nazwiska.

Taki był stosunek między dworkiem dzierżawcy Brzozówki a domkiem leśniczego na Majdanie.

Dziad Błażej dotrzymał słowa, danego panience; powlókł się na Majdan i domku nie ominął, wiedział

bowiem z praktyki, że pani Zawadzka jest kobieta miłosiernego serca i że lubi zgłodniałego nakarmić. Błażej tego rodzaju miłosierne uczynki cenił najwyżej i zaliczał je do cnót najdoskonalszych. Ukłony od panienek z Brzozówki złożył, najadł się doskonale i powędrował ku domowi, za dnia jeszcze, aby nazbierać grzybów, których wielka obfitość była w lesie.

Po dobrem śniadaniu w Brzozówce, obfitym obiedzie w Majdanie, należała ma się słusznie uczciwa kolacya, aby dzień był dobrze zakończony. Właśnie taką kolacyę zamierzał w domu, w swej budzie dziadowskiej, sporządzić z grzybów.

Tegoż samego wieczora pani Zawadzka z synem była w Brzozówce.

ROZDZIAŁ VIII,

w którym jest mowa o drabinie symbolicznej, o tem, jak Chaskiel Wiatrak kochał Michała Rokitę, jak Walenty Waszązek nie znalazł odpowiedzi na pytanie prawne, tudzież jak Uszer Engelman określił istotę i wielkie znaczenie maleńkiego wyrazu „pfe“.

nie każdemu dano jest stanąć wysoko na tej ziemi; pominąwszy honor urodzenia i należenia lub nie do ludu wybranego, los umieszcza ludzi na różnych szczeblach drabiny społecznej w sposób wielce kapryśny. Drabina to wysoka, szczebli w niej mnóstwo, a każde miasto swoją drabinę oddzielną posiada.

Takie Czarnebłoto naprzykład, aczkolwiek jest tylko drobną częstką świata, stanowi jednak samo w sobie świat i ma także swoją drabinę. Na najwyższych jej szczeblach, niby kury na grzędach, siedzą i kiwają się w przyjemny sposób uczeni, nieco niżej wieley bogacze, kupcy, właściciele do-

mów, wielce szanowni szynkarze, przezacni posiadacze sklepów, wymowni faktorzy i coraz niżej, niżej, aż do ordynaryjnych furmanów, aż do rzemieślników biednych, których mądrość narodu do najmarniejszych istot zalicza, mówiąc, że koza nie bydlę, kura nie ptak, a szewc i krawiec nie człowiek...

Nie na wysokim też szczeblu owej drabiny symbolicznej zasiadł Chaskiel Wiatrak z Olszanki, prosty żyd wiejski, trochę pachciarz, trochę handlujący i cokolwiek kapitalista. Pacht trzymał do wspólki, handlował po większej części też do wspólki, a na operacye finansowe najczęściej puszczał się z cudzemi pieniędzmi.

Nie można powiedzieć, że taki człowiek wiele znaczy; bez zaprzeczenia jest to człowiek, ale nie osoba. Mieszka na wsi, w oddaleniu od wielkiego zgromadzenia, do miasteczka przyjeżdża tylko na czas świąt jesiennych, nie zna słodkiego smaku dysput, prowadzonych codziennie na rynku, w szkole, w łaźni i w innych miejscach zebrań publicznych, handluje z ludźmi grubymi, z chłopami i za wielkiem przeproszeniem, z babami wiejskimi.

Rozpatrzywszy gruntownie sposób życia takiego człowieka, nie sposób mu dać wysokiego miejsca na drabinie, gdyż jest on zdziczały potroszę i nie ma wcale tego glancu, tej delikatnej politury, jaką posiada każdy stały mieszkaniec Czarnegobłota.

Chaskiel rozumiał doskonale swoje położenie, a trzeba mu przyznać, że się nie buntował i nie pchał w górę. Był to człowiek zgodny z natury, a o zaszczyty dbał niewiele.

Nieraz mówił, że woli małego rubelka, aniżeli wielki honor, a trzy ruble przekłada nad dziewięć honorów.

Jest to najwymowniejszy dowód, że człowiek od gromady oderwany dzieje się, to też historia Czarnego błota nie daje ani jednego przykładu, aby kiedykolwiek jaki pachciarz, dzierżawca ogrodu, kramarz wioskowy i wogóle wiejski żyd wsławił się uczonością lub wymową, aby potrafił poprowadzić dysputę, lub rozgryźć twardą łupinę głębokiej sentencji i wydobyć z niej dorodne ziarno mądrości.

Pachciarz zwyczajny, czy choćby nawet śmietankowy, jest tylko pachciarzem i nie można od niego wymagać, aby był czem innym, bo nie ma sensu żądać od śledzia, aby był nadziewanym szczupakiem.

Chaskiel Wiatrak bywał w Czarnem błocie o tyle tylko, o ile wymagały jego interesa; nie jeździł tam nigdy dla przyjemności, ani dla odwiedzenia krewnych, wolał handlować, a trzeba mu to przyznać, że handlował dobrze.

Z kilku okolicznych wiosek chłopci należeli do niego prawie wszyscy i z zagonowej szlachty bar-

dzo wielu. Stało się to w ciągu dziesięciu lat, a zrobiło się tak cicho, gładko i delikatnie, że sami dłużnicy nie mogli zmiarkować, kiedy i jak znaleźli się w Chaskłowej kieszeni.

W tem właśnie sztuka.

Chaskiel dla wszystkich swoich dłużników był bardzo uprzejmy, serce miał, jak z wosku, nie dokuczał, nie egzekwował, chyba takich tylko, o których wiedział, że już są na dokończeniu.

Takich dusił bez miłosierdzia i zabierał im wszystkie resztki, przyczem jednak bardzo ubolewał, prawie że płakał. Tłómaczył to innym swoim klientom, że czyni to z konieczności, że jest przymuszony do akcji, która mu jest obrzydliwa i wstrętna. Tłómaczył, że musi ratować swoje mienie, swój grosz krwawo zapracowany, no, a kto ratuje z płonącego budynku sprzęt jaki, to nie bierze go delikatnie i przez rękawiczki, ale chwytą brutalnie, aby go tylko od spalenia ocalić.

Wszakże, kto miał jeszcze cokolwiek, kto wreszcie był zdrow, zdolny do zarobkowania, mógł żyć z Chasklem Wiatrakiem, jak z bratem.

Chaskiel lubił mówić o sobie, że jest złoty żydek, że z nim wszystko można, co kto chce, na wszystkie sposoby.

Naprzykład z takim Michałem Rokitą. Ktoby z tym chłopcem wytrzymał? Chaskiel wytrzymał. Kto inny jużby go dziesięć razy zlicytował

i zniszczył, Chaskiel nie niszczy. On woli zgodnie, dobrze, poczciwie, on nie cierpi procesów i kłótni i bardzo cierpliwie czeka do ostatniej chwili, dopóki Rokita jeszcze coś wart.

Nie jest wcale przyjemny stosunek z takim paskudnym chłopem, który nie należy do kategorii ludzi dobrze wychowanych. W rozmowie wyrażień nie dobiera, głosu nie moduluje, a pięście tylko zaciska.

Trzeba być bardzo odważnym, żeby się móżdź znajdować w bliskości takiej pięści. Zaciśnięta kurczowo, ona wcale do ludzkiej ręki podobna nie jest, ale wygląda raczej jak młot, złożony z żył, skóry i sęków dębowych.

Chaskiel nie lęka się bynajmniej tej łapy żelaznej, ani potężnej, barczystej postaci Rokity, ani jego oczu ponurych, patrzących groźnie z pod brwi krzaczastych, czarnych. Nie obawia się też głosu i przekleństw, które olbrzym miota, zwłaszcza, gdy mu wódka w głowie zaszumi.

— Nie róbcie głupstwa, Michale, dajcie pokój!

Tyle tylko mówi Chaskiel, a barczysty chłop rzeczywiście daje pokój i nie robi głupstwa.

Jest coś osobliwego w stosunku tych dwóch ludzi, tak bardzo niepodobnych do siebie.

Rokita to siła fizyczna, brutalna, chwilami zda się niepohamowana. Chaskiel Wiatrak zaś wydaje się wcieleniem delikatnego sprytu.

Jest on dość wysoki, ale szczupły, nie imponuje potęgą mięśni, przeciwnie, jego ręce są chude i cienkie, palce długie, suche, giętkie, przypominają szpony jastrzębia, twarz ma bladą, kości policzkowe wystające, nos duży, garbaty. Oblicze jego okala zarost barwy żółtawej, także gęste i kręjące się włosy pokrywają mu głowę. Oczy bystre, biegające nieustannie, mają kolor nieokreślony, dziwny, bo niby szary, a w pewnych warunkach oświetlenia zielonawy, jak woda rzeczki, której brzegi są gęsto obsadzone wierzbiną.

Oczy te są duże, o źrenicach wrażliwych niezmiernie. Gdy słońce świeci jasno, kurczą się one i zmniejszają do rozmiarów drobnego punkciku, ale przy słabym świetle rozszerzają się ogromnie i błyszczą niby sowie ślepie.

Możnaby mniemać, że źrenice Chaskiela posiadają własność magnetyzowania Rokity.

Stosunek tych dwóch ludzi trwa mniej więcej od lat dziesięciu, a związany został od czasu osiedlenia się Chaskla we wsi.

Był to wówczas bardzo biedny i pokorny żydek ten Chaskiel; właśnie wchodził on do wsi, a wchodził, jak większa część wiejskich żydków, przez ogród, mały ogród owocowy, z którego miał płacić dwadzieścia rubli dzierżawy.

Młody Chaskiel był nadzwyczaj pokorny i usłużny dla drobnej szlachty, dla chłopów, wszystkim

się nisko kłaniał, a w kieszeni swej długiej kapoty miał istny sklepik.

Baby wiejskie patrzyły na niego, jak na czarodzieja, gdy na każde zawołanie wydobywał z kieszeni igły, szpilki, nici, wstążki, paciorki, tasiemki, guziki, co kto chciał.

— Ja to mam, aby ludziom wygodzić — mówił.

I rzeczywiście nie szukał zysku; jeżeli sprzedał babie igłę, to wręcz mówił, że nie chce pieniędzy, będzie zupełnie zadowolony, jeżeli dostanie jajko i byli zadowoleni oboje i Chaskiel i baba; baba nawet więcej, niż Chaskiel, bo on tylko jajkiem, a ona nową igłą i przeświadczeniem, że nabyła ją, nie naruszywszy gotowizny, tak trudnej do zebrania.

Nietylko damskie towary znajdowały się w przepaścistych kieszeniach Chaskla; umiał on z nich wydobyć w razie potrzeby paczkę tytoniu, ołówkę tabaki, kilka papierosów, doskonałe cygaro, prawdziwie amatorską sztukę, a co najważniejsza, flaszkę mocnej, palącej jak ogień, wódki dla chłopów i flaszkę czerwonej, a słodkiej jak cukier, dla kobiet.

I to wszystko można było mieć od Chaskla, nie wydawszy ani złamanego grosza, za głupstwa: za jajko, motek przędzy, za kawałek płótna, za kureę, kaczkę, za garniec zboża, bo Chaskiel nie wybierał, ani nie przebierał; brał, co mu dawano, prawie bez żadnego targu.

Po tygodniowym pobycie we wsi Chaskiel udał się do Michała Rokity, aby wynająć od niego furmankę do miasteczka na targ i to był początek zawiazania stosunków, które się potem tak ślicznie zaplątały i zamotały.

Rokita zaprzągnął konia do wozu i zajechał przed ogród po Chaskla i po jego towar. Był koszyk drobnego agrestu i koszyk niedojrzałych małgorzatek, a przytem duży kosz jaj, sporo oselek masła, kilkanaście kurcząt, trochę ziarna w dwóch workach, co wymownie świadczyło, że kieszeń Chaskla miała większe obroty, niż ogród.

W Czarnemłocie Rokita chciał zrobić jakiś sprawunek, ale pieniędzy nie miał, Chaskiel mu najchętniej usłużył. Pożyczył mu trzy ruble w gotowiźnie i jak pożyczył! Na godne słowo, bez kwitka, bez żadnej karteczki i jeszcze zafundował gorzałki.

Rokita był wzruszony i mówił do sąsiada, którego na targu spotkał.

— Już żyd na podziw, kumie; we wsi z niego wygoda osobliwa, o czem kto pomyśli, to u niego jest i bez pieniędzy nawet, a mnie dzisiaj w potrzebie trzema rublami wygodził, choć go nawet nie prosiłem. Godny żyd na wszystkie cztery boki. Inni w takiej przygodzie gadają o procencie—on nie; inni zaraz każą kwitki pisać—on nie. Sprawiedli-

wie wam, kumie, powiadam, że nie ma takiego drugiego żyda na świecie.

Kum kiwał głową i dziwił się; potem poszli z Rokitą na wódkę i dziwili się we dwóch; potem sen ich zmorzył, pokładli się więc na wozach i spali aż do wieczora.

Jak roślina na dobrym, żyznym gruncie, zakorzenia się coraz silniej, rozkrzewia bujnie, nabiera sił żywotnych i mocy, tak Chaskiel Wiatrak zakorzenił się doskonale w Olszance. Grunt tej wioski sprzyjający był dla niego.

Gdy jesień nadeszła i w ogrodzie nic już nie było do obrywania, Chaskiel nie powrócił już do miasta, lecz pozostał we wsi. Pachciarz olszaniecki, Mosiek Oko, człowiek stary i zniedołężniały, a Chaskla bliski kuzyn, uczynił go swoim współnikiem. Nie było to wielkie przedsięwzięcie, ale też i Chaskiel nie miał się za wielką osobę, a tytuł współpachciarza ambicję jego zadawał w zupełności.

Mieszkał sobie tedy w Olszance spokojnie, chłopom i babom dogadzał, wszystkim się kłaniał nisko, dla każdego był usłużny niezmiernie, kredytu udzielał z przyjemnością i powoli ludność Olszanki wsuwała się do kieszeni.

Działo się to nieznacznie, gładko, tak, że klient sam się nie spostrzegł, kiedy i jak stawał się dłużnikiem uprzejmego żydka.

Chaskiel, gdy się finansowo nieco wzmocnił i trochę większy kapitał do swych obrotów pozyskał, nie porzucając drobnych interesów, zaczął się puszczać na większe. Bywały takie zdarzenia, że kupował krowę, lub kilka korcy zboża, bywały też wypadki, że pożyczał szlachcie zagonowej i chłopom po trzydzieści i pięćdziesiąt rubli. Trzeba przyznać, że nie było grzeczniejszego, uprzejmiejszego i bardziej wyrozumiałego wierzyciela.

O procent wcale nie dbał; kto chciał dać gotówkę, mógł dać gotówkę, kto kartoflami—i owsem; kto nie miał w danej chwili ani gotówki, ani kartofli, mógł jeszcze tańszym kosztem i bez żadnego kłopotu przypisać procent do kapitału i także miał spokój. Takim sposobem dłużnik prawie nie wiedział, że ma dług i żył sobie spokojnie.

Stosunek Chaskla z Rokitą był prawdziwie przyjacielski; jak się zaczęło od owych trzech rubli, pożyczonych tak chętnie, uprzejmie i bez żądania rewersu w Czarnembłocie, tak trwało ciągle, bez przerwy. Rokita trochę pił, trochę gotówki brał, trochę oddawał, to znów dopisywał i znów oddawał pieniędzmi lub ziarnem, odrabiał furmankami, a nieśmiertelny rachunek trwał zawsze i zwiększał się stale.

Z biegiem czasu, po dziesięciu latach szczęśliwego przemieszkiwania w Olszance, Chaskiel trochę ocieżał; nie był już taki kłaniający się i usłu-

żny, jak dawniej, w drobniejszych interesach wyręczał się żoną i dziećmi. Nawet powierzchowność jego uległa pewnej zmianie; cokolwiek zmęźniał i spowaźniał.

W tym to czasie, po dziesięciu latach stosunku i znajomości, dla Rokity zaczął się robić obojętnym, a czasem nawet i cierpkim. Chaskiel znał się nietylko na gęsiach, mleku, skórkach zajęczych, wódce i tym podobnych towarach, on był także wielkim znawcą chłopów i każdego umiał najdokładniej ocenić, ile wart.

Rokita był chłop dobrej ceny. Miał własne gospodarstwo, parę koni, kilka sztuk bydła, a przytem odznaczał się niesłychaną siłą i pracowitością. Czasem się upijał, ale gdy wziął się do kosy, cepów lub siekiery, robota paliła mu się w ręku. To także Chaskiel zauważył i policzył; dla tej zalety dał Rokicie kredyt nietylko rzeczowy, lecz i osobisty.

Ale kredyt ten był już na wyczerpaniu i Chaskiel zaczynał już trochę głową kręcić, co nie jest bynajmniej dobrym znakiem. Kilkakrotnie już zapytywał Rokitę, gdzie pieniądze podziewa i czy je chłopską modą w ziemię zakopuje?

— Żeby ciebie tak w ziemię zakopali — mruknął chłop ponuro.

— Fe, fe! Dajcie pokój z takim gadaniem paskudnem. Ja was pytam grzecznie, a wy za-

raz z takim słowem, co paskudne i nieprzyjemne jest, fe!

— To nie gadać, że pieniądze zakopuję, skoro mi na chleb braknie!

— Mnie to jest bardzo dziwno. Czy nie mieliście zboża?

— Miałem, alem je wam oddał; przy obróbce drzewa w lesie i przy wywózce zarobiłem piękny grosz, alem go wam też oddał. Uchowało się też troje cieląt i te wam oddałem. Zkądże mam co mieć? Nie będę chyba kradł, albo rozbijał po drogach!

— Wy dziwny człowiek jesteście, Michale, bardzo dziwny!

— A juści! Nie dziwny, jeno biedny, obdarty...

— Nie grzeszcie. Macie gospodarstwo, macie konie, macie zarobku, ile chcecie i ile zdążycie wykonać. Co wam brakuje?

— Et, nie bajałbyś, żydzie, po próżnicy! Siódmą skórę z człowieka ściąga i pyta jeszcze co mi brakuje?

— Fe! Michale, fe! Wy jesteście człowiek niewdzięczny, ja się po was nigdy nie spodziewałem takiego paskudnego charakteru, takiej złej pamięci. Kto was w każdej potrzebie ratuje? Kto wam dopomaga? Do kogo wy pójdziecie, gdy macie ochotę się napić, gdy wam kilka rubli potrzeba? Do kogo — do Chaskla. A potem wy powiadacie, że wam Chas-

kiel wszystko zabiera. On nie zabiera, on tylko odbiera, i to nie wszystko. Nie warto ludziom robić dogodności. A po co wy dzisiaj do mnie przyszli? Pewnie po pieniądze?

— A juści, że tak, bo mi na podatek trzeba, bo mi się wóz popsuł i trzeba go do kowala oddać, bo kobieta powiada, że jej soli brakuje.

— Wy myślicie, że ja tego nie wiem? Oj, oj! Wam na podatek trzeba ośm rubli, ale jeszcze macie tydzień czasu; żelaza do waszego wozu trzeba sześćdziesiąt funtów.

— Kowal mówił, że najmniej siedmdziesiąt.

— Wy nie słuchajcie kowala, wy słuchajcie mnie, a o sól nie frasujcie się, u mnie jest cała beczka. Ja mogę na wszystko poradzić, ale nie gadajcie, że was niszczę.

— Jać nie powiadam, tylko sobie myślę, gdzie mnie się wszystko podziewa. Nibyć i ztąd i ztąd grosz siaki taki wpadnie i zaraz ucieknie i nie ma nic. W głowę zachodzę...

Chaskiel zrobił minę poważną i rękę na ramieniu chłopca położył.

— Wy nie myślcie dużo, Michale — rzekł — bo myślenie, to nie gospodarski interes; wy pilnujcie swojej roboty, a jak zechcecie mieć pomyslenie, to połóżcie się trochę spać. To jest najlepsze lekarstwo. Ja wam z dobroci tak radzę.

— W zmartwieniu, to i zasnąć trudno.

— Oj, oj! Wypić dobry kielich gorzałki, to zaraz będzie doskonale spanie. I wy zaśniecie i wasze myślenie zaśnie, a jak się wyśpicie, to będziecie mieli lepszą siłę do każdej roboty. Ja wam jeszcze ten raz wygodzę, ale pamiętajcie, że niedługo już będę mógł wam robić takie wygodności.

— Dlaczego?

— Wyście mi już bardzo dużo winni, wy może sami nie wiecie ile. Trzeba raz zrobić porządek.

— Niby... jakże to porządek?

— Obrachować, co się należy i zapłacić.

— Zkądże ja wam zapłacę, kiedy nie mam.

— Aj, macie, macie, Michale.

— Co?

— A grunt? Nie rachujecie gruntu. Takie porządne gospodarstwo, z dobrem zabudowaniem. Bardzo ładny majątek.

— Więc niby co?

— Jakto, co?

— No, co mój grunt ma do waszego długu?

— Wy się pytacie? Sprzedajcie grunt, a mnie zapłaćcie dług.

— A ja się gdzie podzieję, a dzieciom co zostawię?

— To jest mały frasunek. Taki człowiek, jak wy, Michale, to się wszędzie podzieje. Was na każdy folwark z wielką chęcią wezmą, bo wy dobry robotnik. Wy jesteście tyle warci, co dwa fornale,

albo dwa parobki, co trzy parobki! Wy możecie mieć ładną pensję, ładną ordynaryę, porządną stancyę w czworakach, możecie sobie żyć, jak pan. A dzieci? Koniecznie dzieciom trzeba zostawiać grunt? Wcale nie koniecznie, ja moim dzieciom wcale żadnego gruntu nie zostawię.

— Bo Chaskłowe dzieci żydowskie, a moje gospodarskie.

— To co? Gospodarskie też mogą być bez gruntu. Nie macie się o co frasować. Na świecie ludzi jest dużo, ale takich, co mają grunt, niewiele. Ja wam mogę nastreczyć dobrego kupca.

— A jeśli ja nie zechcę sprzedać?

Chaskiel wzruszył ramionami.

— Nie sprzedacie dobrowolnie, to ja podam do sądu i sąd sprzeda wasz grunt przez licytację.

— Tak?

— Takie prawo. Tymczasem wy sobie do głowy nic nie przypuszczajcie, Michale; wy możecie gruntu nie sprzedawać i mnie dług oddać.

— Zkąd?

— Albo ja wiem? Możecie wyorać garnek złotych pieniędzy, znaleźć na drodze, pożyczyć od kogo. Czy to człowiek może wiedzieć, zkąd szczęście do niego przyjdzie? Ja dziś z wami nie będę dużo gadał, bo nie mam czasu, zaraz muszę w drogę jechać. Przyjdźcie pojutrze, ja wam jeszcze raz wygodzę. Dostaniecie na podatek i na żelazo, a soli

weźcie sobie zaraz, ile wam potrzeba. Co się tyczy długu, radzę wam zapłacić lepiej dobrowolnie — mnie teraz bardzo pieniądze potrzebne, chcę sobie kupić dom w Czarnembłocie.

Chłop wziął sól i ze spuszczoną głową powlókł się do domu.

Ciężkie myśli roiły się w jego mózgu, zagadki nierozplątane, zawile. Ogarnęła go żałość i rozpacz. Zdawało mu się, że jest robakiem, którego lada chwila ktoś nogą rozdepcze.

Szedł powoli, nie patrząc na ludzi, na powitania nie odpowiadał, a tak się w myślach pogrążył, że chałupę swoją ominął i zamiast wejść do siebie, poszedł dalej, aż na koniec wsi.

Dopiero zawzięte ujadanie psa przebudziło go z zadumy. Obejrzał się i spostrzegł, że jest na samym końcu wsi, przed dworkiem Walentego Wasążka.

Szlachcic odpoczywał po całodziennym trudzie. Kapotę z siebie zrzucił i tak w koszuli tylko i w kamizelce siedział i ćmił fajkę. Rokicie przyszła myśl. Odpędził psa i poszedł prosto przed dworek.

— Niech będzie pochwalony! — rzekł. — Dobry wieczór panu Walentemu.

— Na wieki wieków! — odpowiedział szlachcic. — Jak się masz, Michale? Cóż cię tu na moje podwórko przypędziło?

— Bieda, panie Walenty.

— Mój bracie, zły ja doktor na biedę, ale przecież powiedz.

— Na moją biedę pan Walenty lepszy będzie doktor, niż kto inny.

— No, no?

— Pan Walenty prawo zna?

— Moj bracie, ty w swoim życiu tyle zagónów nie zorałeś, tyleś kop zboża nie omłócił, tyleś sztuk bydła nie pasł, ile ja artykułów i prawności mam, tu oto, we swoim własnym łbie.

To rzekłszy, palcem w czoło się stuknął.

— Mów jeno śmiało a szczerze, jak na spowiedzi do księdza. Sprawę masz, co?

Dusza pieniacka drgnęła w Wasążku, oczy jego, zmęczone i jak gdyby zaspane, ożywiły się nagle, twarz przybrała wyraz zaciekawienia, wy dobył fajkę z ust i gotów był słuchać, choćby do północy.

— Sprawy to ja jeszcze nie mam — rzekł powoli Rokita — ałem usłyszał dziś coś takiego, że aż mi we łbie zatrzęszczało, jakby mnie kto kłonicą po czapce pomacał.

— Cóżście to takiego usłyszeli?

— Panie Walenty — rzekł chłop — czy to prawda, że żyd może mój grunt sprzedać?

— Twój grunt, chłopski, rodzony, po ojcu?

— A juści, innego ja nie mam, jeno co po ojcach.

— Nie może.

— O niechże wam Bóg da zdrowie, panie Walenty! Wielki ciężar zdjęliście ze mnie.

— Ale zaraz, zaraz, bracie, pomaleńku, gadaj od początku, zkąd to wyszło?

— A to, widzi pan Walenty, tak. Jak się tu do nas Chaskiel sprowadził, będzie temu dziesięć lat...

— Pamiętam, pamiętam...

— Sad trzymał wtedy. Ja, w potrzebie będący, pożyczyłem od niego trzy ruble, oddałem i znów w potrzebie pożyczyłem piętnaście i kazał mi kwitek podpisać— podpisałem, a za procent, tak i siak, kartoflami, zbożem, furmankami, a trafiło się i groszowiną, czem mogłem i jak mogłem, dawałem i oddawałem — i później jeszcze dobierałem trzy razy po piętnaście rubli i raz całe trzydzieści i znów dwadzieścia, a jak nie miałem na czas oddać, to różne prowianty brał i tak pisał, doliczał, a mnie jeno kazał podpisywać, jako, że niby rachunek między nami stoi.

— I podpisywałeś, ma się rozumieć? — spytał Wasązek.

— Juści, że podpisywałem, a on mi teraz, psiadusza, zapowiada, żebym mu wszystko oddał i rachuje, że mu winien jestem albo pięćset albo czterysta rubli. Ja powiadam, nie mam, a on mówi, żebym grunt sprzedał. A ja jak mogę grunt sprze-

dać, kiedy go po ojcach dostałem i dzieciom swoim oddać powinienem? I gdzie się podzieję, jak grunt sprzedam? Z gospodarza na parobka zejde, w służbę mam iść? Powiadam mu, że gruntu nie sprzedam, a on się śmieje, mówi, że jak ja nie zechcę, to sąd sprzeda mój grunt, że niby licytacya będzie. Ale skoro pan Walenty powiadają, że gospodarzkiego gruntu sprzedawać nie wolno, toć chyba i sąd nie sprzeda?

Waszązek czoło namarszczył, nastroszył wąsy i rzekł:

— Mój Michale, wlałeś ty biedaku w niedobre miejsce. Przewisko ci Rokita, ale choćbyś był i sam Boruta, to się z tego, nieboraku, nie wydobędziesz.

— Panie Walenty! radźcie życzliwie! Panie Walenty!

— Bóg mi świadkiem, że pragnę, ale w tej rzeczy rada trudna. Podpisałeś bracie, dałeś dyabłu na swoją duszę cyrograf, teraz musisz cierpieć, biedaku i choćby nie wiem jak kręcić, nic nie pomoże. Żyd cię sprzeda, jak zechce.

— A toć dopiero pan Walenty mówił, jako chłopskiego gruntu żydom kupować nie wolno.

— Aj, Michale, a toć ja nie mówię, że żyd kupi twój grunt, tylko powiadam, że go sprzeda i nie tak on go sprzeda, tylko sąd każe sprzedać, a do

kupna przyjdą nie żydy, tylko chłopi, tacy, którym wolno chłopskie grunta kupować.

— Gdzie zaś chłopi! W naszej wsi bogaczów nie ma, a i z innych nie wiem, czyby się łakomili. Inszy możeby się sromał po licytacyach, jak żyd, łązić i na moją krzywdę kupować.

— Za pieniądze, Michale, wszystkiego dostanie. Choćby i prawdziwych kupców nie było, to Chaskiel podstawí takiego, co ma prawo kupić, a podstawiony kupi za Chasklowe pieniądze. Opiszego żyd, jak węża, u regentów i niby ten podstawiony w wasze gospodarstwo wlezie, w chałupie waszej będzie siedział, niby właściciel, ale po prawdzie właścicielem będzie Chaskiel, a on tylko Chasklowym parobkiem.

Chłop swe grube, sękatę, narobione palce we włosach zatopił i patrzył na Wasążka z rozpaczą.

— Walenty! panie Walenty! — mówił ze łzami — a toć to krzywda! Czy nie ma na to sposobu? Znacie, panie Walenty, wszystkie kodeksy i spraw mieliście kopami, po sądach łązicie, jakby po swoim polu... ratujcie mnie, ciemnego!

Ryknął głosem wielkim i do kolan Wasążkowi się rzucił.

— Nie dajcie mnie zgubić! Ratujcie!

Walenty rozczulił się.

— Źle, źle, wszystko źle, nie ma rady. Proce-sować się z nim nie warto, nic nie wskórasz. Na

papierze stoi czarno na białem, podpisałeś na swoją zgubę... Jedno tylko jeszcze zostało: trzeba po dobroci próbować, może on się dobrowolnie zgodzi, może co opuści, może na części rozłoży... może...

— Ja zaraz pójdę do niego.

— A niechże cię Bóg broni, nie idź teraz, ani się waż!

— Dlaczego?

— Rozżalony jesteś. Widzę ja, co się w tobie dzieje. We łbie ogień, w sercu ogień, a pięść świerzbi, nie prawda?

— O jakbyście we mnie siedzieli, panie Walenty.

— Właśnie, onby ci co powiedział, a ty w żalości mógłbyś pięścią go stuknąć i po zgodzie, po wszystkim. Insze żydy zawzięte, a ten Chaskiel w dobrym gatunku. Idź ty jeszcze krzynekę w pole, Michale.

— Toć noc.

— Jeszcze lepiej, nie zważaj, idź! Dojdź do lasu, potem prosto do domu wracaj, spać się układź. Niech się ten ogień wypali w twojej głowie. Idź i nie wracaj prędzej, aż ten ogień całkiem się w tobie wypali i spopieleje i zagaśnie. Idź, bracie. Nie sprzeda cię żyd dziś, ani za miesiąc, ani za kwartał, bo taka rzecz swego czasu potrzebuje. Idź, ja będę myślał, może co wymyślę, tylko słuchaj mnie, Michale, słuchaj, bo zginiesz, jak ruda mysz.

— Bóg wam zapłacić, panie Walenty, idę!

— Idź z Bogiem.

Wasążek pozostał na ganku zadumany, a chłop poszedł, skręcił z drogi i powlókł się miedzami na swoje zagony garbate. Tam usiadł na wielkim kamieniu przy rowie i głowę podparł na rękach.

I przypomniała mu się cała jego dola, od kulebki prawie. On tu, na tem polu, gęsi pasał, za bydłem chodził; tu sochę ciężką dźwigał, za broną biegał; tu żął, kosił, grabił; niejedna kropla jego potu w te zagony wsiąknęła.

W tej wioszczynie urodził się, ożenił się, dzieci doczekał. Był pewny, że tu oczy zamknie i że go na cmentarzu w Zimnej Woli do spoczynku wiecznego ułożą, a teraz mają go wyrzucić z chałupy, z gospodarstwa! Za co? Dlaczego? Przecież się Chaskłowi tyle nie należy, już mu się nawet nie należy, bo wszystko ma trzy razy oddane, odśłużone, a jednak może mu całe mienie zabrać.

— Czy może?

Juści może, skoro Wasążek tak powiada. On przecież znawca, zęby zjadł na procesach. Wasążek powiedział: „Czemuś podpisywał? Cierp teraz, kiedyś głupi.“

Za każdy grzech jest kara, ale za ten chyba za ciężka i zawielka... Ginie człowiek, jako mucha, a ratunku znikąd... znikąd...

Ze dwie godziny chłop przesiedział na kamieniu, potem wstał i chwiejnym krokiem ku domowi się powlókł.

Dziwna rzecz, jak go dzisiejszy dzień zmordował. Nie robił więcej niż zwykle, a doznaje takiego bólu, jak gdyby mu kto grzbiet kijem wyłomotał. Nogi drżą pod nim, a głowa ociążała, zda się, że ją wielki kamień przywalił.

Kiedy Rokita do domu powrócił, była już blisko północ. Nie wchodził do izby, tylko wprost do stodoły poszedł, rzucił się na słomę i zasnąć próbował.

Sen nie przychodził jednak; dopiero przed samym świtem przyniósł upragniony spoczynek.

Tej nocy w Czarnembłocie także długo nie spało. W wielu oknach migotały światełka, a po ulicach i po rynku snuły się gromadki obywateli, bardzo zajętych, podzielonych na grupy, zozmawiających z gestykulacją niezmiernie ożywioną.

Na progach domostw siedziały kobiety i one, dzielając oburzenie swych mężów i braci, wzdychały ciężko i miotały przekleństwa.

Księżyc pełny świecił z wysokości, obywatele więc mogli przechadzać się śmiało, bez obawy wpadnięcia do rynsztoka, lub kałuży.

Największa grupa zgromadziła się około Jankła Basa. Mąż ten poważny, tuszy okazałej, z szeroką,

rozłożystą brodą, spadającą na piersi, zdawał się być prezesem całego zgromadzenia.

Ten mówił najmniej — tylko słuchał, a tu coraz ktoś przybiegł i nową wiadomość do poprzednich dorzucił, wywołując okrzyk zdumienia lub zgrozy.

— Wiecie? słyszeliście? Ten łajdak kupił w Zimnej woli sto korcy pszenicy!

— Tak, kupił. Wszyscy możemy przyświadczyć, że to prawda.

— Niech on oślepnie!

— Niech on ręce połamie!

— Niech idzie w ziemię!

— Ładne czasy!

— Nie dość, że kupił pszenicę w Zimnej Woli, on targował także żyto w Brzozówce! Taki gałgan!

— No, no — odezwał się Mojsie Fisch — dużo ja już rzeczy widziałem, ale tego jeszcze nie widziałem.

— Wy, Mojsie, w porównaniu ze mną, jesteście dzieciak — odezwał się jakiś kaszlący staruszek — ja mam dużo więcej lat od was, ale także jeszcze takiej rzeczy nie widziałem.

— Świat się psuje...

— Jak to nasze Czarnebłoto stoi, od samego początku, jak ono jest, jeszcze taki wypadek się nie zdarzył!

— Niech przepadną wrogowie Syonu!

— Niech ich wiatr zdmuchnie z oblicza ziemi!

— Powiedzcie mi, z kąd ten łajdak poc hodzi?

— A z kąd dyabeł pochodzi?

— Dyabeł pochodzi z dyabła, ale przecież ten, o którym mówimy, jest nasz.

Zawrzało, jak w ulu.

— Co, on żyd?

— Niech Pan Bóg nas broni od takich żydów!

— Chodzi przecież w kapocie.

— Lepszy żyd bez kapoty, aniżeli kapota bez żyda.

— Macie słuszość. Pytaliście, z kąd on pochodzi? On pochodzi z Warszawy.

— Tam jest wielkie zepsucie.

— Czysta zaraza! Na dziesięciu ludzi znajdziecie jedną duszę koszerłą, reszta sama obrzydliwość.

— To prawda — rzekł Mojsie Fisch — ja mam taki zwyczaj, że jak tylko wrócę z Warszawy, zaraz idę do łaźni i do mykwy, aby zmyć z siebie obrzydliwość tej Sodomy.

— Takiego gałgana trzeba rozumu nauczyć.

— Spokojnie, powoli! — odezwał się Jankiel Bas.

— Spokojnie? Jankiel bardzo delikatny jest. Jankiel go może chce głaskać po głowie?

Jankiel fajkę z ust wyjął, pomyślał chwilę i rzekł:

— Jeśli ja go chcę pogłaskać, to tak dobrze, żeby popamiętał. Chcę mieć na niego kilka batów porządnych. Naprzód powiedzcie mi, jak on się naprawdę nazywa?

Jakiś mały żydek dał na to odpowiedź:

— On się nazywa Abram Figelman. Oby jego imię zginęło z oblicza ziemi!

Jankiel rzekł znowu:

— Mojsie ma się dowiedzieć, gdzie należy, czy papiery tego człowieka są w porządku?

— Ja już wiem— odrzekł Mojsie — są bez żadnego feleru. Ja się dowiadywałem.

— Bardzo dobrze zrobiliście. A teraz potrzeba nam pisarza. Gdzie jest nasz pokątny doradca, gdzie jest Berek?

Młody żydek wysunął się naprzód.

— Słuchaj, jest dla ciebie kawałek roboty, tylko ma być w dobrym gatunku.

— Potrafię wymyśleć coś fein, będziecie kontenci. Gdzie się to ma robić?

— U mnie w domu— rzekł Jankiel.

— Bardzo dobrze. Dajcie na papier.

— Masz i kup, tylko się spiesz.

Udali się do mieszkania Jankla, gdzie właśnie wraz z pokątnym doradcą mieli robić wielkie pisanie na Abrama Figelmana. Wszelkie łajdactwo powinno być wyteńpione i wykorzenione... A czyż nie jest łajdactwem, jeżeli jakiś obcy przyjeżdża z da-

lekiego miasta, osiedla się w pobliżu i psuje handel, wydziera prawowitym obywatelom te zyski, które z dawien dawna, od niepamiętnych czasów, do Czarnebłota należały?

Zgromadzeni na rynku obywatele zaczęli rozchodzić się do domów, tylko Mojsie Fisch i Uszer Engelman nie mieli ochoty spać. Usiedli na wielkim kamieniu, koło szkoły i taką prowadzili rozmowę.

— Uszer — rzekł Mojsie — wiecie wy, co ja myślę?

— Co wy myślicie?

— Ja myślę to samo, co wy.

— A co ja myślę?

— Wy myślicie, że jest na świecie dużo takich rzeczy, o których nie można nic innego powiedzieć, jak tylko, że są bardzo pfe!

— Zgadliście, właśnie o tem myślałem.

Obaj mężowie zapadli w milczenie i zaczęli kiwać głowami, co oznacza wielkie nateżenie myśli.

Po chwili Mojsie głęboko westchnął i rzekł:

— Tak, jest pfe!

— Bardzo pfe! — odpowiedział Uszer i zarazem dodał. — Słuchajcie, czy wyście kiedy zastanawiali się nad tym wyrazem „pfe?“

— Przyznam się wam, że nie. Wyraz to bardzo pospolity, nie znajduje się w uczonych księ-

gach, używa go, kto chce i kiedy chce, kobieta, nawet małe dziecko.

— A ja zastanawiałem się.

— Wy?

— I wcale tego nie żałuję. To jest wyraz mały, ale ogromnie pakowny. W jego trzech literach mieści się tyle, co w trzech dobrze naładowanych furach.

— Co się może mieścić?

— Posłuchajcie-no tylko. Gdy wymawiacie wyraz „pfe“, to całe wasze oblicze się zmienia, usta wykrzywają się, jak gdyby miały w sobie coś bardzo kwaśnego i macie ochotę splunąć.

— Prawda jest.

— Wasz nos robi się wówczas podobny do suszonej gruszki i marszczy się nieprzyjemnie, jak gdyby zaleciało go brzydkie bardzo powietrze. Wasze oczy pomimowoli się zamykają, jak gdyby nie chcąc patrzeć na to, o czym powiedzieliście pfe! Ruszacie ramionami, odwracacie głowę, zdarza się też, że robicie machnięcie ręką, pragnąc ni-by odpędzić od siebie dokuczliwą i uprzykrzoną muchę. Czy nie prawda?

— Bardzo prawdziwa prawda.

— Pokażcie mi drugi wyraz, przy wymawianiu którego człowiek okazuje tyle nieprzyjemności całym swoim ciałem, wszystkimi członkami?

— No, nie chcę wymówić w złą godzinę. Oby się na naszych wrogów obróciło, znam jeszcze gorszy wyraz.

— Chcecie powiedzieć: ta słabość?

— Tak.

— Nie jest to dobry przykład. Takie wyrazy, jak, broń Boże, słabość, śmierć, budzą w nas tylko jedno uczucie, to jest strach. Człowiek boi się, drży, to prawda, ale nie wykrzywia ust, nie marszczy nosa, nie przymruża oczu. Nie dość na tem, że człowiek, wymawiając wyraz „pfe“, robi tyle skombinowanych ruchów ciałem, czuje on także bardzo żwawe ruchy w duszy. Drga w niej gniew, zawstyżenie, obrzydzenie, niechęć, przykrość, smutek, żal i bardzo wiele rozmaitych uczuć, zależnych od okoliczności. Dziś, z powodu tego gałgana, o którym była mowa na rynku, nie znajdziecie w Czarnembłocie ani jednego człowieka, któryby wyrazu „pfe“ nie wymówił przynajmniej dziesięć-kroć, a czy nie widzieliście, ile było przytem oburzenia i wściekłości. Uważaliście też zapewne, jak pluli! Jak myśmy wszyscy pluli!...

— Oby to spadło na jego głowę!

— Niech spadnie. Ale przyznacie mi, że nie traćcie czasu na próżno, rozmyślając nad tym małym wyrazem i wcale nieźle określiłem jego znaczenie, ale nie na tem koniec. Wogóle lubię chodzić daleko po ścieżkach myślenia, więc i w tym

razie nie zatrzymam się na początku. Każdy towar ma kilka gatunków, dlaczegoby i ten wyraz gatunków miał nie mieć? Ja właśnie chcę te gatunki porachować, a jest ich bardzo dużo: takie maleńkie „pfe,“ które się mówi małemu dziecku, gdy się trochę błotem zawala i takie wielkie „pfe,“ jakie wymawialiśmy dziś z oburzeniem, słuchając o uczynkach tego gałgana! Od pierwszego do drugiego, ileż stopni? Mojsie, pomyślcie wy, ile może być stopni?

— Może kilkanaście...

— Może sto, może kilkaset, może tysiąc, może kilka tysięcy! Uważajcie tylko, ile razy zdarzy wam się wymówić ten wyraz.

Długo jeszcze prawili na ten temat Uszer Engelman i byłby prawili do białego dnia, bo z pięknej przedzy można snuć bardzo długą nitkę, ale obu mężów zdjęła senność, przeto powiedziawszy sobie nawzajem dobre słowo, rozeszli się i każdy z nich poszedł ku domowstwu, aby dać wypoczynek swoim dwustu czterdziestu ośmiu członkom.

Mojsie zastał swą piękną małżonkę jeszcze czuwającą.

Stała ona nad ogromną balią, napełnioną płynem ciemnego koloru, dolewała do niego mikstury z różnych flaszek i gąsiorów, zaglądając coraz do jakiegoś gęsto zapisanego zeszytu.

— Co to? nie śpisz jeszcze? — zapytał małżonek.

— A gdybym ci powiedziała, że śpię.

— Tobyś skłamała...

— W takim razie, dlaczego pytasz o to, co własnymi oczami widzisz, mądry człowieku?

— Cóż ty robisz?

— Na jarmarku zapytywali o francuskie wino, więc robię francuskie wino. Przyrządę całą balię tego smaku, podług przepisu mego ojca. Będą mieli doskonały „Lafit“. Ty jutro rano ściągniesz do butelek, zakorkujesz i przylepisz etykiety. Potrafisz?

— Przecież zawsze to robię.

— No, paniętaj, że to jest stare wino, przypadkiem nabyte od jednego podupadłego kupca z Warszawy. Mój tata zawsze tak mówił i sprzedawał taki sam interes po dwa ruble butelkę. On mi dał swoje recepty. Do Zatraceńca, jeżeli będzie okazja, jutro, bez żadnego pytania, posyłam dwanaście butelek.

— Dlaczego masz posyłać, czy żądał?

— On nie żądał, ale ja żądam mieć od niego dwadzieścia cztery ruble.

Rzekłszy to, Małka roześmiała się, co zrobiło bardzo przykre wrażenie na mężu.

— Słuchaj, Małciu — rzekł łagodnie — dlaczego ty, gdy mówisz o Zatraceńcu, to zawsze śmiejesz się i jesteś wesoła?

- Bo ja tak lubię.
- A ja cię proszę, nie śmieję się.
- Ty?
- Nie śmieję się, bo to jest pfe!

Rzekłszy to, Mojsie oddalił się z wielką powagą i poszedł spać. Usnął, lecz sen miał ciężki.

Widział ciągle przed sobą dwa „pfe“: jedno olbrzymie, kahalne, które nad całym miasteczkiem niby czarna chmura, zawisło; drugie zaś „pfe“ uśmiechnięte, wesołe, jechało na lekkiej bryczce od Zatraceńca wprost przed „Zielonego łabędzia“ do Małki.

Oczywiście, człowiek, trapiiony przez takie dwie zmory, spokojnie spać nie może...

ROZDZIAŁ XI.

*Z czem powrócił Glancman z Kopytkowa, oraz jak
wyglądał salon w Brzozówce.*

Uszer Engelman, zastanawiając się nad różnymi objawami życia ludzkiego, nad urządzeniem świata i organizacją interesów na nim praktykowanych, nad zwyczajami różnych ludzi, utwierdził się coraz mocniej w przekonaniu, że najrozumnijszym narodem są żydzi.

Wprawdzie wiedział o tem jeszcze będąc małym chłopczykiem, kiedy był w szkółce i dopiero zaczął po odrobince i cokolwieczek lizać miód wielkiej mądrości i im więcej plastrów zlizywał, tem gruntowniej ta prawda wbijała mu się w głowę.

Właściwie więc Uszer nie miał szczególnej przyczyny do zbierania dowodów na to, że dzień jest dniem, a noc nocą — ale swoją drogą lubił zbierać z amatorstwa. Nie zgromadzał pieniędzy,

gdyż to nie był jego fach, ale zbierał argumenta i dowody. Dobra jest sprawa, mająca dwóch świadków, lecz taka, która ma dwunastu, dwudziestu czterech, czterdziestu ośmiu, jest bezwzględnie lepsza.

Pewnego wieczora postanowił Uszer użyć umiarkowanej przechadzki i pójść w pole, aby łagodnym tchnieniem wiatru ochłodzić głowę, nadmiarem myśli ciężkich sforsowaną.

Wyszedł za rogatkę i usiadłszy na kamieniu przydrożnym, spoczął. Przed oczami jego rysowała się panorama miasteczka, jego rodzinnego ukochanego miasteczka.

Widział zdaleka czerwone kominy, szare dachy, ściany bielone, gdzieniegdzie okiennice różnych barw; widział żółtą synagogę i w pewnem oddale-
niu od miasta „dom wieczny,” kirkut, na którym, pod cieniem sosen, tyłu mężów zasłużonych i nabo-
żnych spoczęło.

Obraz ten rozrzewnił go i skierował jego my-
śli na punkt jeden, na miasto.

Cóż to jest miasto? Oczywiście, jest to zbioro-
wisko siedzib ludzkich. Kto wymyślił miasto? Bez-
wątpienia żydzi; oni tylko jedni mogli wpaść na tak
genialny pomysł i urządzić gród ze wszelkimi wy-
godami, z rzeźnikiem, mykwą, szkołą, ze wszyst-
kiem, co tylko potrzeba, a nawet, zachowaj Boże,
z kirkutem.

Tylko ordynaryjni ludzie mogą żyć w odosobnieniu, w lasach, w ustroniach; człowiek światły miasta szuka i tam tylko żyć potrafi.

Wprawdzie dla interesów handlowych, dla chleba, i ludzie delikatnego umysłu mieszkają niekiedy na wsi, a nawet przy handlu drzewem i w lesie, ale mieszkanie to chwilowe; zawsze łączność z miastem utrzymują, wszystkie ważniejsze święta tam przepędzają, tam jeżdżą modlić się, słuchać mądrych dysput, zaopatrywać się w pożywienie kozszerne, tam czują się prawdziwie w domu, gdy na wsi, w lesie, w ustroniu, są jak gdyby tylko na popasie.

Niepodobna sobie wyobrazić, ażeby ludzie o delikatnym umyśle i uczuciach mogli się obejść bez miasteczka, chociażby przez jeden rok.

Nie!

I z tego wynika wiele następstw bardzo dobrych, a przede wszystkim to, że każdy z synów Jakóbowych żyje podwójnem życiem, raz jako sam, osoba, a po drugie, jako członek tej wielkiej rodziny, która się nazywa miastem.

Jeżeli na miasto spada nieprzyjemność, to i jemu jest nieprzyjemnie i jego to boli; jeżeli zaś jego co boli, to i miastu jest nieprzyjemnie. Tym sposobem jego osoba jest tak ściśle połączona z miastem, jak naprzykład palec, albo ręka, z całym człowiekiem.

Gdy na miasto idzie zimny wiatr, to wszyscy żydkowie kulą się i chuchają w palce; gdy jest przyjemne powietrze, wszyscy się cieszą i używają ciepła.

Ten wiatr i to przyjemne powietrze należy uważać niekoniecznie jako sam wiatr i jako samo powietrze; można te wyrazy rozumieć także w znaczeniu przenośnem. Ów gałgan naprzykład, przybłąda, który niewiadomo po co się w okolicy Czarnegobłota sprowadził, i wbrew odwiecznym prawom, handle różne zaczyna na krzywdę rodowitych obywateli miasteczka, jest też do pewnego stopnia gatunkiem złego wiatru, a od zapachu jego podłych uczynków można dostać kataru. Jego działalność sprawia ból, ból dotkliwy, nietylko obywatelom, których interesom szkodzi, ale i całemu miastu, więc wszystkim.

To też nikczemnik ów wiedzieć powinien, że jeżeli wre na niego gniew, to nie w jednym sercu, ale w tysiącu serc, jeżeli spadają na niego przekleństwa, to nie z jednych ust, ale z tysiąca ust.

Właśnie nad tem myślał Engelman, gdy dostrzegł zbliżającego się męża pięknej Małki.

Powitali się przystojnie:

- Dobry wieczór, Uszer!
- Dobry rok, Mojsie!
- Wyszliście na drogę?
- Cokolwieczek.

— Ja też wyszedłem.

— Niech wam będzie na zdrowie!

— Dziękuję za dobre słowo. Wyglądacie?

— Czego ja mam wyglądać?

— Jakto? Więc nie wyglądacie?

— Każdy człowiek wygląda szczęścia, ale żebym miał przyjść tu umyślnie na wyglądanie, tego nie mogę powiedzieć. Przyszedłem dla świeżego powietrza. W izbie jest duszno, głowa moja ociężała, chciałem więc dać jej wypoczynek i orzeźwienie.

-- Bardzo dobrze; ale w takim razie widzę, że wam nic nie wiadomo.

— Co ma mi być wiadomo?

-- Nie słyszeliście, że nasz Głancman pojechał raniutko do Kopytkowa?

— Po co on pojechał do Kopytkowa?

— Czyż nie wiecie, po co tam ludzie jeżdżą?

-- Czy zachorował kto w jego domu?

— Uchowaj Boże! On pojechał w interesie miasta.

— Tak?

— Nie wiecie? Tak uradzono wczoraj wieczór; najęli mu furmankę i dziś o samym wschodzie słońca już był w drodze. Dziwno mi bardzo, że nie o tem nie wiecie.

-- Nie czułem się zdrowym, wczoraj nie wychodziłem z domu, brałem nawet lekarstwo.

— Jakie lekarstwo?

— Trochę mięty, cokolwiek rumianku. Miałem nieprzyjemne ściskanie i szczypanie koło serca.

— A dziś wam lepiej?

— Dużo lepiej, prawie jestem zdrów.

— Chwała Bogu! Ja wam się przyznam szczerze, że wyszedłem naumyślnie na drogę, żeby wyglądać Głancmana; jestem ciekawy, z czem on przyjedzie?

— Zapewne z czem dobrem.

— I ja się tak spodziewam. Jeżeli ztamtąd nie będzie rady, z kąd ma być rada? Jeżeli ztamtąd nie przyjdzie pomoc, z kąd ma być pomoc?

— Macie rację, wielki kabalnik, rebe Chaim jest mocny, on zdmuchnie wrogów Syonu, on nas poratuje. Ślicznie zrobili, że posłali do niego.

— Patrzcie-no, zdaje mi się, że na drodze widzę kurz.

— I ja widzę.

— To napewno Głancman.

— Biegnijmy naprzeciw...

— Nie, biegnijmy raczej do miasta.

— Po co?

— Miarkujecie sobie zapewne, że Głancman, wysłany przez miasto i w interesie miasta, nie będzie stał na drodze, aby opowiadać wam i mnie, co zrobił; on zajedzie prosto na rynek.

— Wy zawsze macie słuszość, Uszer, macie ją i w tym razie. Idźmy więc.

— Idźmy.

— A spieszmy, musimy bardzo spieszyć, żeby go uprzędzić!

— Co za gwałt!

— W każdym razie gwałt — rzekł Mojsie, uśmiechając się znacząco — bo jeżeli jest zła wiadomość, to ona leci lotem ptaka, a jeżeli dobra, to Glancman nie żałuje koni i także leci lotem ptaka. Widzicie, Uszer, że i mnie trafi się czasem powiedzieć mądre słowo, a przyznacie, że to, któreście teraz usłyszeli, wcale nie było głupie.

— Owszem, było bardzo ładne; nie trzyma się ono na ścisłym kleju filozoficznym, bo zła wiadomość leci lotem ptaka, więc bez pomocy koni, a Glancman wiezie dobrą wiadomość koźmi, więc nie lotem ptaka; ale swoją drogą zdanie wasze miało bardzo dobry klang i może się każdemu podobać.

— Spieszmy jednak...

Obadwaj męźowie puścili się szybko ku miasteczku, tak, że zaczęli mocno sapać, co stało się przyczyną przerwania ich zajmującej rozmowy.

Ciekawi byli niezmiernie, co Glancman przywiózł z Kopytkowa, bo za byle głupstwem nie jeździ się w takie miejsce i do takiej osoby.

Wielki kabalista, Chaim, słyzył szeroko ze

swych cnót; kilka tysięcy chassydów zjeżdżało się do niego na święta, chociaż właściwie nie był on rabinem, lecz zupełnie prywatnym człowiekiem; ale przecież pomiędzy prywatnymi ludźmi także bywają wyjątki. Znano go na kilkanaście mil wokoło, miał swoich wielbicieli we wszystkich okolicznych miasteczkach, wyrocznią dla nich był, ucieczką we wszelkich kłopotach, radą, pociechą — wszystkim.

Niepozorna osoba; na pierwszy rzut oka zwyczajny żydek, ale we środku! Jaka moc w tym człowieku jest we środku! On jest bardzo mądry, bardzo mocny i bardzo potężny.

On wie wszystko, co było, co jest, co będzie i czego nie będzie; on widzi w człowieku, jak w kryształowej szklance: on potrafi robić takie kombinacje liczb i liter, od których ziemia mogłaby zadrzeć; zna sposoby zaklęcia duchów, a uczynić coś nadzwyczajnego, to jest u niego rzecz bardzo zwyczajna.

Taki człowiek jest postrachem złych duchów; kiedy pali fajkę i wypuści z ust kłęb dymu, giną one w nim tysiącami, jak muchy, a kiedy powie słowo, przepadają miliony paskudników.

Atoli słowa jego nie są obfite, tak, jak nieobfite są na świecie perły i brylanty... Zwyczajny człowiek może mleć językiem bezustanku, bo jego słowa mają wartość piasku, ale taki!..

Znoszą mu ze wszystkich stron podarunki i pieniądze, bo niedelikatnie i niepraktycznie byłoby przystępować do takiego z gołą ręką. On dla siebie potrzebuje bardzo mało, prawie nic, ale ma koło siebie rodzinę, ma duży dom, którego utrzymanie więcej kosztuje, niż, nie ubliżając sprawiedliwemu mężowi porównaniem — niejednego hrabiego.

Do tego to potentata jeździł Glancman, wybrany jako człowiek wymowny. Nikt tak malowniczo i treściwie nie umiałby przedstawić troski, jaka nad Czarnemblemem zawisała, jak Glancman.

Oczekiwano też jego powrotu z niecierpliwością.

Kiedy Engelman z Mojsiem przybiegli na rynek, zaledwie zdołali czerwonymi chustkami obetrzeć spocone czoła, dały się słyszeć głosy:

— Jedzie, jedzie!

Jakoż rozległ się turkot kół po nierównym bruku, a furman Berek ćwiczył swoje chude szkapy co wlaźło.

I on, chociaż ordynaryjny bałagula, pysznił się, że z takiego miejsca powraca, i chciał przy tej sposobności pokazać swoją sztukę, to też, tak gwałtownie stuknął o kamień, że o mało co nie wyrzucił Glancmana w kałużę.

Szczęśliwie obyło się bez wypadku i Glancman, zamiast w błoto, wpadł w ręce swoich zaciekawionych i rozgorączkowanych współobywateli.

Nikt mu nie powiedział: dobry wieczór, ani jak się masz, wszyscy hałasowali jednocześnie:

— Co?

— Byłeś?

— Widziałeś?

— Gadaj!

Jednocześnie szarpali go za poly i za rękawy, z wielkiej ciekawości, oraz z przeświadczenia, że dobrze jest dotknąć się człowieka, który w takim miejscu był i taką osobę widział.

— No, prędeż, prędeż! Mów!

— Czy nie widzisz, że stoimy, jak na rozżarzonych węglach?

— Zaraz, czekajcie! — wołał Glancman — przestańcie mnie szarpać! Czy wam się zdaje, że dostałem kapotę w prezencie? Kosztowała mnie ośmnaście rubli, jak jeden grosz.

— Niech cię lichy porwie razem z kapotą! Mów, coś zrobił?

— Dobrze.

— A co przywiozłeś?

— Bardzo dużo!

— Słuchajcie, słuchajcie!

— Czy chcecie, żebym na rynku takie rzeczy opowiadał?

— Właśnie, na rynku jesteśmy jak w domu; sami w swoim kółku. Czy to nie jest nasz rynek, sam środek naszego miasta? Samo serce!

Jankiel zaoponował.

— Lepiej pod dachem.

— U mnie! — zawołał Mojsie — „pod Zielonym łabędziem“ taka śliczna sala!

W paradnej stancyi, gdzie zazwyczaj pani Małka przyjmowała sam kwiat swoich gości, zgromadziło się tylu obywateli czarnobłockich, ilu tylko w czterech ścianach tej izby mogło się pomieścić. Stali oni szczelnie jeden obok drugiego, upakowani dokładnie, jak sardynki w pudełku, a że wieczór był parny, przeto pocili się niby w łaźni.

Glanzman zaczął swoją relację od tego, że jechał z wielkim pośpiechem, że Berek bardzo energicznie poganiał konie, on sam zaś jeszcze energiczniej poganiał Berka i dzięki temu, stanął w Kopytkowie zaraz po południu.

Powiedziano mu, że wielki mąż tylko co spożył obiad i że położył się, aby spocząć. Z tego powodu Glanzman czekał, a żeby nie tracić czasu, poszedł się posilić. Zaledwie zdążył zjeść dwa małe kawałki chleba i cząstkę śledzia, dano mu znać, że już może przyjść.

Wiadoma rzecz, sen sprawiedliwego bywa spokojny, lecz krótki.

Wtedy Glanzman przyglądził brodę i za parę chwil stał przed obliczem nabożnego męża.

Pozdrowiwszy go według obyczaju i oddawszy honor, takiej osobie przynależny, delegat zaczął

mówić. Cały żal miasteczka, całą jego przykrość i oburzenie wylał z serca przez usta, a słowa jego, nabrzmiące wielkim bólem, padały niby deszcz kamieni. Trzeba uważać, że zaraz przy samem rozpoczęciu mowy, rebe Chaim kiwnął głową raz. To jest duża rzecz!

W tem kiwnięciu nie było słów, ale było znaczenie głębokie. Było uznanie słuszności skargi, potwierdzenie, że obywatelom Czarnobłota krzywda się dzieje, zachęta do dalszego mówienia.

Delegata nie trzeba było o to dwa razy prosić.

Człowiek wymowny, lubił się z darem krasomówczym popisywać, zwłaszcza w takim domu, wobec takiej osoby! Jak zaczął malować przybysza czarnym kolorem, to można było mniemać, że wziął wszystką czarność ziemi, przepaści, głębin morskich i piekieł, wszelką obrzydliwość wnętrza bagien i wszelką ciemność nocy.

Słuchając opowiadania o niegodziwcu, który przyszedł w te strony, aby psuć interes obywatelom czarnobłockim, mąż sprawiedliwy splunął.

To jest fakt. Splunął na sam środek stancyi i jednocześnie wytrząsnął fajkę, z której posypał się popiół i iskry.

Gdy Glancman to powiedział, po wszystkich członkach zgromadzenia dreszcz przeszedł.

Dobrze tak łotrowi, który nie szanuje praw, wdziera się w sferę interesów obywateli czarno-

blockich i odbiera im słusznie należny zarobek. Oplwane niech będzie imię jego, a on sam niech zginie w gorącym popiele i iskrach, jak na to zasłużył.

Choćby Glancman nie przywiózł był z Kopytkowa nic więcej nad wiadomość o splunięciu i wytrząśnięciu popiołu z fajki, to i tak przywiózłby już bardzo wiele, ale nie na tem koniec.

Drobiazgowa relacya Glancmana zawierała jeszcze kilka punktów, niezmiernie ważnych, a przede wszystkim ten, że kiedy sprawiedliwy mąż usłyszał o pisaniu i kilku denuncyacyach, jakie na niegodziwego człowieka podano, to uśmiechnął się i znowu kiwnął głową.

Czy może być ważniejsze i poważniejsze za twierdzenie czynu? To kiwnięcie głową było niby złota pieczęć na pergaminie, znaczyło ono tyle, co zupełne uznanie i pochwała zarazem.

Wszyscy byli przekonani, że dzięki temu kiwnięciu, wszystkie środki, przedsięwzięte przeciwko intruzowi, będą niezawodnie skuteczne.

Pozna on smak, dowie się, co to znaczy wchodzić tam, gdzie nie potrzeba i robić to, co nie należy. Uciekać będzie, gdzie pieprz rośnie, a nietylko synom swoim, ale wnukom zapowie, ażeby omijali Czarnebłoto zdaleka, gdyż tam są ludzie, którzy w obronie praw swoich potrafią stanąć, niby lwica, gdy kto jej młode chce zabrać.

Jak zmęczony podróżnik na pustyni, wyczerpany z sił, znużony od gorąca i trawiony pragnieniem, znalazłszy źródło, ochłodzi się i wzmocni, tak zgromadzeni „pod Zielonym łabędziem,” usłyszawszy opowiadanie Glancmana, ochłodzili się, orzeźwili i wzmocnili.

W serce każdego z nich wstąpiło uspokojenie i nadzieja, weszła pewność, że pohańbieni i upokorzeni zostaną wrogowie jego, a on sam, jako częśćka ludności czarnobłockiej, żyć będzie sam w sobie i w Czarnembłocie spokojnie i bez żadnej przeskody.

Niema się co dziwić, że paradna sala pani Małki napełniła się gwarem radosnym, tym przyjemnym gwarem, który świadczy, że wszyscy obecni zrobili dobry interes i że mają serca napełnione otuchą.

Ale i nie na tem jeszcze był koniec relacji Glancmana; mąż ten albowiem, zdając sprawę ze swojej misyi, zachowywał się tak, jak ów kupiec klejnotów, który z początku pokazuje ładne kolory, ale nie najdroższe kamienie, następnie perły coraz to większe, a na samym końcu dopiero wydobywa wielki, wspaniały brylant, taki brylant, co olśniewa oczy blaskiem, duszę napełnia pożądliwością, a z piersi wydobywa okrzyk zachwyty.

Glancman postępował tak samo, jak ów handlarz klejnotów.

W relacyi, jaką zdawał zgromadzonym, splunięcie i wytrząśnięcie popiołu z fajki, podobne było garści rozsypanych rubinów, szmaragdów, szafirów i tym podobnych migotliwych, barwnych kamieni; kiwnięcie głową i uśmiech równało się wielkiej perle uryańskiej, ale w zapasie, na sam ostatek, pozostawił jeszcze brylant.

Brylant czystej wody, tak drogi, że aż nie mający ceny.

Głancman uderzył silnie ręką w stół, na znak, iż zgromadzenie ma się uciszyć, a kiedy już po nad głowami mężów przeleciał cichy ptak milczenia, kiedy wszyscy, niby miecze do pochew, wsunęli języki za opasanie zębów swoich, wówczas zabrał głos i mówił dalej.

I opowiedział, że w słowach pełnych oburzenia, zgrozy, i żalu odmalował położenie mieszkańców Czarnegobłota, czas, który się psuje coraz fatalniej, wspomniął o interesach, jako te stają się coraz trudniejsze i mniej korzystne, wreszcie dodał, że po nad miasteczkiem, niby stada wron kraczących, przelatują różne przykre wieści, według których, oby nie w złą godzinę wymówić, porządnym obywatelom i kupcom nie wolno będzie handlować wódką, tak, jakby chcieli, ani obracać pieniędzmi, tak, jakby chcieli, ani mieć takich zysków, jakby chcieli.

Odmalował to wszystko szczegółowo, dokładnie,

właśnie jak chory, gdy przed znakomitym lekarzem odsłania rany swoje i na dolegliwości wielkie się skarży.

Wyraziwszy zaś wszystko, co mu na sercu leżało, ośmielił się zapytać: co będzie?

Co będzie?

Dość długo wielki mąż na słowa swoje czekać kazał. Snać rozważał w myśli i kombinował. Sięgnął ręką po fajkę, nałożył ją tytuniem, zapalił, pociągnął; wypuścił z ust kilka dużych kłębow dymu, popatrzył w sufit i rzekł:

— Będzie, jak było...

Gdyby na głowy zgromadzonych zaczął nagle padać złoty deszcz, perłowy grad, gęsty śnieg z samych bankocetli, nie sprawiłby im takiej radości, jak to krótkie, a przecież takie wielkie powiedzenie:

— Będzie, jak było!

— I to prawda? — zapytano.

— Tak, prawda, jak teraz mamy wieczór.

— Nie przesłyszałeś się?

— Ja miałbym się przesłyszeć? Czy wam się zdaje, że kiedy ja tam byłem, to ja byłem wtenczas Glancman? Nie! ja byłem wtedy oko! Nic, tylko jedno wielkie oko! A kiedy usta swoje otworzył i wielkie słowo, niby rajskiego ptaka, miał z nich wypuścić, to ja byłem jedno wielkie ucho; a kiedy on ruchem głowy i oczami swojemi dał mi

poznać, że już nie więcej nie usłyszę i że wypada mi odejść, to ja zrobiłem się skrzydło ptaka, żeby do was z nowiną przylecieć. Przyleciałem i powiedziałem wam wszystko, teraz możecie iść i roznieść to po całym mieście. Niech wszyscy wiedzą.

— Niech wiedzą, ma się rozumieć, niech wiedzą!

— Niech to nie będzie tajemnicą ani dla biedaka, ani dla kobiety, ani dla dziecka, niech wszyscy do syta najedzą się radością i napoją uspokojeniem.

Stojący bliżej drzwi z głośnym szmerem zadowolenia zaczęli wychodzić. Pani Małka zaś z trudnością przecisnęła się do okna i otworzyła je szeroko.

Wiatr przez nie wpadał i drzwiami otwartymi wybiegał, muskając brody mężów, a zarazem rozrzedzał atmosferę, zgęszczoną od nagłego rozradowania się tylu duchów.

W kilka chwil później zgromadzenie się rozeszło. W paradnej sali, oprócz Małki, Mojsia i jego przyjaciela Engelmana, pozostał tylko Glancman, Jankiel Bas i jeszcze dwóch kupców.

Rozmawiali oni, a jako jest w obyczaju uczonych, aby do każdej sentencji, do każdego wielkiego wyrazu, dorabiać zaraz komentarz i do tego znów komentarza jeszcze jeden komentarz, tak i w tym wypadku, każdy komentarze swoje dawał.

— I cóż? — rzekł w końcu Jankiel Bas — czym nie mówił, że nie mamy powodu tak bardzo się obawiać tego łajdaka.

— Byliście w strachu, tak samo, jak wszyscy.

— W strachu? Dlaczego nie miałem być w strachu, jeżeli on zaczął skupować zboże od ludzi, z którymi ja handluję? Owszem, byłem w strachu, ale swoją drogą mówiłem, że nie mamy czego się obawiać.

— Ech! — rzekł na to Engelman — taka już jest nasza natura, że często bywamy w strachu, choć niema czego się bać.

— Alboż mało nas straszyli? — wtrącił nieśmiało Mojsie.

— Prawda, że straszyli, i to nawet wielkimi strachami, ale co zrobili nam? — dorzucił Engelman. — Straszyl nas Faraon w Egipcie, straszyli Filistyny, straszyl wielki paskudnik Haman, a gdzie oni teraz są? Ich dawno dyabli wzięli, a my jesteśmy i siedzimy sobie w Czarnembłocie i siedzieć będziemy, daj Boże, jak najdłużej. Czego się bać?

— Prawda. Czego się bać?

— No — rzekła z uśmiechem pani Małka — teraz, jak usłyszeliście wielkie słowo i jak wleźliście za to słowo, jak za piec, to jesteście bardzo odważni.

Mojsie ośmielił się delikatnie zauważyć, że w kwestyach tak poważnych głos kobiety wcale nie jest głosem, a ponieważ taka mowa groziła sprzeczką małżeńską, Engelman, chcąc ją odwrócić, stuknął mocno w stół i szeroko zaczął się rozwódzić nad położeniem.

Następnie Jankiel Bas podniósł kwestyę, o co-by jeszcze można oskarżyć przybysza, który śmie prawa obywateli czarnobłockich naruszać?

Wprawdzie to, co się już zrobiło i co znalazło potwierdzenie i uznanie w Kopytkowie, wystarczy, ażeby intruza dyabli wzięli, ale dla pewności nie zaszkodzi, jeżeli go wezmą dwa razy. Na co robić z nim ceremonie? Chce drugich gubić, niech ginie sam, skoro jest taki lajdak.

Tego wieczora nad Czarnembłotem unosił się wielki obłok radości, wszyscy byli szczęśliwi i cieszyli się wiadomościami, które przywiózł Glancman.

Niektórzy jeszcze na noc, niektórzy wczesnym rankiem, posiadali na biedki i puścili się w okolicę za interesami, pełni otuchy, że im się powiedzie i że cokolwiek pod taką dobrą wróżbą rozpoczną, będzie uwieńczone najpomyślniejszym skutkiem.

Jankiel Bas wybrał się w dalszą podróż do miasta gubernialnego, ale przed wyjazdem odbył konferencyę z Glancmanem, a podczas niej często było wspomniane nazwisko dzierżawcy Zatraceńca.

Na skutek tej konferencyi Glancman udał się nazajutrz do pana Boreckiego do Brzozówki i miał tam rzucić kilka słów bardzo znaczących.

Dworek brzozowiecki tonął w ogrodzie, był on drewniany i niezbyt obszerny, ale na potrzeby rodziny wystarczał. Dla wszystkich jej członków były miłe, wygodne kąciaki i nikt się nie mógł na ciasnotę uskarżać.

Pan Borecki miał swoją kancelaryę z wejściem oddzielnem, ciotka swój pokój, panienki także, a prócz tego jeszcze był duży pokój stołowy i salon.

W tym ostatnim niepodzielnie panowały panienki. One utrzymywały porządek, one własnymi rękami wyrabiały dla ozdoby przeróżne franki, serwetki, patarafka i osobliwsze arcydzieła krzyżowe, siatkowe i szydełkowe; one to pielęgnowały rośliny na oknach i letnią porą dostarczały bukietów.

Czysto tam było, jak w pudełeczku, a staroświeckie, jesionowe, czarną włosiennicą kryte meble, wyglądały tak świeżo, jak gdyby je tylko co wprost od stolarza przywieziono.

Latem panował tam ciągle zapach róż, rezedy, lewkonij, gwoździków i wszystkich tych pospolitych, ale wdzięcznych kwiatów, jakie panienki w ogrodzie pielęgnowały. Na każdym stole stał bukiet, ułożony piramidalnie, z trawką włoską w środku, a z grubym podkładem z rezedy u spodu.

Bywały też i niezapominajki, na płaskich fa-

jansowych salaterkach, szeroko rozłożone. Panienci same je zbierały, a nie trzeba było po te kwiatki pamięci chodzić daleko, bo rosły one zaraz za ogrodem, po obu stronach szerokiego rowu, który łąkę przerzynał.

Oprócz bukietów i niezapominajek nie brakło w salonie i innych, trwalszych roślin. Wszystkie okna były niemi ubrane i nietylko okna, bo oleandry aż do pułapu sięgały, a gdy zakwitły i całe się różowemi bukietami okryły, to taki zapach był, jakby kto worek migdałów rozsypał.

Jedno okno zajmowała całkowicie na drewnianej kratce rozpięta asklepia, piękna roślina, mająca kwiatki białe, niby z wosku zrobione i miodem pachnące.

Bywał nieraz kłopot z powodu tej rośliny, gdyż zwabione zapachem osy i pszczoły zlatywały się do niej i trudno je było wypędzić.

Były pelargonie i geranie, były fuksye rozmaite, czerwone z białemi środkami, białe z fijołkowemi, były mirty, bo jakżeż bez nich w domu, gdzie są panny? Przecie nie wypada pożyczać zkąd na wesele!

Rośliny nie mogły się pomieścić na oknach, zrobiono więc dla nich schodki sosnowe, pomalowane na zielono. Było z tem kłopotu coniemiarą, bo karbowy Filip, który, jako trochę majstrowaty i umiejący się obchodzić z siekierą, podjął się je

zrobić, strasznie z tem marudził. Tłómaczył się, że desek takich cienkich niema i czasu, a może trochę i pana Boreckiego się bał, żeby go nie zdyfamaował za to, że zamiast skrzynie do kartofli połątać, głupstwami się trudni.

Ale jakoś pokonano przeszkody. Deski wypatrzyła w szopie panna Zofia, Filip zaś skorzystał z czasu, kiedy pana Boreckiego w domu nie było i schodki zmajstrował.

Narobił się chłopisko, to prawda, ale nie darmo, bo dostał od panny Jadwigi kielich gorzałki i taki kawał chleba z masłem i serem, że go, w spokojności usiadłszy, ze trzy kwadranse jadł i ledwie zjadł, choć się dobrze zwijał.

Ale znów się kłopot wywiązał. Trudnoż było wstawiać do pokoju takie białe schodki sosnowe; należało je wpierw pomalować.

Przy tej okazji dopiero panny przekonały się, jak trudną sztuką jest malarstwo, zwłaszcza, gdy kto chce koniecznie, żeby schodki były zielone.

Ciotka mówiła, żeby nie grymasić i nie szukać wiatru w polu, kiedy w domu, Bogu dzięki, jest farbka do bielizny; ale sama się przekonała, że to do niczego, schodki bowiem stały się nie niebieskie, ale jakieś srokate, łaciaste.

Próbowano poprawić ten kolor wiórkami — jeszcze gorzej — i byłoby wypadło wyrzec się schodków, ale panienki nie dały za wygraną. Przy pierw-

wszej bytności w Czarnembłocie kupiły prawdziwej zielonej farby i umalowały schodki tak pięknie, że nie do życzenia. Kiedy wyschły, wniesiono je z tryumfem do salonu i zastawiono kwiatami.

Panny były uradowane, a nawet ciotka, osoba do zachwyty nie skora i na pochwały nie szczodra, przyznała, że pokój dużo lepiej wygląda i kwiaty piękniej się prezentują.

Tak się jakoś szczęśliwie złożyło z temi schodkami i przyozdobieniem salonu, że kiedy pan Stanisław po raz pierwszy przyjechał, zastał je już i bardzo uważnie się przyglądał; widać, że mu się podobały; gdy zaś matka jego złożyła wizytę w Brzozówce, to się tych ślicznych kwiatów nachwalić nie mogła.

Zaraz kazała zrobić takie same schodki i domek na leśniczówce niemi przyozdobiła, panienki zaś dały jej kilkanaście doniczek na rozmnożenie.

Kiedy pan Stanisław te kwiaty zabierał, chciał koniecznie wiedzieć, który od której panny jest darowany, ale nie dowiedział się nic — niech zgaduje.

Dopiero za następną bytnością, kiedy znów zaczął się pilnie dopytywać, Jadwinia wygadała się niechcący, że kwitnący oleander jest od Zosi.

Później młody leśnik wspominał często, że ze wszystkich roślin, jakie zna na świecie, najpiękniejszą jest oleander, i to nietylko podczas

kwitnienia, ale i wówczas nawet, gdy choruje, utraci liście i stanie się podobnym do starej miotły.

Jadwinia-bo nigdy nie umiała utrzymać sekretu; wygadała się też przypadkiem, że siostra jej lubi niezmiernie konwalie, a naprawdę ona je polubiła dopiero od czasu, gdy jej pan Stanisław cały pęk tych białych kwiatuszków w lesie nazbierał i przywiózł.

Niewiele brakowało, by wypaplała, że trzy gałązki konwalii są zasuszone w książce do nabożeństwa i że je Zosia z sobą zawsze do kościoła wozi.

Raz już... tylko co... o małej włos... nie powiedziała i o tem; ale Zosia wywołała ją na ganek i tak prosiła, tak prosiła na wszystko, że wymogła na niej najsolenniejsze przyrzeczenie, iż będzie uważna i że ani słóweczka niepotrzebnego nie powie. Onby sobie mógł Bóg wie co myśleć, a przecież w tem niema nic; doprawdy, nic w tem niema...

Mówiąc, że niema nic, Zosia rumieniła się, jak poziomka i spuszczała oczy, ale to więcej z obawy, aby pan Stanisław nie dowiedział się, niż z innego powodu.

Spodziewano się, że pani Zawadzka z synem przyjedzie przed wieczorem, zapowiedziała bowiem swoją bytność ciotce, gdy się w kościele spotkały. Z tego powodu świeżutki zawsze salon, wyświeżony został jeszcze lepiej, nadzwyczajnie. Bukiety, jeszcze nie zwiędnięte, wyrzucono na śmiecie, a za-

stąpiono je nowemi, z których jeden, z samych centofolij, był gruby, jak dobrej więzi snopek.

Grzechem byłoby żałować róż, gdy jest ich taka masa w ogrodzie. Kilkadziesiąt krzaków potężnych, a wszystkie, jakby oblepione kwiatami.

Bukiety robiły panienki popołudniu i spryskały je wodą, żeby na przybycie gości wyglądały świeżutko.

Jadwinia ciągle spoglądała na zegar, panna Zofia udawała, że ją czas niewiele obchodzi i na zegar wcale nie zwracała oczu, ale to tylko taki wykręt paniński. Nie patrzyła na zegar, ale po słońcu, po cieniu, jaki od drzew padał, wiedziała doskonale, która godzina, i wiedziała również dobrze, że czas się wlecze, jak żółw. Zauważyła także, iż kalafiory mają bardzo sucho, i że trzeba je dobrze podlać, wciąż też chodziła tam z polewaczką-

Prawdę rzekłszy, kalafiory mogłyby się jeszcze ze dwa dni bez podlewania obejść, ale zagonek, na którym rosły, znajdował się tuż przy parkanie, na końcu ogrodu, a zamtąd był widok na drogę.

Oczekiwani goście nie spieszyli jakoś, bo słońce schylało się coraz niżej, a ich ani widać.

Naraz dało się słyszeć ujadanie psów we wsi.

— Pewnie jadą! — zawołała Jadwinia.

— Może — odrzekła siostra, udając obojętną.

— Zobaczę!

— Jak chcesz.

Dziewczynka pobiegła na koniec ogrodu i niebawem powróciła zadyszana.

— Jada, Zosiu, naprawdę jada! Są już za wsią!

— Poznałaś?

— A jakże!

— Ciekawam, jak można poznać kogo z takiej odległości?

— Kurz widać, Zosiu, jak cię kocham! Ja już słyszę turkot bryczki, a ty nie?

— Ani trochę.

— To dziwne, bo ja wybornie; teraz skręcili koło ogrodu. Słyszysz?

— Może... rzeczywiście...

— Ależ, naprawdę! Trzeba powiedzieć cioci.

— To powiedz.

— Ja wyjrzę z ganku!

Z temi słowy wybiegła, a niedługo dał się słyszeć turkot przed gankiem. Jadwinia zaraz wróciła.

— Cóż? — zapytała Zosia — przyjechali!

— Tak, przyjechał... Głancman i właśnie opędza się od psów.

— Głancman, — rzekła panna Zofia i zrobiła przytem dziwny grymas ustami.

Żeby wielki delegat, który jeździł z Czarnego-
błota do Kopytkowa w nadzwyczajnej misyi od ca-

łego miasta, mógł widzieć wrażenie, jakie dźwięk jego nazwiska na pannie Zofii wywołał, zdziwiłby się zapewne niepomierne,

Glanzman! Czy to nazwisko źle brzmi? Czy nie jest miękkie, jak aksamit? Czy nie usposabia przychylnie dla człowieka, który je nosi?

Zdaje się, że dość jest wymówić: Glanzman, aby wyobrazić sobie człowieka jedwabnego, gładkiego, pełnego delikatności i elegancyi, mającego względnie czystą kapotę i tombakowy zegarek, a ta panna krzywi się, jak gdyby zjadła cytrynę. Słusznie mówią, że są rzeczy, na których kobieta nigdy się nie pozna, gdyż rozum jej na taki interes zasłaby.

Glanzman, stoczywszy rozpaczliwą walkę z psami, z której wyszedł cało i szczęśliwie, gdyż mu od strony kuchni posiłki przybyły, udał się wprost do kancelaryi pana Boreckiego.

Zaraz na wstępie oświadczył, że szczególnego interesu nie ma, że wstąpił tylko tak sobie, aby dowiedzieć się o zdrowiu, a przy tej okazji zapytał, czy przypadkiem niema jakiego ziarna na sprzedaż?

— Dlaczego przypadkiem? — zapytał gospodarz. — Przecież nie z przypadku, lecz naumyślnie zboże sieję i naumyślnie je sprzedaję.

— Ja wiem, ale pan dobrodziej nie zawsze lubi sprzedać wtenczas, kiedy my chcemy kupić, dlate-

go pytam, czy pan niema na sprzedaż przypadkiem.

— Trudno, nie zawsze można sprzedawać, kiedy wam się podoba; czas płaci, czas traci.

— No, alboż my nie ryzykujemy? Handel zbożem, to jest tak, jak granie w karty, dziś pan, jutro kapcan, ale zawsze trzeba cokolwiek ryzykować.

— Ja wolę nie ryzykować.

— I to jest dobrze, ale jak czasem. Ryzykując, można stracić i nie ryzykując, można nie zarobić, bo prawdziwie mówiąc, nieryzykowanie, to jest także ryzykowanie, tylko w innym gatunku.

— Jakto?

— Bardzo prostym sposobem; jeżeli ja kupuję naprzód zboże i później ceny spadną, to tracę, bo ryzykowałem z góry; jeżeli pan trzyma zboże w śpichrzu i czeka na ceny lepsze, a doczeka się gorszych, to pan także straci, ponieważ pan ryzykował od dołu. Panie dobrodzieju, wszystko jest na świecie ryzyko, oprócz szczęścia.

— Tak, ale gdzie go szukać?

— Na co szukać? Jak ono ma do kogo przyjść, to samo przyjdzie, nawet niewołane i nieproszone, a jak niema przyjść, to choćby człowiek stanął na środku rynku i cały dzień krzyczał: „aj, waj!“ — to ono też nie przyjdzie. Niedaleko szukając, mamy przykład w naszej okolicy, bliźniutko, z panem

Róžańskim. Czy on się spodziewał, że na niego taki majątek patrzy. Pan dobrodziej zapewne słyszał coś o tem.

— A słyszałem, coś mówią.

— Mówią? Wielmożny panie, oni nie mówią, ale krzyczą, a zazdroseczą!... Ja sam widziałem takich, co, kiedy usłyszeli o tym interesie, zrobili się całkiem zielone, wszystka żółć się w nich poruszyła z zazdrości! Pana Róžańskiego interesa bardzo się poprawiły, on teraz duży pan się zrobił, kredyt w mieście ma, żeby tylko chciał!...

— A nie chce?

— Proszę pana, zwyczajnie tak bywa, że kto kredyt ma, rzadko kiedy go żąda, kto nie ma, toby wciąż pożyczał. Pan Róžański nie lubi pożyczać. On ma taką naturę, jak wielmożny pan.

— A ilebyście mu mogli skredytować?

— Ileby sam chciał! Pięć, dziesięć tysięcy. Niech tylko słowo powie, a w tej chwili całe Czarnebłoto się poruszy. Każdy ściągnie z żony perły, wyjmie jej z uszu koleczyki, zastawi, a da. Jak takiemu panu nie dać? Niech pan dobrodziej sam powie? Jak nie dać?

— A mnie dalibyście, gdybym potrzebował?

Glaneman zrobił bardzo uprzejmą minę.

— Komu kredytować, jeżeli nie panu?

— Ba! a z czegobym oddawał?

— Niech pan żartuje zdrów! Wielmożny pan jest znany bogacz w okolicy.

— Nie liczyliście moich kapitałów.

— Czy pan myśli, że tylko to bogactwo, co policzone, jest bogactwem? Według mojego rozumienia, więcej jest na świecie niepoliczonych skarbów, niż rachowanych. Zdaje się, że tak?

— Być może.

— Pan dobrodziej, prócz tego, co ma, może mieć jeszcze dużo, bardzo dużo. A pana córeczki! Takie piękne, edukowane panienki! One dostaną bogatych mężów, im się to należy.

— Jeszcze czas.

— Dlaczego czas? Skoro są panienki, to trzeba i zięciów. Ja znam takiego pana, co z dużym majątkiem, z wielkim majątkiem, co mógłby grymasić i kawałek hrabianki poszukać, a przeecie chciałby zostać zięciem pana dobrodzieja. Pan zapewne miarkuje, że ja o panu Różańskim mówię. Godny kawaler, lepszego w okolicy nie znajdzie... Co pan dobrodziej myśli o tym interesie?

Borecki brwi zmarszczył i rzekł poważnie:

— Słuchaj-no, mój panie Glancman, jeżeli będę miał na sprzedaż pszenicę, kartofle, rzepak, to będę z tobą chętnie mówił, ale córek przez twoje ręce pozbywać się nie myślę. Niech cię to nie obraża, ale radzę ci, abys się w nie swoje rzeczy nie wdawał.

— Ja nie rozumiem wielmożnego pana. Czy dlatego, że ja nazywam się Glancman, nie potrafię być życzliwym? Dlaczego?

— Dlatego, że to do ciebie nie należy i zrobisz mi wielką przyjemność, jeżeli zechcesz rozmawiać o czym innym.

Glancman próbował jeszcze, aby do tego przedmiotu powrócić, ale widząc, że to się na nic nie zda, odjechał.

— No — mówił do siebie, siedząc już na biedce i poganiając chudego konia — ty panie szlachcic nie chcesz żyda swata, ale co Glancman powiedział, to już ci mocno w głowie siedzi. Ty lubisz pieniądze i ty się na nie zląkosisz. Sam będziesz się starał o Różańskiego na męża dla swojej kochanej córeczki. Owszem, szukaj, złapiesz się. Śliczny zięć, bardzo fajny kawaler!

Kiedy pan Borecki, zakończywszy rozmowę z Glancmanem i wydawszy Filipowi dyspozycję robót na jutrzejszy dzień, przyszedł do „salonu,” zastał tam siostrę swą, córkę i gości w bardzo wesołym nastroju ducha.

Pani Zawadzka z ciotką Gertrudą rozmawiała z wielkiem ożywieniem o najlepszym sposobie marynowania grzybów, a panienki z panem Stanisławem o kwiatach i o lesie.

Pokazało się z rozmowy, że panny bardzo lubią las, ale panna Jadwiga bałaby się w nim mieszkać, zwłaszcza w zimie, głównie z powodu wilków; panna Zofia zaś dała się słyszeć ze zdaniem, że wilk nie jest bynajmniej tak straszny, jak mówią, i że szczególnie zdaleka, jest to nawet dość przyjemne zwierzątko, podobne bardzo do Burka, psa podwórzowego, który tak Glancmana przestraszył. Nie ma żadnej racji obawiać się wilka, tembardziej, że, jak mówi pan Stanisław, wilk boi się ludzi i ucieka przed nimi. Można temu wierzyć, bo pan Stanisław zna się na wilkach doskonale i niejednego już zastrzelił.

Nieznośne są zegary; gdy potrzeba, żeby się spieszyły, chodzą niesłychanie powoli; gdy jest pożądanе towarzystwo, miła rozmowa, mierzą godziny ze złośliwą szybkością.

Tyleby jeszcze było do powiedzenia, tyle pytań ciśnie się na usta, a tu szkaradne zegarzysko dzwoni i gdacze: „Już czas, już czas, już czas!”

I pod wpływem tego gdakania, starszym zaczynają się oczy przymykać, jakby senne; lampa się dopala, samowar stygnie, a sprzymierzeniec niegodziwych zegarów, wielki kogut czubaty drze się na grzędzie, jak potępieniec i budzi Wojtka, aby konie zaprzęgał i przed ganek zajeżdżał z turkotem.

W bezmyślnej, skrzypiącej maszynie do mierzenia czasu, siedzi jakiś chochlik złośliwy, duch przeciwieństwa i psoty, bawi się kosztem młodych dziewcząt i chłopców, psuje mechanizm, zatrzymując kółka, lub do szybkich je przynaglając obrotów, przerywa rozmowę w chwili najciekawszej, właśnie w takim momencie, kiedy już, już, niby mała ptaszyna z gałązki, miało się zerwać z ust jedno słówko, jedno tylko, ale jakie!...

I nie .. przeszkodził niegodziwiec! Kazał wstać, zegnać się, szukać okrycia dla matki, mówić: „dobranoc, panie dobrodzieju!“

Bardzo ten „dobrodziej“ jest w takiej chwili potrzebny!

Nic nie pomoże, trzeba czekać drugiej wizyty, a kiedyż ona będzie?!

Pannie Zoffi robi się smutno, a ten młody trzpiot, Jadwinia, śmieje się tylko i jak się śmieje! Śmieją się jej oczy, usta, wszystkie dołeczki na twarzy. To jest niegodziwość, żeby rodzoną siostrę tak wyszydzać!

Odjechali...

Przedtem pani Zawadzka zaprosiła ciotkę Gertrudę i panienki na zbieranie grzybów do lasu i na podwieczorek. Zacności kobieta, jak ona rozumie, że bez zapasu grzybów na zimę trudno się obejść

i że żadne nie mogą być lepsze nad te, które koło Majdanu rosną i które się własnymi zbierze rękami.

Nazajutrz rano Jadwinia zastanawiała się bardzo poważnie nad pytaniem, co to może znaczyć, że Zosi przez całą noc śniły się grzyby?

ROZDZIAŁ X,

*w którym mowa o spotkaniu Rokity z Wasążkiem,
o bransolecie z brylantem, tudzież o różnych ga-
tunkach grzybów.*

Było chłodno, deszcz chlapał, świat wydawał się szary i smutny; zboża z pól już sprzątnięto, tylko rżyska szczotkowato na roli sterczały, lub szarzyły się świeże podorywki i czerniły łąciny niewykopanych kartofli. Gdzieniegdzie gromadka bydła się pasła pod dozorem dzieciaka, z głową workiem okrytą.

Gościńiem, na którym od deszczu kałuże się porobiły, jechał wierzchem na małej szkapinie Rokita. Zwiesił głowę i w zadumę zapadł, aż go z niej zbudził tentent kłusującego konia.

Obejrzał się i w jeźdźcu poznał Wasążka.

Szlachcie siedział na szkapie swej z fantazyą, kaptur od burki miał na głowie, a przepasany był krajką zieloną.

— Niech będzie pochwalony! — rzekł.

— Na wieki! — odpowiedział Rokita, — A dokąd to pan Walenty w taki deszcz?

— Ha! mój bracie, potrzeba na mokrość nie zważa.

— Juści prawda.

— Ja-bo, widzisz, do Kopytkowa, do regenta; wypis muszę wyjąć, bo mi do sprawy potrzebien.

— Ochota panu Walentemu za temi sprawami wciąż jeździć.

— A co mam sobie żałować?

— Ja jedną tylko sprawę miałem i życie mi już obrzydło.

— Z kim?

— Z Chasklem.

— Ach, to już była sprawa? I jakże?

— Przegrałem, panie Walenty; każą jakieś koszta płacić; wójt mówił, że mi chałupę opiszą, bydło z obory wyprowadzą... albo ja wiem? Ja nie uezony, nie piśmienny, stałem, jako słup, a żyd gębę rozpuścił, aż sędzia dzwonił na niego i krzyczał, żeby nie trajkotał.

— I cóż ty, biedaku, teraz zrobisz?

— Bo ja wiem? Radziłem się ławnika; powiada: niema co, bracie, zagódź, daj mu coniebądź, niech czeka.

— No?

— Chodziłem do żyda: twardy psia kość, jak

kamień; powiada, żeby mu pieniędzmi trzydzieści rubli na stół kłaseć i owsa, jak jeno omłócę, pięć korcy dać i po okowitę dla niego jeździć... Jeszcze różne dziwne rzeczy przykazywał!

— No, no ...

— O owies bajki; mam w stodole, omłócę i oddam; furmanek dziesięć pod okowitę chce, odjeżdżę, ale pieniędzy, co nie mam, to nie mam. Byłem w Czarnembłocie, przepytywałem między żydy.

— Nie dają?

— Ani weź. Słuchać nawet nie chcą.

— Znam ja ich, mój bracie, jak nie potrzeba, to sami proszą, a jak ci pilno, to i siekierą nie urąbiesz. Oni spekulują i kręcą, a gospodarze na psy schodzą.

— A juści, że na psy...

— I znowuż jedziesz szczęścia próbować, Michale?

— A tak...

— Myślisz, że dadzą?

— Dać, nie dadzą, ale jednemu, właśnie Berkowi, co Chaskla szwagier jest, koń mój się udał.

— Który?

— A właśnie ten, co na nim siedzę.

— Kupić chce?

— Dyć. Kazał go sobie na dzisiejszy dzień przyprowadzić.

— Ciekawość, siła też daje?

— Trzydzieści rubli obiecuje.

— He? trzydzieści?

— A juści.

— Ależ ten koń, chociaż i nieduży, brat bratu, pięćdziesiąt wart!

— I ja tak myślę! Na wiosnę kopytkowskie żydy dawały mi za niego pięćdziesiąt dwa ruble i złotych cztery bez dziesiątki, ale nie miałem chęci sprzedać. Choć gospodarstwo moje biedne, ale parę koni utrzymuję, według furmanek.

— Ma się rozumieć, furmanka dobra rzecz, A jeżeli konia sprzedasz, to ci, braciszku, będzie jednym nijako...

— Pewnie, ale cóż mam robić? Może się jako wspomogę ku zimie, może jałówkę sprzedam i wieprzaka, to konia kupię, a tymczasem muszę Chaskłowi dać, co żąda, bo inaczej mnie zniszczy. Pytałem ludzi wiedzących i piśmiennych, czy można tak człowieka żyłować, jak on mnie żyłuje; powiadają, że można; pytałem, czy można kogo wyrzucić z chałupy, co ją po ojcach ma, powiadają, że można. I dlaczego można? A oni, te wiedzące i piśmienne, śmieją się tylko i powiadają. Czemuś podpisywał? Byłeś głupi — cierp teraz!

— I cierpisz, biedaku, — rzekł ze współczuciem Wasążek.

— A cierpię, panie Walenty, cierpię. Ni ja jedzenia, ni ja spania, ni pomyslenia żadnego. Pra-

cuję, aż we mnie gnaty trzeszczą, zabiegam, jak mogę i cóż ztąd?... Abym jeno grosz jaki miał, zaraz oddaj mu — i oddaję, a precz jestem winien i końca temu nie widać. I żebym to choć wziął, żebym do ręki dostał, toby nie żał było. Wiedziałbym, że cierpię, bom winien, że muszę oddać, bom wziął, muszę zapłacić, bo się należy. Ale, panie Walenty, przysięgnę na zbawienie duszy, z czystym sumieniem, że części tych pieniędzy nie dostałem, które mi teraz płacić każą, a to, com wziął, oddałem już w dubelt pieniędzmi, zbożem, odrobiłem, odsłużyłem. Nie siła lat, jak on przyszedł do wsi obdarty, a we wsi gospodarze byli zasiedzieli, spokojni i niejeden trochę grosza miał leżącego, a dziś on pieniądze ma, na duże handle się puszcza, a połowa gospodarzy na dziady schodzi. Jedni porozpijali się ze zmartwienia, a inni chodzą, w ziemię patrząc, jakby im kto na łbach wielkie kamienie pokładł. Oj, źle, panie Walenty, źle na świecie...

Wasząsek westchnął, a chłop, rozgadawszy się, nie ustawał, rad, że ma się przed kim uzalić.

— Już ja, panie Walenty, medytowałem, medytowałem i nic wymedytować nie mogłem i obrotu sobie żadnego dać nie mogę. Raz mi złe jakieś nagadywało, żeby albo postronek, albo w wodę...

— Eh, eh! To nie rzecz, mój Michale, duszę na zgubę wiekiustą dać.

— Nie rzecz... nie rzecz... nie godzi się

i grzech, ale kiedy coś gada, a namawia, jak żywe. Raz w polu byłem i tak mnie precz męczyło; jeno figura na miedzy stała, Męka Pańska... krzyż święty... i zbudziło się we mnie sumienie i cisnęło mnie na kolana... i począłem ryczeć z żalości, aż się we mnie coś obrywało we środku i wiłem się, jak robak, pod onym krzyżem i w prochu się tarzałem, zmiłowania proszący... I zelżyło mi jakoś, żem przez kilka dni spokojniejszy chodził i jakoby lepszy we mnie duch wstąpił, spodziewanie jakieś, że może odmiana nastanie... A było tak dwa dni, może trzy, aż raz spotkałem go wieczorem...

— Chaskła?

— Tak; szedł przez wieś, a pyszny był taki, z góry stąpał, z góry patrzył. „Hej — woła — ty Michał, jutro masz raniutko z furmanką do mnie przyjechać!“ Ty, Michał! Sługa ja jego, czy co? Taka mnie ogarnęła mankulia, taki jankor, że aż mi się krwawo we ślepiach zrobiło; zacisnąłem jeno pięści, alem jakoś zmilkł, a on poszedł sobie do licha.

— I na drugi dzień byłeś, bracie, z furmanką?

— Byłem, po okowitę mnie posyłał do gorzelni. Ciężar duży, droga krwawa, błoto osiami się garnęło, ale przywiozłem.

— Zapłacił ci chociaż?

— Ale! zapłacił! Powiedział, że jemu się należy, obiecał, że trochę mi ulży i nie będzie się

upominał ze dwa tygodnie, abym jeno jeszcze kilka razy do tej gorzelni pojechał. W pańszczyźnie u niego jestem poprostu, tylko, że nie wiem, siła dni odrabiać, bo coraz, to zawoła. A we stodole mojej on, jak we swojej, co sobie każe dać, trzeba dać i jeszcze w swoim worku, na własnych plecach mu zanieść; a uda mu się cielę — oddaj mu cielę, podoba się kokosza — oddaj kokoszę. Miała moja kobieta dwanaście gęsi, to siedm za psie pieniądze kupił, a pięć zabrał za procent. Gruntu nie mam dużo, a muszę dla niego cały zagon pod kartofle dawać, też jako niby za procent, a i zaorać ten zagon, kartoflami swojemi zasadzić, oborać, wykopać i odwieźć mu do domu, to niby znów za jego grzeczność i czekanie.

— Za jakie czekanie? Toć wziął procent!

— I ja mu tak mówiłem, ale on ma inszą kalkulacyę. On powiada, że to niby za to czekanie i za tę grzeczność, co od posadzenia kartofli do ukopania...

— Niechże go kolki.

Rokita zwiesił głowę, a po chwili zagadnął Wasążka.:

-- Panie Walenty...

— Cóż?

— Dyć od wódki bywa człowiek pijany, a od wody nie?

— Także się Michał pyta! Toć małe dziecko wie, że prawda.

— Oj, nie, panie Walenty, nie prawda to, nie prawda.

— Cóż znowu?

— Jednego dnia, też przez tego Chaskła, żalność mnie zdjęła; huk mi się we łbie zrobił i w gardzieli paliło i język zesechł, jak kołek. Poszedłem do studni, wyciągnąłem wiadro wody i jakem się do niego przypił, tom pił, pił bez pomiarkowania, jak nieprzymierzając, koń. I w gorącość mnie zaraz wrzuciło, świat się koło mnie kręcił i zataczałem się tak, żem ledwie do chałupy trafił. Zaraz na progu baba poznała, żem pijany i ożogiem mnie po łbie raz i drugi.

— Oho! ostra kobieta...

— A juści. I nie bronilem się nawet, bom miarkował, że prawda. Mówię: owszem, wał, Kasiu, jagodo, bom sprawiedliwie pijany. Padłem na posłanie, jak kłoda; kobieta, choć prędką, ale miłosierną, przykryła mnie kożuchem i tak przeleżałem dwa dni i dwie noce.

— Od wody?

— Od wody... I potem, jakim już strzeźwiał, to jeszcze drugie dwa dni chodziłem, jak potłuczony, że mi przy robocie wszystko z garści leciało, a głupiego kłoca nie mogłem podźwignąć.

— Osobliwa rzecz.

— Osobliwa, panie Walenty, żeby tak od wody...

— Może kto co wrzucił do studni szkodzącego?

— A nie, toć i ludzie tę wodę piją i konie się poi i bydło, a przecież nie szkodziło.

— Prawdziwie, że pierwszy raz słyszę o takim wypadku.

— Niech-no pan Walenty posłucha o drugim.

— No?

— W Czarnembłocie to było, na targu. Zeszliśmy się we trzech: Piskorz Jan z Ciepłej Woli i Podsiadło Bartłomiej z Koziolków, też takie biedaki, jak ja, zmarnowane. Piskorz swojemu żydowi zaprzędany, Podsiadło swojemu. Zeszliśmy się przy kieliszku. Gadu, gadu, jeden się uzałił, drugi uzałił, bo każdemu gorzko. Podsiadło, sprawiedliwy chłop, ale na szkło łasy okrutnie, aby flaszkę obaczył, to już jej nie popuści, aż czyste denko ujrzy.

— Znam ja go, lubi łyknąć.

— Oj, lubi. Jak sobie krzynkę podpił, jak się rozzałił, tak stawia kwartę za kwartą, powiada: zalać robaka! Zalaliśmy tego. Wracamy, na Wygodzie — znów. Ja nie chciałem, ale Podsiadło molestował, Piskorz też, zaczęli stawiać. Pijemy. Ja też nie mogłem cudzego pić a swojego nie dać, wysypałem tedy garść koprowiny, co było jeszcze w kalecie. Pijemy na umor, bo Podsiadło wciąż

dogadywał o tym robaku, żeby go utopić, a po prawdzie panu Walentemu powiadam, że w tej gorzałce, cośmy ją we trzech wypili, nie tylko robak, ale i spore prosię-by mogło utonąć.

— Spiliście się pewnie, jak nieboskie stworzenia?

— Oni całkiem. Piskorza na swój wóz wzięłem, bo mi po drodze było i odwiozłem go do chałupy, a Podsiadło został w karczmie, jak nieżywy i dopiero na drugi dzień wieczorem się przebudził...

— A jakże z wami, Michale?

— Nic, panie Walenty. Przyjechałem do domu trzeźwiuteńki, kobieta nawet nie poznała, żem co pił.

— Ha! tęga głowa.

— I to nie. Czasem od dwóch półkwatekó w mnie z nóg zetnie.

— No, no?

— To musi, panie Walenty, wszystko tak z fransunku. Oj, źle na świecie!

— Źle. Ale czy ci się zdaje, że to tylko tobie? Pójdź-no między ludzi, posłuchaj. Widzisz, ja na ten przykład, choć piśmienny jestem i kodeksy znam na wylot, a przecież mnie Chaskiel z Joelem tak trapią, jako i ciebie.

— I może on pana Walentego też tak samo z chałupy wyrzucić?

— Oj, oj! Tylko ze mną trochę trudniej.

— Trudniej?

— Ja piśmienny; odemnie on takich papierów nie wycygani, jak od ciebie, bo ja wiem, czem to pachnie. Po drugie, że i do sądu jak przyjdzie, to ja nie stanę, zapomniawszy w gębie języka, ale wiem, co i jak gadać. Niewielec to można wygadać, skoro stoi czarno na białem, ale zawsze już żyd nie jest taki śmiały. On się trochę boi, boć ma różne sprawy na sumieniu, a jak to powiadają, na złodzieju czapka gore. On wie, że Waszązek gębę ma nie od parady i może powiedziec co szkodzącego. Ale to, mój bracie, niewiele znaczy, odwłoka tylko na jaki czas, a jeżeli żyd zechce dobrze dusić, to i zdusi. Wszyscy my, mój Michale, na takim wózku jedziemy, a jak ty teraz prowadzisz konia na zmarnowanie, tak ja zeszłego miesiąca zmarnowałem krowę. Na procencik to poszło, na procencik.

— I kto to, panie Walenty, takie łajdactwo wymyślił?

— Jakie łajdactwo?

— A no, ów present.

— Któżby, ma się rozumieć, żydy.

Droga rozchodziła się. Rokita do Czarnego-błota w prawo miał zwrócić, Waszązek zaś do Kopytkowa wprost.

— No, bywaj zdrów, Michale — rzekł szlach-

cie. — A nie dopuszczaj sobie bardzo do głowy. Bóg miłosierny. Będzie lepiej, jak złe minie.

— Bądźcie zdrowi, panie Walenty, jedźcie z Bogiem.

W kilka godzin później Rokita wychodził z miasteczka pieszo. Koń został u Chasklowego szwagra, a otrzymane trzydzieści rubli miały być złożone, jako okup, za pewien czas spokoju.

Na tym to czasie duży chłop sobie nadzieje budował. Myślał o tem, że w spokojności zarobi, że trochę zboża omlóci, krowę sprzeda i wspomóże się na kupno drugiego konia.

Tak rozmyślając, szedł ku swej wiosce, przyspieszając kroku, aby jeszcze zdążyć przed nocą.

Pod „Zielonym łabędziem“ pani Małka przyjmowała gościa. Przyjechał dzierżawca z Zatracańca, bohater chwili, o którego majątku mówiono już głośno w całej okolicy.

Piękna gospodyni powitała go nader uprzejmie.

— Aj, taki gość, taki gość! Dawno już pana nie widziałam. Co pan tak długo robił w Warszawie?

— A pani tęskniła?

— Dlaczego ja miałam tęsknić? Może tęskniłam, może nie tęskniłam...

— Chciałbym jednak wiedzieć.

— Oh! pan zawsze chce wiedzieć za dużo, pan zanadto ciekawy jest.

— A pani zbyt skryta.

Mała westchnęła i odrzekła po chwili:

— Proszę pana, nie można mówić wszystkiego, co się myśli...

— A gdybym bardzo, ale to bardzo prosił?

— Co panu z tego przyjdzie? Czy pan wczoraj powrócił z Warszawy?

— Tak.

— Bardzo się o pana dopytywali.

— O mnie?

— Ach! cała okolica tylko o panu mówi, a pańskim szczęściu, o pańskim majątku. Mówi i zazdrości i jak zazdrości! Na moje sumienie, pan jest teraz pierwszą osobą w naszych stronach, pierwszym kawalerem. Wszyscy ojcowie, którzy mają córki na wydaniu, dopytują się o pana. Co dziwnego, przecież pan teraz bogacz jest...

Młody człowiek uśmiechnął się kwaskowato.

— Zapewne — rzekł.

— Oj, panie, bogactwo, to jest wielkie szczęście, my zaraz o tem pomówimy. Tymczasem pan zapewne jest głodny?

— Rzeczywiście.

— Jest szczupak. Jaki szczupak! Mało kiedy może się trafić taka sztuka. Było co widzieć... śliczny kawałek ryby! Niech pan pozwoli do sali, zaraz będzie podane. Wino mam bardzo rarytne, świeży transport. Trafunkowy interes, kupione

przy okazji. Żeby nasz hrabia nie mieszkał za granicą, tylko tu, w swoich dobrach, zabrałby wszystko to wino co do jednej butelki. On się zna; jego ojciec od mojego dziadka zawsze wino kupował.

Tak zachwalając swój towar, rozwodząc się nad świetną tradycją o przodkach, którzy z magnatami handlowali i mieli nadzwyczajne delicye w swych piwnicach, pani Małka krzątała się, znojąc talerze i flaszki.

Młody człowiek szybko załatwił się ze śniadaniem i zapaliwszy papierosa, rzekł:

— Teraz musimy uregulować pewien dawny rachunek.

— Owszem, ale który? Przecież panu wiadomo, że my mamy niejednego rachunek, a nawet, prawdę powiedziawszy, wszystkie nasze rachunki są dość dawne. Ale pan zna naszą delikatność, pan wie, że my nie jesteśmy uprzykrzeni ludzie i czekamy czasu.

— Eh! bo pani zaraz o rachunkach!

— Przecież ja nie zaczęłam, pan sam...

— Tak, lecz na te rachunki, o jakich pani myśli, czas jeszcze. Tymczasem, chcę załatwić inne...

— Inne? Czy oprócz rozmaitych mamy jeszcze i inne?

— Czyżby pani już zapomniała, że popsulem bransoletkę?

— Pamiętam — odrzekła z westchnieniem. — Pan lubi czasem robić takie żartowanie, co nie wypada... Wtenczas zrobił mi pan szkodę.

— Eh! głupstwo! Kazałem naprawić i bransoleta wygląda teraz, jak nowa. Niech się pani przekona.

To mówiąc, wy dobył z kieszeni eleganckie pudełeczko i otworzył je. Na tle ponsowego atłasu świeciła się nowa, dość gustowna bransoletka, ozdobiona kilkoma kamieniami. Małka jednym rzutem oka oceniła, że bransoletka ta trzy razy więcej warta od owej, niby uszkodzonej.

— Cóż? ładna?

— Bardzo ładna! — szepnęła, nachylając się nad pudełkiem, a oczy jej błysnęły. — Bardzo ładna! Pan ma gust. Pański gust, doprawdy! Ale to nie jest moja dawna bransoletka, to nowa...

— Poznała pani?

— Dlaczego nie miałam poznać? Gdzie pan podział tamtą?

— Mam przy sobie.

— Bo widzi pan, ta jest bardzo ładna i elegancka, tamta nie tak ładna i nie tak elegancka, ale jest dla mnie dużo warta, to pamiątka po mojej cioci.

— Więc weź pani obie, będziesz pani miała dwie pamiątki, po cioci i po mnie.

— Dziękuję, bardzo dziękuję! Ja zawsze powiadam, że między dużymi panami poszukać takiego pana, jak pan jest.

— Niech-no pani da rękę; złoto nigdy się tak dobrze nie wydaje w pudełku, jak na ręce pięknej kobiety. Pozwól pani, nauczę, jak się otwiera i zamyka, bo to jest zameczek nowego systemu, francuski.

Pochylili się oboje nad stołem i młody człowiek, wzięwszy rękę pięknej żydówki, ubierał ją w bransoletę.

Dość długo trwała ta czynność, młody człowiek śmiał się i dowcipkował, piękna Małka spuszczała oczy i odpowiadała półsłówkami. Usłyszawszy kroki nadchodzącego Mojsia, cofnęła rękę i rzekła:

— Pan zrobił mi bardzo ładny podarunek, ja panu dziękuję, a oprócz podziękowania, mam jeszcze coś dla pana.

— Co? — zapytał zaciekawiony.

— Ja dużo myślałam o panu i też chcę panu dać śliczny prezent, sam pan przyzna, że coś fajn!

— Naprzykład?

— Ja pana cokolwieczek ożenię.

— Mnie?

— Dlaczego nie? Czy pan nie jest kawaler i jeszcze jaki kawaler? Czysta perła, prawdziwe złoto?... Czy pan nie dostanie żony, bardzo ładnej, edukowanej, bogatej, z posagiem. Owszem, ja pa-

nu sama nastreczę i postaram się dopomódz; teraz właśnie najlepszy na to czas. Wszyscy mówią o pańskiej sukcesyi, o pańskim majątku; kto tylko ma córki, bardzo się o pana dopytuje... Jabym radziła korzystać, póki czas, póki ludzie pańskiego majątku nie porachują naprawdę.

— Nie rozumiem.

— Proszę pana, nikt nie słyszy, możemy mówić otwarcie. Pan nie wie nawet, jaka ja jestem dla pana życzliwa.

— Czy naprawdę?

— Tak bardzo naprawdę, że pan sobie tego nawet wyobrazić nie może. Właśnie przez to, że jestem taka życzliwa, to znam pańskie interesa, nie chcę powiedzieć, że tak jak pan, ale dużo lepiej od pana... Do tej pory pan się ledwie trzymał przy dzierżawie...

— No, nie tak ledwie, jak się pani zdaje.

— Co my się mamy bawić w zabawki? Kto zapłacił ostatnią ratę za pana? Jankiel Bas. Kto kazał mu, żeby on zapłacił? Pan tego nie wiesz... Może ja kazałam, może się nawet do tego przyczyniłam. Janklowi pan dużo winien, Glancman ma u pana także sporo, Dawid Śliwka też; o mnie to już nie ma co mówić. A niech pan porachuje różne drobne dłużki, rachunki po sklepach, to się zbierze bardzo ładne parę rubli...

Młody człowiek zamyślił się i po chwili rzekł:

— Umiesz pani dobrze rachować.

— Ileż razy pan mówił, że ja mam ładne oczy...

— I dziś mogę to samo powtórzyć.

— No, a coby to były za ładne oczy, żeby nie dobrze widziały, a wszystko, co człowiek widzi oczami, da się porachować. Niechno pan posłucha, już jest wielki czas, żebyśmy pomówili otwarcie... Pan się nie obrazi?

— Owszem, mów pani.

Usiadła przy stole, bardzo blisko młodego człowieka, pochyliła się ku niemu i mówiła prawie szeptem:

— Ja dobrze wiem, i pan wie i jeszcze jest kilku takich ludzi, co wiedzą, że gdyby nie sukcesya, pan byłby już dziś bankrut... Bardzo grzeczny, elegancki i przyjemny bankrut, ale... bankrut.

— Dziękuję za komplement!

— Nie ma za co. Nasze żydki przestałyby dawać panu pieniądze i zechciłyby odebrać to, co wpięrow dali. Pan nie miałby z kąd oddać, a coby się dalej zrobiło — nie potrzebuję panu tłumaczyć. Byłoby z panem niedobrze.

— Zapewne; ale ponieważ moje położenie zmieniło się znacznie...

— Przepraszam pana — w czym ono się zmieniło?

— We wszystkim. Przecież ostatecznie sukcesya...

— Przepraszam pana, ona już jest zmierzona, zważona, oszacowana, policzona co do jednego grosza. Pan się dziwi, jakim sposobem? My mamy swoje sposoby... Niech-no pan uważa: to, co pan dostanie, uczyni razem... Zaraz obliczymy, ile to będzie?

Odsunęła serwetę ze stołu i wzięwszy kawałek kredy, zaczęła liczyć. Oboje przytem pochyłili się nad stołem, tak, że głowy ich prawie stykały się jedna z drugą.

Nagle Mojsie ukazał we drzwiach blade swoje oblicze i zawołał groźnie:

— Małka!

Oburzona do najwyższego stopnia, piękna kupcowa zerwała się i jak fryga wybiegła, obrzucając swego małżonka gradem słów, zapewne niezbyt pochlebnych; następnie popchnęła go ku drzwiom i poradziła mu, żeby poszedł sobie na spacer, a jej nie przeszkadzał w ważnych sprawach.

— Przepraszam pana bardzo — rzekła, wróciwszy — przepraszam. Mąż miał do mnie pilny interes; załatwiłam go na poczekaniu. On dobry człowiek, ale trochę nudny. No, niech go tam! Zacznijmy ten rachunek nanowo.

Młody człowiek ze zdumieniem słuchał, jak wyliczała wszystkie jego długie, większe i drobniejsze, co do grosza i zestawiała ich sumę z wartością sukcesyi.

— Prawda, że tak jest, jak ja liczę? — zapytała, skończywszy rachunek.

— Myślałem, że trochę więcej...

— Niech mi pan wierzy, że nie; to dobrzy rachmistrze rachowali; mogli się omylić, niech o sto, o dwieście rubli, ale nie o więcej; ja za nich ręczę, jak sama za siebie. Jeżeli pan zechce zapłacić swoje dłużki, to pieniędzy panu nie wystarczy, a każdy będzie się upominał; będą panu robić przykrości; ale myśmy obmyślili dla pana sposób. Aj, ja się przytem napracowałam dużo. Tu była na pana cała komisya, a skończyło się na tem, że postanowiliśmy pana ożenić. To jest jedyna apelacya dla pańskich interesów i jeżeli pan tego nie zrobi, to może być źle... Ale pan posłucha dobrej rady. Pan się ożeni; ja panu każę.

— Dajmy na to, ale z kim?

— Z bardzo ładną panienką.

— Czy ją znam?

— Dlaczego nie? Sąsiadka, starsza córka pana Boreckiego z Brzozówki. Może nie ładna?

— Przystojna...

— Tylko? Na moje oko ona śliczna jest, a jaka delikatna, jaka edukowana i bogata! Panu Boreckiemu nie brakuje pieniędzy.

— Podobno...

— My wiemy; zresztą, niewielka sztuka wiedzieć; jego dochód duży, a wydatki małe, on, zanim

grosz wyda, to wprzód dziesięć razy obejrzy. Taki człowiek zawsze ma pieniądze odłożone. On się nie przyznaje do majątku, on narzeka na ciężkie czasy, ale wszyscy bogaci lubią narzekać. Taki zwyczaj ich. Ja jestem dla pana bardzo życzliwa, myśmy wszyscy życzliwi — więc rozgłosiliśmy, że na pana spadł wielki majątek. Ten głos poszedł po całej okolicy i do Brzozówki też trafił. Pan Borecki złakomi się napewno; tylko niech pan kuje żelazo, póki gorące, niech pan nie bałamuci. Póki o panu mówią, trzeba korzystać z czasu i jechać do Brzozówki.

— Eh! moja pani — odrzekł młody człowiek — odkładać, czy nie odkładać, to, jak ja myślę, jest wszystko jedno.

— Jakto wszystko jedno?

— Sądzę, że choćbym nawet nie miał żadnej sukcesyi, to chyba Borecki córkę-by mi dał.

— Proszę pana, ja nie wiem. Możeby dał, a może nie; ale prędzej nie.

— A cóż on za magnat? Czem może mi imponować? Taki dzierżawca, jak i ja, nie ma się z czego pysznić, a że mu się trochę lepiej powodzi, to jeszcze nie racya, żeby mną pogardzał. Majątku wprawdzie nie mam, ale osoba moja przecie coś warta.

— Oj, oj! i jak. Osoba warta, na moje oszacowanie...

— Ile?

— Dużo. Panienska, która za pana wyjdzie, może być bardzo kontenta, bardzo szczęśliwa, może się pysznić, że ma takiego ładnego męża, tylko...

— Cóż tylko?...

— Tylko jest jedna dyferencya. Panienski mają inaczej w głowie, a ojcowie inaczej. Tacy ludzie, jak pan Borecki, to staromodni ludzie, oni mają swoje fanaberye, nie patrzą na urodę, nie znają się na elegancyi, tylko chcą pieniędzy, majątku. W tym punkcie pan Borecki może pokazać grymas, ale skoro puszczone jest głos o pańskim bogactwie, to nie zgrymasi. Ja pana zaasekurowałam od grymasów — ja! Spodziewam się po pańskim delikatnym rozumie, że pan dobrej rady posłucha i że nie będzie pan odkładał,

— Spróbuję.

— Trzeba, na moje sumienie, trzeba. Ja panu w tem dopomagać będę, my wszyscy panu pomożemy.

— W jaki sposób?

— To już nie pański kłopot — my mamy swoje sposoby, a gdy wszystko będzie już dobrze, skoro pan dostanie ładną żonę i ładny posag — to niech pan pamięta, że to Małka radziła, że z jej ręki dostał pan jedwabne życie, śliczny los; że Małka wcale nie wspominała o porękawicznym, nie wymówiła nawet takiego słowa, Można po osobie zmiar-

kować z kim trzeba się godzić naprzód i na piśmie, z kim można na godne słowo, a z kim wcale nie potrzeba się godzić... Z panem nie trzeba, na pański honor można się zdać z zamkniętymi oczami. Ach! nie wszystkie interesa — dodała — robi się za pieniądze i dla pieniędzy... Niech pan wierzy. Może nie wypada tego powiadać, ale każda kobieta ma kawałek serca...

Rozmowa trwała dość długo, przybierając charakter coraz bardziej poufny. Piękna kupcowa wpadła w nastrój melancholijny i nie szczędziła spojrzeń powłóczystych a tkliwych, dając przytem do zrozumienia, że nie będzie na świecie szczęśliwszej istoty nad tę, która takiego kawalera dostanie; że nie każda kobieta ma dobry los na świecie... Niejedna musi znosić ciężką dolę, chociaż nie skarży się i nie pokazuje po sobie, że jest jej gorzko, bardzo gorzko żyć.

Tak zwierając się potroszę ze swych smutków, manewrując dziwnie oczami, przeplatając ciągle wyrazy westchnieniami, piękna kupcowa potrafiła wmówić w swego gościa, że mu jest nieodzownie potrzebna głowa cukru, funt herbaty, kilka paczek świec stearynowych, pewna ilość cytryn i flaszek araku, pożegnała go bardzo czułym uściśnieniem ręki i głębokiem westchnieniem, oraz dopisała kilkanaście rubli do jego rachunku.

Zaraz też po wyjeździe Rózańskiego udała się

do pewnego żydka, znawcy biżuteryi, z prośbą o dokładne oszacowanie bransoletki.

Zatabaczony staruszek włożył okulary, zważył złoto, przypatrzył się uważnie kamieniom i oświadczył, że za ten fant można dać ośmdziesiąt rubli bez obawy o stratę.

Nie pod dobrą wróżbą rozpoczęły się konkury młodego dzierżawcy. Pierwsza wizyta spełzała na niczem.

Napróżno tęgie kasztany odbyły drogę z Zatrąceńca do Brzozówki i z powrotem; Boreckiego w domu nie było, gdyż wyjechał za interesami na dni kilka, panienki zaś z ciotką były u pani Zawadzkiej.

Trzeba było zostawić bilet wizytowy i powrócić do domu.

Skromny domek leśniczego na Majdanie kąpał się w blaskach słońca. Na pogodnem niebie nie było ani chmurki, las mienił się tą zielonością wrzesniową, która ma całe setki odcieni, zielonością, przeplataną złotemi, bronzowemi, czerwonemi barwami liści, krótkotrwałą swoją istność kończących.

Brzozy, lipy, dęby, jesiony, wszystkie pięknie, a każde inaczej, odznaczały się zdaleka na ciemnem tle sosen i świerków. I zapach z lasu szedł żywiczny, orzeźwiający, łagodny wietrzyk przynosił tchnienie lasu przez okna otwarte do dworku.

Gwarno tam było; coraz rozlegał się srebrzysty śmiech dziewcząt, które do tego ustronia przybiegły, niby ptaszki, rozśpiewane i wesołe.

Dla pani Zawadzkiej była to uroczystość i popis zarazem. Staruszką miała swoją dumę i chciała pokazać ciotce Gertrudzie, że nietylko na własnym dużym gospodarstwie, ale i w obowiązku, na skromnym stanowisku oficjalisty, jeżeli kto zabiega i stara się, może żyć porządnie i mieć smaczny kawałek chleba.

Wystawiła też na stół, co tylko miała najlepszego w domu; całą kolekcję konfitur, chleb wypieczony, jak na konkurs, ciastka własnego wyrobu.

Nie trzeba było aż takiego arsenału dowodów, żeby ciotkę przekonać; doświadczona gospodyni jednym rzutem oka potrafiła ocenić ład i porządek domowy, lśniąca czystość małych pokoi i względną zasobność domu.

Co do panny Zofii, to gdyby ją zapytano, czy zna miłsze ustronie nad ten domek wśród lasu, odpowiedziałaby z całą stanowczością, że nie zna i nie wyobraża sobie, żeby mogło istnieć na świecie coś, coby się z niem choćby porównać dało. Nie, nie ma nigdzie takiego domku, takiego lasu, takich drzew, takiego słońca wspaniałego, chociaż ono niby całej ziemi jednakowo przyświeca.

Po podwieczorku udano się do lasu na grzyby.

Była ich taka obfitość, że nietylko panienki, ale nawet ciotka Gertruda, nie mogły się powstrzymać od głośnego wyrażenia podziwu.

Tysiącami tysięcy rozsiadły się one pod drzewami, wśród trawy, mchów, paproci; niektóre rosły tuż przy drożkach, jakby w lesie zamało dla nich miejsca było, a jaka różnaitość!

Wielkie muchomory czerwone i białe nakrapiane, w szerokich, płaskich kapeluszach, to znów w kołpakach spiczastych; żółte gąski, bedłki białe na wątych nóżkach, duże, lub też drobne jak groszaki, ogromne maśluchy, sitaki; w dołkach, gdzie las rzadszy i ziemia wilgotniejsza, dorodne rydze, dalej znów gołąbki, wreszcie pod dębami prawdziwe grzyby w ilości wielkiej, tylko schylać się i brać, jak swoje.

Tak ślicznie w lesie. Żółta wilga gwizdże i przekomarza się z towarzyszkami, pstre dzięcioły kują w sosny, jak kowale, w oddaleniu słysząc gruchanie turkawek i minorowe głosy grzywaczów. Czasem wiewiórka rzuci się, jak kula, z gałęzi na gałąź i biegnie wśród konarów z drzewa na drzewo, jak po ziemi; czasem spłoszona sarenka przemknie wśród drzew i mignie, jak błyskawica, krzykliwa sójka się odezwie, lub ślicznie ustrojona kraska przeleci. Nibyto cicho w lesie, a nie cicho, bo tysiące szmerów i dźwięków zlewa się w jeden chór z szumem drzew, z rozhoworem drżących list-

ków, zapewne szepczących sobie nawzajem słowa pożegnania, gdyż coraz to który oderwie się od gałęzi i drżąc w powietrzu, powoli, bez szelestu, niby żółty lub czerwony motyl, opada na ziemię. Ukośnie słońce przedziera się między drzewami, smugi światła odznaczają się wyraźnie na tle zieleni, a w tych smugach świetlanych roi się cały świat drobniutek muszek.

Pod sklepieniem z konarów drzew olbrzymich, sklepieniem ażurowem, przez które niebo widać, rozlega się śmiech wesoły.

Co grzybów! co grzybów! Ten piękny, ten do-rodny, obok jeszcze większy, a tam dalej aż trzy obok siebie, a wszystkie okazałe, zdrowe.

Panienki szczebioczą z panem Stanisławem, starsze panie posuwają się wolniej i znacznie pozostały w tyle.

Niemasz nic przyjemniejszego nad zbieranie grzybów, zwłaszcza, gdy się towarzystwo dobierze; panna Jadwiga więcej jednak zajmowała się grzybami, aniżeli towarzystwem i wyprzedziła siostrę tak, że nie mogła nawet słyszeć, o czem ona z panem Stanisławem rozmawia.

A ona rozmawiała z początku o grzybach, potem o kwiatach, potem o lesie, przez chwilę zaś nie mówiła nic, tylko rumieniła się i słuchała, a musiało być opowiadanie bardzo zajmujące, gdyż prze-

stała patrzeć na ziemię i przechodziła obok najpiękniejszych grzybów, nie widząc ich wcale.

Do koszyka przybywało niewiele, prawie nic, ale musiało przybywać do serca, gdyż biło ono niespokojnie i coraz świeże fale krwi różowej wysyłało do twarzy.

Nachylili się współcześnie, aby podnieść grzyb i wtedy on popełnił dziwną omyłkę: zamiast wziąć grzyb i wrzucić do koszyka, wziął jej rączkę i przycisnął do ust.

Grzyb ocalał, a nad nim, niby motyl leciuchny na barwnych skrzydełkach, przeleciało nieśmiałe słówko miłości... I motyl ten musnął skrzydłem małe uszko dziewczyny, na ustach koralowych jej usiadł i w moment jeszcze cichsze, niż tamto pierwsze, słówko pochwycił i szczęśliwemu chłopcu je oddał, i stanęli ci dwoje pod wspianiałemi konarami dębu, w aureoli blasków, co się od zachodu między gałęzmi przedzierały, stanęli na kobiercu utkany z różnobarwnych mechów, traw, kwiatów leśnych, paproci, w zapachu, bijącym od sosen, w śpiewie drobnych ptasząt, ale nie widzieli wówczas ani dębów, ani sosen, śpiewu ptasząt nie słyszeli, upajających zapachów nie czuli, bo zdawało im się, że jakaś wróżka przeniosła ich nagle na niedostępne wyżyny, że z pod ich stóp usunęła się ziemia i że znaleźli się w nowym, nieznanym, eterycznym

świecie szczęścia. Dopiero wesóły szczebiot Jadwini napowrót ich na ziemię sprowadził.

Ładna śmieszka połączyła się z nimi i posuwali się we troje, zbierając grzyby naprawdę.

— Zosiu, Jadwiniu! — rozlegał się głos ciotki Gertrudy — wracamy!

Pokazało się, że najwięcej grzybów znalazła Jadwinia, bardzo okazałą ilość starsze panie, a Zosia, chociaż jej pan Stanisław pomagał, miała zaledwie kilkanaście w koszyku.

Oczywiście winien temu był pan Stanisław, bo skoro zna las doskonale, mógł wskazać miejsce, gdzie masami rosną.

Ciotka uśmiechnęła się znacząco do pani Zawadzkiej; widocznie panie te porozumiały się już między sobą i o przyszłości młodej pary postanowiły.

Ciotka w duchu przygotowała się do walki z opozycją ze strony brata i, jak zawsze, o zwycięstwie nie wątpiła. Cóż-bo, żeby jeden mężczyzna mógł stawić opór połączonym siłom dwóch kobiet! Tego jeszcze nigdy nie bywało.

Jak jedno mgnienie oka, zbiegł ten piękny wieczór; przy pożegnaniu pani Zawadzka bardzo serdecznie uściskała Zosię, zaś ciotka Gertruda pocałowała pana Stanisława w czoło.

Widząc to, panna Zofia splonęła rumieńcem, bo doprawdy wszyscy jej dziś na złość robili! Ona ta-

jemnicę swoją na dnie serca ukryła, a tu każdy robi takie miny, jakby się czegoś domyślał i coś wiedział. Najbardziej Jadwinia...

I dlaczego? Przecież naprawdę nikt nie wie i nikt się domyślać nie może.

Szybko, pomimo, że już noc zapadła, toczyła się bryczka po drodze do Brzozówki. Już była blisko mostu, gdy dał się słyszeć tętent galopującego konia.

— Pan Stanisław! — zawołała Zosia, gdy jeździec zrównał się z bryczką.

— Jaki ty masz wzrok doskonały! — rzekła ironicznie Jadwinia.

— Dogoniłem panie — odezwał się młody człowiek — aby je ostrzedz, że tu jest mostek zepsuty.

— Co też pan mówi — rzekł Wojciech stangret, dotknięty niejako w swej godności — mostek nowy, a mocny, że choć z harmatami jechać.

— Zawsze jednak, na wszelki wypadek, odprowadzę panie do wsi, będzie bezpieczniej.

Odprowadził, pożegnał i zyskał na tem jedno krótkie, ale serdeczne uściśnienie rączki.

Zwrócił konia i jak wichur popędził na Majdan, a dziwił się zapewne, jak jeden zwyczajny mierzyn może na swym grzbiecie człowieka i taką niezmierną masę szczęścia udźwignąć...

ROZDZIAŁ XI,

w którym mowa o burzliwej konferencji, oraz jak Waszązek dowiódł pięknej Małce, że kobieta bez męża znaczy tyle, co mucha.

Zazwyczaj ciotka Gertruda w ważnych wypadkach wzywała brata na konferencyę, ale nie zdarzało się nigdy, żeby brat sam od niej rozmowy na osobności żądał. Stał się jednak wyjątek.

Wieczorem, po kolacyi, gdy się już do snu miało zabierać, pan Borecki, wbrew zwyczajowi, siedział jeszcze przy stole. Zapytywał o różne szczegóły gospodarskie i zaczynał, jak to mówią, z różnych beczek. Siostra patrzyła na niego uważnie, domyślając się, że zaszło coś, o czem chciałby z nią pomówić, a nie śmie, lub ociąga się.

Aby zadowolnić prędzej swą ciekawość, spojrzała na zegar i rzekła:

-- Panie bracie, dziesiąta, czas spać, a i bratu

radziłabym zrobić to samo, bo jutro będziesz niewywczasowany.

— Hm! racya, ale widzi pani siostra...

— A widzę, że dziesiąta.

— Miałbym coś do powiedzenia, to jest miałbym do pani siostry prośbę.

— W swoim domu brat jest i może rozkazywać.

— Zapewne, rozkazuję tu ja wszystkim, byle nie siostrze. Otóż tedy, pani siostrze...

— Cóż bracie?

— Nie gniewałbym się, żeby w niedzielę był dobry obiad.

— Alboż zeszłej niedzieli był zły?

— Doskonały, ani słowa; ale ja na ten raz chciałbym, ażeby był trochę wystawniejszy.

— Czy będą goście?

— Tak.

— Jeżeli Zawadzka z synem, to dla nich frykasów nie trzeba. Kobieta skromna i oszczędna.

— Że też pani siostra zawsze z tą Zawadzką.

— Może nieprawdę powiedziałam?

— Owszem, ale cóż mi do jej gospodarności?

— Skoro ma być w niedzielę.

— Któż to pani siostrze powiedział? Przeciwnie, chciałbym, żeby nie była tu w niedzielę.

— O z pewnością, jeżeli jej brat nie prosił, to ona nie przyjedzie...

- Ani mi się śniło.
- Więc jakież gość?
- Młody człowiek.
- Młody? Może konkurent do Zosi?
- Kto wie? Może.
- A Zawadzki?
- Ja mu nie przyrzekałem, nie może mieć do mnie pretensyi.

Panna Gertruda przygryzła usta.

- Więc ma być wystawny obiad? — zapytała.
- Jeżeli można.
- Może pan brat będzie łaskaw zadysponuje.
- Zdaję się w zupełności na ciebie.
- Dziękuję za zaufanie i dobranoc.

Ciotka Gertruda zwróciła się do drzwi.

— Jaktó? — zawołał za nią pan Jacek — nie ciekawa nawet jesteś wiedzieć, kto ma przyjechać?

- Sądziłam, że to tajemnica.
- Dla ciebie tajemnica, Gertrudo? — rzekł tonem wyrzutu.
- Czyż ja mogę wiedzieć, co brat myśli.
- Niechże pani siostra siada. Otóż ma przyjechać Różański.
- Cóż to za jeden?
- Czyż go nie znasz z widzenia? Sąsiad nasz.
- Więc to dla niego?
- Tak.

— Dla niego?! — powtórzyła z oburzeniem.

— Mówię wyraźnie.

— A, panie bracie, tegom się po tobie nie spodziewała!

— Cóż?

— Żebym ja miała dla niego wystawne obiady gotować, honory mu świadczyć? Ja? Przepraszam uniżenie, ale kwituję z zaszczytu!

— Siostro...

— Tak, powtarzam, że kwituję. Niech Wojciechowa rządzi... ja odjeżdżam!

— Nie rozumiem, co siostrę tak oburza?

— Zapewne. Może mu brat gotów Zosię oddać?

— Dlaczegożby nie?

— Oddaj, ojcem jesteś, masz prawo, ale ja na to patrzeć nie mogę, nie chcę i nie będę! Nie na to ci córki wychowałam, żeby je zmarnować, nie na to przywiązałam się do tych dzieci. Nie. Dziś widzę, że... Nie, ja na to patrzeć nie mogę i być tu, u ciebie, nie mogę. Oddalam się, proszę o konie na jutro, a jeżeli mi brat nie da, wynajmę u chłopca.

Dzierżawca za głowę się schwyił.

— Kobieto! — rzekł — upamiętaj się, com ci zawinił? Co chcesz czynić?

— Zawiniłeś brat względem rodzzonego dziecka, a co ja chcę czynić, tom już powiedziała. Chcę odjechać, osiąść gdzie w miasteczku i chodzić dzień

w dzień do kościoła modlić się, aby Bóg dał bratu upamiętanie.

— Otóż to z babami!

— Z dziadami gorzej, mój bracie. Baba ma serce przynajmniej — czuje, a wy kamienie w pierśsiach nosicie... Słowa powiedzieć nie można. Tak chcę i tak ma być! Chce wydać najlepsze dziecko za jakiegoś obiboka i ani mu wyperswaduj.

— Przepraszam, nie jest on taki obibok, jak się zdaje.

— A cóż jest?

— Młody człowiek, dość zamożny.

— Odkądże to?

— Od niedawna. Właśnie mi żydzi mówili, że drobne dłużki, jakie miał, popłacił co do grosza i że niezadługo, za kilka miesięcy, ma odebrać znaczną sumę z zapisu.

— Proszę!

— Prócz tego, trzeba pani siostrze wiedzieć, że ma on zamożnego a bezdzietnego wujaszka, po którym napewno kiedyś majątek odziedziczy.

— No, no, ale cóż więcej?

— Czy jeszcze mało?

— Nietylko mało, ale nic!

— Jednakowoż dowiaduję się, że już kilka razy wyjeżdżał i że szuka majątku do nabycia, a dzierżawę radby komu odstąpić. Człowiek przy-

stojny, podobać się może, dobrze wychowany i nie słysząc, żeby hulał...

Ciotka Gertruda uśmiechała się złośliwie.

— Panie bracie — rzekła — dziwię się.

— Czemu się dziwisz?

— Żeś taki łatwowierny...

— Wiem ja z dobrego źródła.

— Od kogóż?

— Od żydów, a oni wszystko wiedzą.

— Ale cóż wiesz? Co? Że popłacił długi? Dlaczegoż ty, panie bracie, swoich nie popłaciłeś?

— Dla prostej przyczyny, żem ich nie miał.

— A on popłacił, dlatego, że je miał! A czy popłacił, to jeszcze wielkie pytanie. Jedno więc wiemy na pewno, że umie długi robić; o tem ja już dawniej słyszałam. Cóż wiemy dalej? Że ma odebrać sumę z zapisu. Tymczasem jeszcze jej nie odebrał. Ma kiedyś dostać spadek po wuju, tymczasem wuj żyje, a majątek, jeżeli go ma, może zapisać komu innemu. Chce kupić majątek...

— Czy i temu siostra nie wierzy?

— Owszem, w to jedno wierzę.

— Przynajmniej...

— A wierzę dlatego, bo wiem, że posag panny Zofii Boreckiej wystarczy na kupienie niedużego majątku. Nie będą to magnackie dobra, ale folwarczki. Wierzę tedy, że pan dzierżawca Zatraceńca wolałby siedzieć na własnej fortunie i nie opłacać

rat dzierżawnych, co mu przychodzi, o ile wiem, z trudnością.

— Zkądże to siostra wiedzieć może?

— Znam kasyera. I jeszcze w jedno wierzę — dodała, patrząc złośliwie na brata.

— W cóż takiego?

— Może będzie wolał umizgać się do Zosi, aniżeli do tej swojej żydowicy w Czarnembłocie.

Pan Jacenty zerwał się z krzesła bardzo oburzony.

— Co to za dziwactwa wygadujesz, moja pani siostrze?

— Prawdę szczerą!

— Plotki chyba babskie.

— A więc niech będą plotki. Masz rację, są tą plotki, które cały świat na własne oczy widzi i na własne uszy słyszy. Twój piękny kawaler po trzy i cztery razy tygodniowo bywa w Czarnembłocie „pod Zielonym łabędziem.“

— U Małki?

— A tak. Ładna, bardzo przystojna żydóweczka...

— Ładna, ale to niczego nie dowodzi. Przecież i ja tam bywam.

— Bywasz, panie bracie, kilka razy do roku, gdy masz zrobić sprawunek, ale nie przesiadujesz godzinami, nie umizgasz się, pieniędzy nie tracisz, tak, jak tamten pan.

— Czy to może być? Nie słyszałem, żeby on tak miał czynić.

— Wierzę najzupełniej; ty jesteś człowiek zapracowany, mało z kim się wdajesz, mało z kim rozmawiasz, ale ja wiem dobrze, co się święci. W Czarnembłocie co tydzień prawie jestem, a ludzi, tak jak ty, nie unikam. Mówisz, że kobiety lubią plotki; nie zaprzeczam temu, i ja plotki lubię, bo w nich jest dużo prawdy, a kto wie, co ludzie mówią, ten nieraz wielu przykrości uniknie.

— Hm! dziwne rzeczy mi pani siostra opowiada, bardzo dziwne. Będę sprawdzał, wywiem się, ale swoją drogą, uważasz siostruniu, ja go na niedzielę zaprosiłem. Spotkaliśmy się w miasteczku, tak się jakoś złożyło. Teraz na żaden sposób odpraszać nie wypada.

— A broń Boże!

— Więc?

— Cóż mam robić? Dam obiad, jak sobie życzysz, dobry obiad, nawet, jeżeli to konieczne, wystawny, ale proszę cię, bracie...

— Cóż?

— Nie zablisko, nie zaczule, daj mu poznać, że znajomość znajomością, a...

— Już ja będę wiedział, jak go traktować, chociaż jeszcze nie wierzę w to, co o nim mówią. Taki chłopak gładki, taki zdaje się rozsądny.

— Jak chcesz, możesz wierzyć, albo nie; przekonasz się zczasem, że ja mam słuszność.

Nic tak szybko nie rozchodzi się, jak plotka dobrze puszczona.

O majątku Różańskiego opowiadano cuda, a im bardziej wieść oddalała się od Czarnegołota, tem fortuna, jaka na młodego człowieka niby to spadła, wydawała się większą. Na granicy powiatu do stu tysięcy urosła, w sąsiednim już miliona sięgała. Najgorliwszym krzewicielem tej bajki był Mojsie Fisch, we własnej osobie. Kogo tylko widział, kogo spotkał, chłopca, czy żyda, czy jakiego dzierżawcę, wszystkim o nadzwyczajnych bogactwach Różańskiego opowiadał.

Nikt tak nie pragnął, żeby się Różański ożenił, jak Mojsie; nikt mu tak pięknej panny, tak wielkiego posagu nie życzył, jak Mojsie, ten Mojsie, człowiek zafukany i zarazem uczony, który nie powinien był zajmować się takimi głupstwami, jak małżeństwo jakiegoś tam purycy z Zatraceńca. Atoli Mojsie wyobrażał sobie, że z chwilą, w której to małżeństwo się skojarzy, w domu „pod Zielonym łabędziem“ nastąpi zupełny spokój, a piękna Małka przestanie zasiadać przed lustrem i przypatrywać się swoim czarnym oczom, swoim ustom czerwonym i swemu zgrabnemu nosowi.

— Panie Walenty — mówił Mojsie do Wasąż-

ka, nalewając mu piwo — on teraz jest pan, co się zowie pan...

— A twojej Małce radość! — wtrącił złośliwie szlachcic.

— Co ma być jej za radość z tego, że kto ma? Niech ona ma, to się ucieszy.

— No, no, niech-no tylko Różański siaki taki grosz obaczy, to i jej się okroi.

— Za co?

— Za ładne oczy.

Mojsie poczerwieniał na obliczu i ramionami ruszył.

— Co pana Walentego cudze oczy obchodzą? Niech wasan lepiej pilnuje, żeby wasanu, przy jakiej zwadzie w karczmie, kto nie nadeptał na oko.

— Ej, żydzie! — krzyknął groźnie Walenty — nie gadaj za dużo!

— Niech-no pan zapłaci za piwo.

— Zapłacę, jak wypiję i jeszcze jedną butelkę każę dać. Cóż ty sobie myślisz, że Wasążek pieniędzy nie ma!

— Ja nic nie myślę; ja chcę dostać za piwo.

Wasążek garść miedziaków z kieszeni dobył i na stół rzucił.

— Znaj pana po cholewach! — zawołał.

— Dziurawe...

— Gęba twoja dziurawa! Strasznie shardziałeś, mój Mojsie, a mozesz główny los na loteryi wy-

grał? No, ale żart żartem, ileż to ta sukcesya czyni?

— Czyja?

— A onego dzierżawcy z Zatraceńca?

— Dużo, panie Walenty, bardzo dużo! Ja chciałbym mieć to w majątku.

— Dziesięć tysięcy, dwadzieścia?

— Powiadają, że sto.

— Oho! sto tysięcy? Bajki, prześwietny sądzie. Łatwo to wymówić, ale mieć w kieszeni — trudno.

— On ma.

— To ci łajdak szczęśliwy!

— Dlaczego on ma być łajdak? Skoro człowiek ma sto tysięcy w majątku, to wcale nie jest łajdak i nie może być łajdak?

— A to dlaczego?

— Bo jest duży pan...

Wasążek zastanowił się nad tem zdaniem, wypił duszkiem kufel i rzekł:

— Prawda, sto tysięcy, to ma swoje znaczenie.

— Ma swój glanc! — dorzucił Mojsie.

— Że też to zawsze padnie na takiego, co nie potrzebuje.

— Coby pan Walenty zrobił, żeby miał sto tysięcy? — zapytał żyd.

— Co jabym zrobił? Juści wiedziałbym ja co robić.

— Ale co?

— Najprzód, sprocesowałbym Kobiałkę do ostatniej nitki, żeby na ostatnie psy zeszedł w jednym roku...

— No, no, to już jest dobry interes, ale na to nie potrzeba stu tysięcy.

— Po drugie, przypozwałbym Zimnowolskich chłopów o pastwiska i wygon, co ongi do nas należał i także sprocesowałbym ich do nitki, a potem kupiłbym sobie folwark i... albo ja wiem, może dwa folwarki. A wy, Mojsie, co byście z takimi pieniędzmi zrobili?

— Namysliłbym się, a może wykupiłbym okowitę w całej okolicy, a potem podniósłbym cenę.

Rozmowę tę słyszała Małka, weszła do stancyi i rzekła :

— Nie wykupuj zaraz, proszę cię, Mojsie, bo ja jutro po okowitę posyłam.

Szlachcic rozśmiał się.

— Widzisz, Mojsie, jeszcze stu tysięcy nie masz, a już ci żona nie pozwala robić z niemi, co chcesz.

— Owszem, ja mu pozwalam — rzekła piękna żydówka — teraz pozwalam mu, niech robi, co chce.

— A gdyby miał?

— Niech ma, ja mu życzę.

— Ale gdyby miał naprawdę?

— Zobaczylibyśmy. Wiecie, panie Walenty, że mąż nie powinien nic robić bez żony.

— A ja zawsze robię sam interesa.

— Przez to panu Walentemu nie jest dobrze na świecie.

— I źle mi też nie jest.

— Zawsze nie tak dobrze, jakby być mogło, gdyby pan Walenty słuchał żony.

— Akurat! Żona się zna na prawie!

— Pan Walenty zawsze tylko o prawie myśli.

— Bo to jest grunt, moja pani Małko. Na prawie wszystko stoi; powinabyś pani o tem wiedzieć, bo i ten pan z Zatraceńca, skoro sukcesyę otrzymuje, to też nie na czem innem, jeno na prawie się z bogaca.

— Jakto na prawie? On dostanie czyste pieniądze, to się z bogaci przez pieniądze.

— Jak to dobrze, że baby światem nie rządzą — rzekł Wasążek — kiedy takiej prostej rzeczy nie rozumieją. Z czegoż to ten z Zatraceńca pieniądze ma dostać? Z sukcesyi, a z czego sukcesya? Juści z prawa! Żeby prawa nie było, toby i sukcesyi nie było; każdy drapałby dla siebie, jak mogący i co mogący. Zabijaliby się, a tak nie. Chciałbyś zabrać? Dobrze, wykaż się, coś za jeden? Coś był nieboszczykowi: brat, swat, ciotka, wuj, stryj, czy jak? Znam ja dobrze te interesa, bo się na prawie zęby zjadło, a koło sukcesyi cho-

dzieć potrafię, bo i sam, bywało, brałem i za cudzemi starałem się. Po Czuperkowskim Dyonizym, co mojej żonie właśnie wypadł, niby jako wujaszek, brało się pół staja gruntu. Grunt, prawdę powiedziawszy, łajdak pierwszej próby, sam piasek bieluchny, ale jakeśmy się zaczęli prawować! Ośmnaście lat proces szedł z Czuperkowskimi, z Kobiąkami, z Zabrodzkim, wszystkich dziadków wypominali, sąd trzy razy na grunt zjeżdżał i bitwy przytem między familią były tęgie, że jeden Kobiąka w szpitalu cztery miesiące odleżał, a przecie pozostał przy mnie i honor i pół staja gruntu. Niby naprawdę, to nie tak przy mnie, jak przy mojej żonie, ale zawsze przy mnie, bo kobieta sama nic nie znaczy.

— Dlaczego kobieta nic nie znaczy? — zapytała z godnością Małka — co pan Waszązek za głupie gadanie powiada?

— He! moja pani, wiem ja dobrze, co mówię; pani tyle flaszek w sklepie nie masz, ile w mojej głowie różnego prawa siedzi! Prawdziwie, że jako w inszym trybunale. To też pani zaraz, na ten przykład, dobrze wytłómaczę. Już z latarnią w południe szukając, trudno takiego drugiego niedojdy żyda znaleźć, jako właśnie pani Mojsie.

— Daj-no wasan pokój, co to jest niedojda? Za co wasan komu ubliża?

— Dla przykładu się mówi i dla przekonania;

juści każdy powie, że Mojsie niemrawe żydzisko jest i chodzi, jakby śpiący... w domu nie ma ani głosu, ani znaczenia.

— No, dajcie pokój, bardzo proszę.

— Zaraz skończę. Ten pani kochany Mojsie popychadłem tu jest w sklepie.

Mojsie się oburzył.

— Czy wasan po to przyszedł, żeby mnie robić nieprzyjemności? Ja takich gości nie potrzebuję, niech wasan idzie sobie do Abrama.

— Czekać! Mówiłem, że Mojsie nic nie znaczy w domu, ale spróbuj-no pani pójść bez niego do sądu, albo do regenta.

— To co? Jak mi się podoba, to pójdę.

— Gadać z panią nikt nie zechce i żebyś pani nie wiem co wyrabiała, to pani czynność nieważna i pani podpis nieważny i ktoby na pani karteczkę dał pieniędzy, toby prędzej swoje ucho zobaczył, niż te pieniądze z powrotem.

— Jakto? Moja karteczka nic nie warta? To nieprawda. Zapytajcie w mieście, na mój podpis każdy da, ile tylko zechce.

— Głupi da i niewiedzący, a mądry roześmieje się tylko i powie, że żona bez męża znaczy tyle, co mucha! Czy ten mąż Mojsie, czy nie Mojsie, czy jeszcze marniejszy, aby jeno czapkę na łbie nosił i choć krzynkę do mężczyzny był podobien, to cała

waga przy nim i dopiero, jak on podpisze, to i żony podpis znaczy. O, teraz pani rozumie?

— Rozumiem, że wasan, panie Wasążek, musiał dziś trochę za dużo piwa wypić.

— Oj, nie, moja pani Małko; panowie, którzy kodeksy robili, byli trzeźwi i znali się dobrze na wszystkim. Wiedzieli oni, że mąż jest dla żony cała esencya i cała asystencya, bo choćby kobieta nie wiem jak była do spekulacyi obrotna, ale gdy przyjdzie do prawowania, to głowa jej nic nie obejmie; na takie rzeczy trzeba mężczyzny. Mojsie niech dobrze słucha i niech sobie w kominie zapisze, że ma znaczenie. Przyda się wiedzieć o takiej rzeczy człowiekowi, co, jak to mówią, pod pantoflem siedzi i świata Bożego z pod pantofla nie widzi.

— Ja wasana proszę — rzekła z godnością Małka — niech wasan nie mówi tego, co nie potrzeba.

— A! boisz się pani, żeby się Mojsie nie zbuntował i nie zaczął dęba stawać, a wierzgać, żeby się nie znarowił! Mojsie, słyszysz, żona się boi, pokaż-no swoją sztukę!

— Ja się nikogo nie boję, a choćbym się bała, to asanu nic do tego. On siedzi pod pantoflem, wolno mu. Każdy człowiek tam sobie obiera siedzenie, gdzie mu dobrze. Ja lubię siadywać w sklepie,

wasan w sądzie. Jeden człowiek woli spać w pościeli, inny w rowie przy drodze. Jak komu do gustu...

Pani Małka opuściła izbę, a Wasążek rozmawiał dalej z Mojsiem i gasił pragnienie piwem bawarskiem z arakiem, gdyż to był jego ulubiony trunek.

Mojsie wrócił do przerwanej rozmowy o wielkim majątku, jaki spadł na dzierżawcę Zatraceńca.

Cuda o tem żyd opowiadał. Wasążek zaś słuchał uważnie, a klął co chwila z podziwu i zazdrości, że zaś sobie trunku nie żałował, więc mu się wymieniane przez Mojsia tysiące w głowie dwoiły, troiły, wzrastały w czwórnasób, w dziesięcioro, puchły, rosły, piętrzyły się, jak odłamy lodu, parte jedne na drugie przez rozszalałą rzekę, gdy ta przeszkodę na swej drodze napotka i narazie pokonać jej nie może.

I pojechał szlachciura na swej starej szkapie pomiędzy opłotki i zaścianki, do panów braci swoich, aby im te wieści, fantazyą bogato ubarwione, zawieźć i opowiadać, a nietylko Wasążek je roznosił, powtarzali je dzierżawcy, oficjaliści, chłopci, baby wiejskie, ktokolwiek tylko był w Czarnem-błocie, to nowinę najświeższą z sobą wywoził i rozwoził. Najbardziej jednak, najenergiczniej, rozkrzewiali ją żydkowie, opowiadając wszędzie z gestykulacją żywą, z zapalem, przysięgając na szczę-

ście do handlu, życząc wrogom swoim, aby im co-prędzej oczy wylazły.

Uszer Engelman mówił obrazowo do Mojsia:

— Jeżeli kiedy zdarzy wam się wyjść na przechadzkę nad staw i zobaczycie kamień, to podnieście go i silnem ramieniem rzućcie w wodę. Kamień do dna pójdzie i zginie bez śladu, a na wodzie zrobi się plusk i koła, małe, większe, potem jeszcze większe, coraz większe, ogromne. Jak ta woda kołami się rozchodzi, tak się i plotka rozchodzi, tylko trzeba rzucić kamień silnem ramieniem i ręką mocną, a wiecie, że w takim interesie nasze żydki mają mocne ręce.

— Prawdę powiedzieliście, Uszer; oni to zrobili dobrze. Żeby taki purec z Zatraceńca miał tylko jeden procent od kapitałów, jakie mu przypisują, to mógłby kupić bardzo wielki majątek.

— To bardzo dobrze dla was jest.

— Dla mnie?

— Tak; im prędzej on się ożeni, tem dla was lepiej. Ja nie chcę was martwić, ale paskudne języki dużo mówią o waszej żonie. Ja wiem, że w tem nie ma prawdy, ale niedobrze jest wogóle, gdy o czyjej małżonce mówią. Na co to? Choć nieprawda jest, to przykro, a że nieprawda jest taka moneta, która z drugiej strony ma niekiedy prawdę, to jest jeszcze bardziej przykro. Powiem wam więcej, że kobiecie nigdy wierzyć nie można, zwa-

szcza, gdy jest młoda i ładna. Moja żona ma już blisko sześćdziesiąt lat, to ja jestem o nią trochę spokojny, wasza nie ma jeszcze tylu, więc nie może wam dać tego spokoju...

— Aj, Uszer, wy nie wiecie, ile ja mam zmartwienia! Czasem trafi się taka noc, że oka zamknąć nie mogę.

— Bardzo wam wierzę. Podług mojego rozumienia rzeczy, kobieta wogóle nie jest cymes, a ładna kobieta jest stworzenie bardzo niebezpieczne. Koło niej ciągle chodzi dyabeł, on jej pokazuje błyskotki, lusterka, gałganki, a myślicie, że on to darmo robi? Wcale nie — szuka swoich zysków, zaś jego zyski, to nasza strata. Nie potrzebuję was uczyć, Mojsie, bo wy to sami dobrze rozumiecie, i gdy się ten purec ożeni, gdy przestanie do waszebo domu zajeżdżać, to będziecie mogli sobie powiedzieć, że wygraliście wielki los na loteryi.

— On się ożeni!

Mojsie wymówił to z wielką pewnością siebie, ze stanowczością i w danej chwili nie był daleki od prawdy.

Borecki poważnie o tem myślał i myślał długo. Kochał on córkę i sądził, że wydawszy za mąż za człowieka młodego, przystojnego, a przytem tak bardzo majątnego, uczyni ją szczęśliwą.)

Argumenta siostry nie przekonywały go bynajmniej; znajomość z Zawadzkiem, przywiązanie Zosi

do niego, uważał za przelotny kaprys dziewczęcia.

— Przejdzie to — mówił sam do siebie, chodząc wielkimi krokami po stancyi — przejdzie i przeminie. Dziewczyna zapomni, a chociaż trochę popłacze, będzie miała czem łzy ocierać. Pani siostra poetyzuje, romanse opowiada. Serca dziewcząt nie pękają, jak gliniane garnki na ogniu. Praktyczny rozum weźmie górę, a dziecinne marzenia rozwieją się, niby dym. Po roku przyzwyczai się Zosia do męża, po dwóch pokocha go. Chłopak młody, ładny, o wiele przystojniejszy od tamtego. Pani siostra mówi: utracysz, hulaka, że ma jakieś drobne grzeszki za sobą. Pani siostra świata nie zna; śnać nie zna ona przysłowia o piwie, co za młodu wyszumieć musi. Wyszumiał się, tem lepiej, teraz nabierze stateczności i będzie grosz szanował. Ja go wezmę w opiekę, a pod moim kierunkiem wyjdzie na gospodarza, co się zowie. Czego bo nie można dokonać, mając młodość, zdrowie, pieniądze i radę praktycznego, doświadczonego człowieka.

Najmocniej przekonany był Borecki, że się młody człowiek wpływowi jego podda i rad słuchać będzie.

Zatraceniec mógłby dalej trzymać, bo majątek to niezły i dzierzawa nie nadto wyszrubowana; możnaby jeszcze i sąsiedni folwark przybrać, za niewielkie odstępnę. A gdyby Różański nie chciał

na cudzem pracować, to ostatecznie znalazłoby się coś odpowiedniego do nabycia. Zosia też z próżnymi rękami z domu rodzicielskiego nie wyjdzie; zbierał ojciec dla niej długo, oszczędzał, no i jest posag. Połączywszy jedno z drugim, można ładne gospodarstwo zacząć.

Obmyślał pan Borecki plan przyszłości ze wszystkimi szczegółami, tworzył w myśli, kombinował, a Rózańskiego szczególnie polubił.

Młody człowiek zręcznie brał się do rzeczy i poznawszy odrazu słabe strony starego gospodarza, umiał w nie uderzać. Po kilku wizytach ojciec był zupełnie skaptowany i zapraszał młodego człowieka z całą serdecznością.

Ciotka Gertruda zmieniała taktykę; widząc, że brat mocno przy swoim zdaniu stoi i że wprost przekonać się nie da, zaczęła udawać pogodzoną z losem. Dla młodego człowieka była chłodna, ale grzeczna, i przytem starała się usilnie o to, aby podczas jego wizyt Zosia była zatrudniona i aby się jak najmniej pokazywała w tak zwanym salonie. Siostrzenica bardzo ściśle wykonywała polecenia ciotki, a gdy na wyraźne żądanie ojca zmuszona była przyjść i wziąć udział w towarzystwie, siedziała ze spuszczonej oczami, milcząca i jakby chora.

Po kilku tygodniach bywania, Rózański mógł się tylko domyślać, że dziewczyna ta mówić umie,

gdyż głosu jej jeszcze nie słyszał. Nie widział też nigdy uśmiechu na jej twarzy, ani nie mógł, choćby w przelocie, spotkać jej wejrzenia. Podziwiał tylko prześliczne, długie rzęsy, które cień na jej zarumienioną twarzyczkę rzucały. Kilkakrotnie usiłował zawiązać z panną Zofią rozmowę, ale to mu się nie udawało, gdyż Jadwisia uprzedzała siostrę w odpowiedziach, a ciotka Gertruda znajdowała zawsze jakiś pozór, aby Zosię odwołać:

— Moja Zosieczko, zobacz-no, czy się dobrze piecze, czy mleko przynieśli, czy nie trzeba czego ze spiżarni?

I Zosieczka znikala z pokoju na godzinę lub dłużej, rozmowę zaś z kawalerem prowadziła ciotka i Jadwisia.

W oczach Różańskiego Zosia mogła się wydawać jakby figurą z kamienia, istotą bez życia, automatem, który na skinienie ciotki posłuszny, porusza się, wstaje, chodzi, siada, ale milczy, zawsze milczy; lecz ta figura, niby kamienna, była piękna w każdym rysie swoim, wdzięczna i pełna uroku w każdym poruszeniu, zachwycająca w swym smutku, czy też nieśmiałości. Jej milczenie drażniło młodego człowieka, zadawało dotkliwe ciosy jego miłości własnej.

Dlaczegóż ta jedna patrzeć na niego nie chce, kiedy wszystkie w całej okolicy mają dla niego najprzyjemniejsze uśmiechy, teraz zwłaszcza; dla-

czego ta jedna nie obdarzy go ani słówkiem, kiedy wszystkie witają go wesołym szczebiotem i dlaczego ta jedna, ta mianowicie, którą chciałby żoną swoją nazwać?

Postanowił zwyciężyć bądź co bądź, przełamać ten opór, zdobyć i uśmiech i spojrzenie i miłe słówko, ożywić głąz żyjący, serce w nim zbudzić.

W tej myśli coraz częstsze wizyty w Brzozówce składał i coraz bardziej je przedłużał.

Liczył na to, że przecież kiedyś, chociaż raz, znajdzie chwilę odpowiednią do rozpoczęcia rozmowy, że przełamie ten bierny, cichy, a jednak tak zacięty opór.

Raz zdawało mu się, że już, już sposobność taką pochwycił.

Było dość późno, zegar jedenastą wydzwonił, Borecki robił rachunki w swoim pokoju, szczebiotliwa Jadwinia wyszła, w saloniku została tylko Zosia, zajęta ręczną robótką i ciotka Gertruda. Ta siedziała na kanapie i znużona całodziennym dreptaniem, przymknęła powieki. Różański był pewien, że drzemie, usiadł więc tuż przy Zosi i przyciszone głosem mówić zaczął, że od czasu, kiedy ją poznał, spokoju nie ma, że tylko o niej myśli, marzy, że życie za nią oddać gotów...

W Zosi serce zamarło; to bladła, to znów fale różowej krwi napływały jej do twarzy, chciała uciec, a wstać nie mogła, chciała krzyknąć na nie-

go, żeby sobie poszedł, żeby ją przestał dręczyć, ale głos zamierał jej w gardle.

Czemu ta ciotka śpi!

Stara panna niby drzemała, tak samo, jak ów żóraw wartownik, który żerującej gromady swoich współbraci strzeże. Słyszała wybornie każdy wyraz, wymówiony przez młodego człowieka i w chwili, kiedy ten z uniesieniem zapewniał Zosię o swojej miłości dozgonnej, otworzyła oczy i niby bardzo zaciekawiona, zapytała:

— Proszę pana, czy Eufrozyna Róžańska, która przed trzydziestoma laty wyszła za mąż za niejakiego Majera, jest pańska krewna, czy nie?...

Podobno była krewną jego rzeczywiście, ale zaskoczony zapytaniem w chwili tak stanowczej, wyparł się, że jak żyje o żadnej Majerowej nie słyszał, Eufrozyny Róžańskiej na swoje oczy nie widział, że wogóle z dalszą familią stosunków nie ma żadnych.

Zosia w tej chwili zniknęła i nie pokazała się już więcej, zaś młody człowiek, wysłuchawszy długiej historii o Ferdynandzie Majerze, który był z pochodzenia Niemiec, z fachu weterynarz, a ku wielkiemu zmartwieniu rodziny Róžańskich, ożenił się z Eufrozyną, odjechał zły sam na siebie, na ciotkę, na cały świat, wreszcie na Małkę, która przy każdej sposobności powtarzała mu, że trzeba

spieszyć i spieszyć, że na pośpiechu wszystko zależy.

— Niechże kto pospieszy w takich warunkach, niech dojdzie do ładu z milczącą, jak zaklęta, dziewczyną, z ciotką, która się budzi niewiadomo po co i jakiegoś Ferdynanda Majera i Eufrozyne za ciekawy przedmiot dyskursu bierze.

Kiedy konkurent, tłumiąc w sobie gniew i wściekłość, odjechał, panna Gertruda udała się zaraz do pokoju swych wychowanic, gdzie znalazła Zosię rozżaloną, płaczącą.

— Widzi ciocia... no, niech ciocia sama powie, jaki on niegodziwy! — mówiła, łkając. — Czego się przyczepia, czego chce?

— Uspokójże się, moje dziecko.

— Ciocia nie słyszała, co on plótl...

— Owszem, wszystko słyszałam...

— Przecież to niepodobna... bo, chociaż ja cioci nic nie mówiłam, ale ciocia wie... ciocia rozumie, że ja jego oświadczeń słuchać nie mogę, nie chcę, nie wolno mi... Ja cioci wyznam wszystko, jak na spowiedzi. Pan Stanisław mi nie mówił nic...

— Nic?

— Troszeczkę tylko, ciociu moja najdroższa, parę słówek... prawie nic... Na cóż miał dużo mówić, kiedy wiedział doskonale, że ja go kocham... całym sercem!

— Jakto? Nic nie mówił, nie zapytywał i wiedział? Zkąd? Chyba mu sama powiedziałaś?

— Ach! ciociu, cóż znowu? Tak trudno to opowiedzieć. Ja nie wiem, jak ciocię kocham; nie wiem, zkąd on wiedział, ale wiedział... On takie oczy ma, ciociu, że tylko spojrzy na mnie, to zgaduje, co ja myślę... Może cioci się zdaje, że on mi się oświadczał?... Wcale nie, tylko powiedział, że mnie bardzo kocha i ja mu też nic nie mówiłam, tylko... powiedziałam, że go także bardzo kocham... i już więcej ani jednego słóweczka, nic, nic, zupełnie nic, jak ciocię z duszy kocham!.. Tylko później, ile razy go widziałam, to patrzył na mnie i pytał: „Czy to prawda i czy aż do śmierci?“ Więc ja mówiłam, że prawda, i że do samej śmierci. Przecież to nic złego, moja ciociu?... A teraz, teraz... jaka ja jestem nieszczęśliwa, jak bardzo nieszczęśliwa!.. Czy tylko ja jedna na świecie, czy mało panien? Po co on tu przyjeżdża? Czego się do mnie przyczepił?

— Nie bój się, moje dziecko, nie damy się!

— Tak się cioci zdaje! Dziś mnie plótl różne androny, a jutro może napleść ojcu... Na moje nieszczęście, ojciec go lubi. Zawoła mnie, ja się rozpłaczę, ojciec krzyknie, tupnie nogą, rozgniewa się i cóż ja zrobię... Nie posłucham ojca?... Ach, moja ciociu, ciociu kochana, niech mnie ciocia ratuje!...

Przytuliła głowę do ramienia ciotki i ta stara panna, zawsze szorstka, surowa w obejściu, rozrzewniła się i rozplakała. Ale to wzruszenie zaraz przeszło. Panna Gertruda otarła oczy i odezwała się zwykłym, rozkazującym tonem:

— Idź spać, ciotka cię nie opuści.

Jadwisia, która przez cały czas tej rozmowy cicho siedziała w kąciку, wybiegła na środek pokoju i zawołała:

— Ach! ciociu, żebym ja tak kochała pana Stanisława, jak Zosia go kocha, tobym tego utrapieńca z Zatraceńca miotłą wypędziła z domu!

Panna Gertruda spojrzała ostro na figlarną dziewczeczkę.

— A ty dzieciaku! — krzyknęła — to ty tu jesteś? O kochaniu rozprawiasz? Ruszaj mi zaraz spać! Jeszcze od ziemi dobrze nie odrosło, a już o miłości dyskursa prowadzi. Taki bęben!

— Niech ja sobie będę bęben — rzekła Jadwinia do siostry, po odejściu ciotki — ale energię mam i niechnoby kto ze mną chciał wojować!

— Cóżbyś zrobiła?

— Ja? Takbym mu dokuczała, tak z niego szydziła bez miłosierdzia, takąbym się stała dla niego czarownicą, jędzą, wiedźmą, taką sekutnicą

z piekła rodem, żeby musiał uciekać za dziesiątą granicę!

Mówiąc to, gestykulowała tak żywo, tak się rolą jędzy przejęła, że Zosia, pomimo smutku, musiała się roześmiać.

ROZDZIAŁ XII,

opisujący jak pani Małka zaczęła tracić cierpliwość, po co Błażej Pokrzywa udał się w drogę i jak ciotka Gertruda na nic się nie zgadzając, zgadzała się na wszystko.

Było to już ku wiosnie. Śnieg stopniał, woda spłynęła, gdzieniegdzie już trawa zielonej nabierała barwy, a nad szaremi zagonami zaczynały dzwonić skowronki.

W Zatraceńcu, we dworku świeżo odnowionym i umeblowanym, uwijał się sprowadzony z miasta gubernialnego tapicer i zakładał firanki. Na pierwszy rzut oka poznać było można, że domek oczekuje tylko na młodą gospodynię; wszystko było nowe, świeże i nawet dość gustownie urządzone. Wprawdzie, co do tej nowej gosposi, jeszcze stanowcze postanowienie nie zapadło, ale człowiek przewidujący, a Różański chciał za takiego w o-

czach ojca Zosi uchodzić, nie czeka ostatniej godziny, lecz przysposabia wszystko naprzód, zawczasu. Przysposobił więc, przygotował i miał zamiar zaprosić Boreckiego, aby go odwiedził i ten tak ślicznie urządzonego domek zobaczył. Właśnie miał się udać w tym celu do Brzozówki, gdy przyniesiono mu odrazu siedm wezwań do sądu, z których pięć z powództwa pani Małki.

Gdyby nagle z pogodnego nieba piorun uderzył w ów ślicznie odnowiony i urządzonego domeczek, gdyby ziemia się w Zatraceńcu zatrzęsła, młody człowiek nie byłby tak zdumiony, jak w chwili otrzymania owych pozwów.

Oczom własnym wierzyć nie chciał, chociaż najmniej dziesięć razy wezwania odczytał.

Że pozywa Dawid Śliwka, nic w tem dziwnego; że pozywa Glancman, rzecz całkiem naturalna; obadwaj ci ichmościowie bowiem lubią robić spekulacye na kosztach sądowych i znani są z pohopności do procesów, ale Małka!

To być nie może, to mistyfikacya jakaś, chyba ktoś występuje w jej imieniu, ale bez jej woli i wiedzy. Kazał zaprządz konie i natychmiast popędził do Czarnego Błota.

Pod „Zielonym łabędziem“ było cicho i pusto; żydziak w sklepie drzemał za ladą, Mojsie przebiegał korki w izbie szynkownianej, piękna kupcowa drzemała na kanapie w paradnej izbie.

Różański wbiegł, wydobyl owe pozwy z kieszeni i rzucił je na stół.

— Może mi pani zechcesz powiedzieć, co to jest? — zapytał.

Małka przeciągnęła się bez ceremonii, ziewnęła głośno i odpowiedziała z uśmiechem:

— Tak dawno pan interesa prowadzi i nie zna pan jeszcze wezwania do sądu? Ja się bardzo dziwię. Chyba panu taka praktyka nie pierwsza?

— Ale pani wiesz od kogo one są?

— Dlaczego nie mam wiedzieć? Ja wszystko wiem; jeden od Glancmana, jeden od Śliwki, a pięć odemnie samej.

— Od pani?

— Przecież tam stoi napisane.

— Ja tego nie rozumiem, nie pojmuję. Jakto? Więc pani mnie pozywasz? pani? A niby taka życzliwa, taka przyjaciółka!

— Co to ma do przyjacielstwa? Czasem rodzeni bracia mają sprawę w sądzie. Czy pan myśli, że ja nie jestem życzliwa. Oj, oj i jak! Pan mnie przecież zna.

— Więc co znaczą pozwy?

— Widzi pan, to jest tak. Ale niech-no pan siada, owszem, bardzo proszę, jak dawniej, niech pan usiądzie sobie wygodnie. Tym pozwom i sprawom nie ma się pan co dziwić, to jest zwyczajna rzecz. Każdy człowiek ma swoją miarkę czekania,

u jednego będzie to buteleczka, u innego gąsior. Ja dla pana, dla takiego pana, miałam, nie chwając się, całą kufę czekania i cierpliwości; ale żeby największe było naczynie, jeżeli z niego ciągle brać, to się w końcu przebierze i nic nie zostanie. Właśnie już się przebrało.

— Mogłaby pani poczekać przynajmniej dopóki nie doprowadzę moich zamiarów do skutku.

— Ach, te zamiary! Właśnie ja ciągle o nich myślałam, ja panu mówiłam, że to rzecz pilna, a pan zwłóczy, ciągle pan zwłóczy. Taki interes powinien być skończony w cztery tygodnie, a to się już ciągnie blisko pół roku.

— Pani się zdaje, że to łatwo...

— Żebym ja była takim eleganckim kawalerem, jak pan, tobym już dawno wzięła pannę. Panu nie idzie. Nie spodziewałam się tego. Czy panu śmiałości brakuje, czy pan nie potrafi ładnie przemówić do kobiety? Jabym myślała, że to właśnie jest pański fach...

— Jednak ja dopnę celu, jeżeli mi pani temi przeklętymi pozwami wszystkich zamiarów nie popsuje.

— Niech się pan nie boi, niech pan nie myśli, że ja chcę pana szykanować, to wszystko pójdzie pocichu. Ja podałam do sądu, to prawda; ale nie po to, żeby pana procesować, tylko, żeby mieć zabezpieczenie. Ja radziłam się wielkich znawców na

interesa prawne i oni mi powiedzieli, że rewers, weksel, karteczka, to jest tylko papierek, dopiero prawomocny wyrok — jest papier. Co panu szkodzi, że ja będę miała papier? Co panu ma przeszkadzać, że ten papier w komodzie u mnie leżeć będzie? To się robi dla zabezpieczenia i dla porządku, a nie dlatego, żeby pan miał przykrość. Proszę mi wierzyć. Pan zna Małkę, pan wie, że ja jestem kobieta z sercem, a dla pana... dla pana, to już sama nie umiem powiedzieć, jaka ja jestem dla pana...

Słowa piękna żydówka poparła bardzo wymownem, powłóczysem wejrzeniem i uśmiechem, ale na młodym człowieku już to nie robiło takiego wrażenia, jak dawniej. Milcząca, nieprzystępna Zosia coraz więcej miejsca zajmowała w jego myślach; drażnił go cichy, a taki wytrwały jej opór, zaczął naprawdę marzyć o tem dziewczęciu skromnem, cichem i w zamiarach, jakie żywił, już nietylko posag panny Boreckiej, ale i jej osoba zaczęła rolę odgrywać.

Małka spostrzegła odrazu, że jej oczy, takie doskonałe oczy, już nie działają jak dawniej, że pociski czarnych źrenic są teraz prawie bezsilne.

To odkrycie rozgniewało ją, bo, jak słusznie mawiał Uszer Engelman, ładna kobieta jest najgorszym gatunkiem kobiety i szatan wie dobrze,

dłaczego każe jej siadać przed lustrem i przypatrywać się własnym oczom i własnemu nosowi.

Małka nieraz wpatrywała się w zwierciadło, dla wypróbowania siły swoich spojrzeń i uśmiechów, tak samo, jak rzeźnik próbuje ostrza noża, którym ma zarząnąć krowę. Jeżeli nóż tępy, to oczywiście rzeźnik nie jest kontent, ale służy mu jeszcze apelacya do szlifierza; lecz gdy kobieta widzi, że jej spojrzenia tępieją, staje się rozdrażnioną w najwyższym stopniu, bo na to nie ma już ani apelacyi, ani kasacyi. Taki interes odrazu posiada swoją prawomocność.

Małce nic a nic nie zależało na tem, czy ją młody dzierzawca lubił, czy nie, ale bardzo była kontenta, gdy chwalił jej urodę, zachwycał się oczami, podziwiał białosć ręki. Było to nic, ale nic bardzo przyjemne, przytem targowało się trochę więcej; teraz on nie patrzy na piękność i nie kupuje tego, co mu nie potrzeba; nie wychwala urody, lecz gniewa się o głupie pięć pozwów.

Jaki on dziwny! Nie może tego zrozumieć, że kapitał wymaga zabezpieczenia, a jeżeli kiedy przyjdzie do sprzedaży kasztanków, nowego powozu, świeżo sprowadzonych mebli, Małka chce mieć prawo do udziału, narówni z innymi wierzycielami. Dlaczego ma tracić, czy z powodu, że jest piękna? Wprost przeciwnie, historia i doświadczenie uczy, że nadzwyczajna uroda bywała często

źródłem nadzwyczajnych zysków. Nawet chłopci w bajkach to opowiadają.

On się gniewa, ale i Małka rozgniewać się może, może stracić zupełnie cierpliwość, a wtenczas biada mu! Jednak Małka nie jest zła kobieta, zanim wpadnie w złość, chce jeszcze spróbować dobrocią. Zatrzymuje młodego człowieka.

— Czemu się pan tak spieszy? — zapytuje — niech pan spocznie; niech się pan posili, mam świeże sardynki z Warszawy. Jaki to towar, sam się pan przekona! Ja się bardzo dziwię. Pan tak wygląda, jak odmieniony. Gdzie się podział tamten pan Różański, mój pan Różański? — dodała z uśmiechem. — Pan zmartwienie ma, pan zły jest, zapewne o te pozwy? Żebym ja była wiedziała, że pan to weźmie do serca, poczekałabym jeszcze.

— Trzeba było poczekać — odrzekł — a nie wchodzić mi w drogę, teraz właśnie, kiedy jestem bliski...

— Ja tej bliskości nie rozumiem; ciągle o niej słyszę, a jakoś nie ma nic...

— Będzie.

— Daj Boże, ja życzę; pan nie wie, jaka ja jestem dla pana przychylna i nie od dzisiaj — dodała z westchnieniem. — Nieraz pan mi mówi, że jestem ładna kobieta; nawet bardzo często od pana takie słowo słyszałam. Czy w ładnej kobiecie może być zła i brzydka natura? Pan nie wie, pan nie

miarkuje, ile ja mam dla pana przychylności. Niech pan się nie spieszy, niech-no pan opowie, jak panu idzie w Brzozówce. Ach, dla mnie to smutne jest!

— Dla pani?

— Nie mam co dwa razy powtarzać. Kto się ożeni, to się odmieni. Pan będzie tu rzadkim gościem, ja nie będę pana widywała tak często, nie będę tyle targowała, co teraz. Będzie smutno... Ze wszystkich panów, jacy tu u mnie bywają, pan był najprzyjemniejszy pan... jedyny pan. Myśmy czasem porozmawiali, czasem pożartowali, teraz biedna Małka nie będzie miała do kogo słowa przemówić...

Uśmiechała się, ukazując równe białe zęby, rzucając spojrzenia wymowne, ale młody człowiek przyjmował to obojętnie; był strapiiony i kwaśny.

Gdy odchodził, Małka, dotknięta w swej dumie, rzuciła za nim piorunujące spojrzenie i przekleństwo.

Słusznie mówił swego czasu pewien uczony, że dyabeł, obrawszy sobie za współniczkę swych figłów kobietę, przedewszystkiem napełnia ją pychą, to jest jego główny, podstawowy materyał, a reszta, to tylko dodatki.

Właśnie w Małce wzburzyła się pycha i gdyby Mojsie Fisch mógł czytać w myślach swej małżonki, toby drzemiący w nim lew zbudził się i ryknął z radości. Ale uczony Mojsie tego rodzaju czyta-

nia nie umiał. Spostrzegł tylko, że Małka jest bardzo zła i zagniewana, że wytargała za uszy posługującego w sklepie żydziaka, a kucharkę swoją obrzuciła gradem strasznych przekleństw.

Mojsie nieśmiało zapytał o przyczynę gniewu, a usłyszawszy lakoniczną odpowiedź: „Idź do dyabła!” — poprzestał na tej informacyi i udał się na rynek, gdzie zazwyczaj można się było dowiedzieć o wszystkich nowościach dnia.

W Brzozówce wszystko napozór szło zwykłym trybem. Zosia coraz była smutniejsza, a ciotka Gertruda przestała ją pocieszać.

O panu Stanisławie nie wspominała wcale, pomimo, że dwa razy jeździła do jego matki na Majdan.

O czem tam radziły i co uradziły, nie mogły się panny dowiedzieć, ale to się jakimś sposobem wykryło, że posyłały po dziada Błażeja.

I to również na jaw wyszło, że Błażej był, że mu pani Zawadzka torbę różnym prowiantem napełniła, że obie z ciotką Gertrudą długo mu coś opowiadały i przykazywały i że zaraz potem dziad poszedł i jak poszedł, tak przepadł, jak kamień w wodę. Parę tygodni upłynęło, a Błażeja ani na lekarstwo.

Borecki coraz siostrę na konferencye zapraszał.

— Moja pani sestro — mówił — trzeba z tem

małżeństwem raz skończyć. Myślę, że sama widzisz, iż będzie dobrze?

— Powiedziałam przecież panu bratu, że zgadzam się na wszystko. Ojciec jesteś, więc radbyś dziecko uszczęśliwić. Z początku oponowałam, ale po namyśle widzę, że niepotrzebnie. Twój rozum i twoje doświadczenie szanuję.

— I to mnie najbardziej cieszy, droga pani siostrze — rzekł, całując jej rękę — to mnie najbardziej cieszy, że się zgadzamy w zdaniu. Pani siostra jesteś dla moich dzieci drugą i jak najlepszą matką, bolałoby mnie więc, gdyby tak ważna zmiana w życiu Zosi miała się stać bez woli pani siostry.

— Już mi też, panie bracie, komplementów nie mów, bom ja na to nie łakoma i nawet nie lubię... Stało się; wydajemy Zosię za mąż i teraz trzeba myśleć o przygotowaniach.

— Sądzę, że można dać Różańskiemu do zrozumienia, żeby się oświadczył.

— A cóż tak pilnego?

— Na co zwłóczyć? On już sobie, jak słyszę, domek urządził, podobno nawet bardzo ładnie i wszystko z gruntu podnawiał, meble kupił. Przysięgam, że się do dziewczyny przywiązał i schnie z oczekiwania i niepewności...

— To rzecz najmniejsza. Ilu znałam młodych ludzi w podobnym położeniu, wszyscy schnęli, ale

jeszcze nie zdarzyło mi się widzieć, ani słyszeć, żeby który naprawdę usechł — i jemu więc nic nie będzie. Nie widzę żadnej racji do pośpiechu.

— Jednak...

— Wiadomo bratu, że Zosia nie bardzo temu konkurentowi sprzyja.

— Romanse to, pani siostró, poezya!

— I na to się zgadzam, ma pan brat słuszność, ale po cóż straszyć dziewczynę przed czasem? Niech się oswoi z tą myślą, niech się przyzwyczai. To jednak najmniejsza rzecz. Powiada pan brat, że taka młoda panienka jest dzieciak i nie może mieć zdania — i na to się zgadzam, tak dalece, że nawet ten punkt w rozmowie pomijam. Ale są inne, ważniejsze względy.

— Naprzykład?

— Pan brat rozumie, bo przez całe życie tej zasady się trzymał, że wszystko trzeba robić rozważnie, po gospodarsku; nie łap, cap, jak na Urwańskiej ulicy. On dom już urządził, a myśmy jeszcze nic nie przygotowali.

— Pieniądze-bo są...

— Bardzo pana brata przepraszam; są i nie są.

— Jakże znowu? Przecież ja chyba wiem, co mam w kieszeni?

— To też ja mówię. Z jednej strony pieniądze są — z naszej strony, a ze strony pana kawalera dotychczas nie ma jeszcze nic...

— Będzie...

— I na to się zgadzam. Ale dotychczas nie ma. Niech-no ureguluje wpierw interesa, niech podnie- sie spadek, a przynajmniej niech się z nim wykaże czarno na białem; bo, widzi pan brat, ja, choć baba jestem, a może właśnie dlatego, żem baba, wierzę tylko swoim oczom. Co jest na księżycu, czy za górami, to mnie mało obchodzi; co mam mieć, chcę mieć na stole, przeliczone, jak się należy. Zdaje mi się, że dawniej i pan brat takie miał zdanie, to też nie było zdarzenia, żeby cię kto na dudka wystrychnął, przynajmniej za mojej pamięci. Od czasu, jak jestem w Brzozówce i to biedne gospodarstwo domowe prowadzę, nie trafiło się, żeby przy jakimkolwiek bądź interesie kto pana brata oszukał. Nikogo brat nie skrzywdził i nikomu skrzywdzić się nie dał. Spodziewam się, że i przy wydaniu córki tak będzie. Co brat daje, to jest widoczne i jawne; niechże pan młody również widocznie i jawnie wykaże, co posiada.

Ten argument był najskuteczniejszy, ale jeszcze nie ostatni, ciotka albowiem postanowiła wyczerpać odrazu wszystkie racye.

— Nareszcie, panie bracie — rzekła — i ja nie mogę się skompromitować.

— Skompromitować?

— A naturalnie. Powiedziałam zaraz na wstę-

pie, przybywszy, bracie, do ciebie, że ty masz myśleć o posagach dla córek, a ja o wyprawach. Zawsze słowa dotrzymuję, więc i teraz nie skrewię. Zosia dostanie wyprawę, co się zowie, porządną. Zgadzam się na wszystko, co pan brat mówi, ale na zrobienie wyprawy czasu mi trzeba i sądzę, że pan brat zechce moją ambicyę uwzględnić.

— To jest jak?

— Dać mi trochę czasu. Nie bagatela to: kupić, uszyć, posprawić. Panna Borecka, chociaż córka dzierżawcy, wywiezie z domu więcej pak i kufrów, niż niejedna dziedziczka. Na to grosz do grosza zbierałam i nie powstydzę się. Zgadzam się we wszystkim ze zdaniem pana brata, ale nawzajem, co do tych kobiecych fatałaszków, muszę mieć swobodę.

Różański bywał codzien prawie i zawsze zastawał Zosię smutną i milczącą, jak kamień, przytem, niby żołnierz na warcie, zawsze była przy niej bądź ciotka, bądź Jadwisia, a najczęściej obie razem i z uprzejmością największą starały się bawić młodego człowieka nieustającą rozmową.

Nie mogąc na żaden sposób porozumieć się z panną ustnie, młody człowiek postanowił załatwić rzecz piśmiennie.

Kosztowało go to wiele pracy. Na najładniejszym papierze, jaki w Czarnembłocie mógł znaleźć,

wysztychował wyznanie swych uczuć i błagał o odpowiedź.

Zosia, nie otwierając koperty, wręczyła list ciotce Gertrudzie.

Stara panna kazała sobie podać okulary, papier, atrament, pióro i ogromnemi literami nakreśliła te słowa :

„Siostrzenica moja jest tak wychowana, że listów od młodych ludzi nie przyjmuje. Korespondencyę nierozpieczętowaną i nieczytaną zwracam i mam nadzieję, że nie nastreży mi pan więcej okazji do przypominania panu, że postępowanie jego jest niewłaściwe.

Gertruda Borecka.“

Przez trzy dni Różański nie pokazywał się w Brzozówce, czwartego przyjechał, aby starą pannę przeprosić i wrazenie, jakie list na niej zrobił, zatrzeć.

Panny nie pokazały się wcale. Boreckiego w domu nie było, w saloniku oczekiwała sama ciotka.

Różański odrazu przystąpił do rzeczy. Przeprosił, przyznał pannie Gertrudzie zupełną słuszność, ale zarazem tłumaczył się, że inaczej postąpić nie mógł.

— Źle zrobiłem, to prawda, lecz nie żałuję tego. Właśnie ten list fatalny daje mi sposobność do

wynurzenia pani dobrodziejce tego, co oddawna wypowiedzieć jej chciałem. Ja pannę Zofię kocham i będę najszczęśliwszy, jeżeli za zezwoleniem ojca i pani dobrodziejki, zechce zostać moją żoną...

— Więc pan oświadcza się o rękę Zosi? — zapytała, przybierając minę bardzo poważną i nic dobrego nie wróżącą.

— Tak jest, pani... i błagam...

— Niech pan mnie nie błaga, moje bowiem zdanie niewiele znaczy w tym razie. Zosia ma ojca, ale kiedy pan do mnie zwraca się z zapytaniem, to dam panu chętnie, nie odpowiedź stanowczą, ale pewne wskazówki, mogące się na coś przydać. Nie grajmy w ślepą babkę; częste pańskie odwiedziny dały nam poznać, o co idzie i mówiliśmy z bratem o tym przedmiocie. Brat jest względem pana usposobiony dobrze...

— O! dzięki stokrotne!

— Za pozwoleniem, dotychczas jeszcze nie ma za co. Brat mój lubi pana nawet i nie miałby nic przeciwko temu, żebyś pan został jego zięciem; lecz Zosia jest jeszcze bardzo młodziutka... pana zna tak mało...

— Postarałbym się, aby ją uczynić szczęśliwą!

— Nie wątpię o tem, lecz nie trzeba działać pośpiesznie. Ja jestem dla pana bardziej życzliwa, niż pan sądzisz i dam panu dobrą radę. Poczekaj pan z pół roku i nie narzucaj się przez ten czas Zo-

si, nie oświadczaj się formalnie bratu memu. Zosia przez ten czas przyzwyczai się do pana, ośmieli, a brat będzie mógł podnieść kapitał, przeznaczony na posag... Bądź pan dobrej myśli i czekaj cierpliwie...

Różański za dobrą radę podziękował i wyszedł, chwiejąc się na nogach, jak pijany.

— Pół roku!...

ROZDZIAŁ XIII,

*opowiadający o kłopotach Wasążka i niedoli Rokity;
tu również jest mowa o głębokich sentencyach
Uszera Engelmana.*

Najtrudniejszym bywa zwykle początek, ale jak się co raz zacznie, to już idzie. Doświadczył tego Walenty Wasążek, gdyż dopóki odgrażał się tylko na Kobiałkę, nic nie szło, ale odkąd rozpoczął proces i forsownie popierać go zaczął, to ruble nie szły, ale leciały, jak ptaki; jeden drugiego gonił, przeganiał, aż dno w mieszku stało się czyściutkie, jak szkło.

Każda sprawa jest trudna i kłopotliwa, ale graniczna sprawa bodaj że najtrudniejsza, bo to i dowody i registry i wywody od dziada, pradziada i świadkowie, i zejścia na grunt i pomiary.

Nietylko głupia miedza, ale cały zagon tego ambarasu nie wart, ale że w takim razie nie tyle

o grunt, ile o honor idzie, o postawienie na swoim, więc strony obie forsowały, ile tylko która mogła i czem mogła. Nie brakło Wasążkowi ambicyi, ale i Kobiałka w kaszy zjeść się nie dał i okrutnie na honor był czuły, więc jak się tacy dwaj niedźwiedzie za bary porwali, to już walka musiała być zawzięta, bo jak jeden, tak i drugi, prędzejby dał sobie rękę uciąć, oko wydłubać, aniżeli do zgody się nakłonił. Skoro zaczęte, to już niech się kończy, co ma kosztować, niech kosztuje i choćby nawet z torbami pójsć, byle tylko przeciwnika rozumu nauczyć.

I prócz tej sprawy o miedzę, zaczęły się pomiędzy nimi i inne, nowe zupełnie wytwarzać. Kobiałka, ujrzawszy ciele Wasążka na swym gruncie, kamieniem je zabił; Wasążek zaś sześciu gęsiom Kobiałki łby poukręcał — to już dwie nowe sprawy. Wasążkowa z Kobiałczyną przemówiły się przy studni i zdyfamowały się trochę nawzajem — trzecia sprawa. Wasążek Kobiałkę pobił — znów sprawa, i tak ze sprawy w sprawę szło i coraz bardziej się plątało, a wydatki rosły.

Kobiałka trochę zamożniejszy był, więc dłużej wytrzymywał i większy kredyt miał, ale Wasążkowi o grosz coraz było trudniej. Ganiał szkapinę swoją do Czarnegobłota, do innych miasteczek, ale żydzi stwardnieli, jak krzemienie i prędzejby ze

skąły wodę wycisnął, niż z nich kilka rubli na tak pilną potrzebę.

Z różnych beczek Wasążek próbował, naprzód od samego Chaskla — nie chciał; od Jukla — także nie chciał; proponował, żeby pożyczyci mu wspólnie, obadwaj razem — nie chcieli.

Udał się do miasteczka, pół dnia przesiedział pod „Łabędziem,“ zaczął Abrama, Mendla, Dawida — ani weź. Zaprzysięgli się i zaklęli na żony, dzieci, na szczęście do handlu, że w całym Czarneblocie w danej chwili nie znajdzie się ani jeden rubel, wszystkie utopione są w interesach i wyłowić ich napowrót narazie nie można. Trzeba czekać.

Może za pół roku, może w zimie o gotówkę nie będzie tak trudno, a wtenczas każdy chętnie takiej godnej osobie, jak pan Wasążek, wygodzi.

Próbował szlachcie szczęścia w innych pobliskich miasteczkach, ale również bez skutku — i z wycieczek takich powracał smutny, przygnębiony, bez zwykłej fantazy i humoru.

Wielkie, nastroszone zazwyczaj wąsiska, opuściły się do dołu, a i wierna starucha, to poczciwe bydlę, które rozumiało wszelkie myśli swego pana, stąpała pod nim powoli, ze łbem zwieszonym ku ziemi. Nawet w karczmach, gdzie na rozgrzewkę wstępował, zachowywał się na podziw spokojnie i cicho — anegdotek nie opowiadał, zaczepki z ni-

kim nie szukał, siedział na uboczu i pił, milcząc, a na zapytania albo wcale nie odpowiadał, albo odburknął w taki sposób, że go już więcej nie nagabywano.

Swoją drogą sprawy prowadził, że zaś mu żydzi pieniędzy dać nie chcieli, więc sprzedał krowę jedną, potem drugą... I to nie łatwo mu przyszło, gdyż żona takiego gwałtu narobiła, że aż się cała wieś zbiegła, jak na dziwowisko.

Nawet guzów z tego powodu było kilka, bo za Wasążkową ujęli się jej familianci i duża bitwa się wywiązała, ale jakoś Wasążek na swoim postawił, krowy do żydów poszły, a pieniędzmi można było jakiś czas podtrzymywać procesy.

Po stracie dwóch krów Wasążkowa wciąż rozpaczała i w żalu utulić się nie mogła. Daremnie mąż przekładał jej i tłumaczył, że to strata pozor-na tylko i chwilowa, gdyż z chwilą wygrania sprawy, wszelkie koszta na Kobiałkę spadną i będzie je musiał co do jednego grosza zapłacić.

Wasążek był pewny wygranej, ale kobieta, na takie rzeczy nie znawczyni, sądziła po swojemu i zapowiedziała mężowi, że już mu więcej do obory zaglądać nie pozwoli i że trzeciej krowy ruszyć nie da.

— Chyba mnie pierwaj na cmentarz wyprowadzisz — mówiła — aniżeli weźmiesz to bydłatko. Dość

już! Dwie straciłam, takie kochane, od maleńkości wychowane... takie dobre!...

Słuchać Wasążek tych żalów i tego lamentu nie mógł; uciekał więc w pole, gdziekolwiek, byle dalej od domu. Nocował w stodole, często i głodu przymierał, a na obiad do izby nie szedł, bo kobieta, czy o łyżce, misce, czy o czemkolwiek mówiąc, zawsze do tych nieszczęsnych krów powracała i taki znów lament czyniła, że tylko uszy zatykać i za dziesiątą granicę uciekać.

W dodatku do wszystkiego złego, Jukiel i Chaskiel o należność swą dopominać się zaczęli, z początku spokojnie i grzecznie, a dalej coraz ostrzej i natarczywiej, że zaś Wasążek pieniędzy nie miał, więc się o sąd cała bieda oparła. Naprózno szlachcic prosił i układy różne proponował — nie chcieli ustąpić.

— Wasan myśli — mówił Jukiel — że z wasanem można się układać?

— Ja chcę przecież...

— Kiedy wasan kapcan jest już i układu nie dotrzyma. Wasan prawować się lubi; wasan procesował wszystko, nawet krowy. Z czego wasan odda?

— Toć ziemia jest, zboże rodzi, uchowa się co z dobytku, to oddam. Nie chodzę lekko po świecie, ale jestem gospodarz.

— Oj waj... taki gospodarz? Co wasan za gospodarz! Wasan tylko koło sądu i koło karczmy gospodarstwo ma...

— Ej, nie urągaj-no ty... bo...

— Ty! Co to jest ty? Wasan grozi, komu wasan grozi? — rzekł Jukiel, cofając się szybko. — Wasan chce robić awanturę! Wielki pan, myśli, że go się kto złąknie!.. To wszystko za naszą dobroć, za naszą przychylność! Bierzecie od nas pieniądze, a płacić chcecie awanturą.

— Niechże-no Jukiel zaczeka — rzekł Wasążek — rozmówmy się po ludzku.

— Co mam z wami rozmawiać, o czym?

— O tym długi.

— Wcale nie myślę... Na co mi rozmawianie, oddajcie, coście winni...

— Kiedy teraz nie mam.

— Ładna zabawa! Nie ma pieniędzy i chce rozmawiać... Akurat to jest osoba do rozmowy!

Nie lepszy był i Chaskiel; ten również napierał i o układach słuchać nie chciał. Podzielał on w zupełności zdanie Jukla, że kto nic nie ma, z tym nie warto mówić. Szkoda czasu.

Posypały się pozwy, wyroki, zajęcia. Wasążek głowę stracił tak dalece, że już nawet do sądu nie zaglądał; puszczał sprawy zaocznie, nie apelował — on, Wasążek, który całe życie na procesach strawił. Przychodzi na człowieka taka chwila, że już

mu wszystko jedno... Opuszcza ręce, mówiąc: „Niech się dzieje, co chce, już nic nie poradzę.“

Raz wieczorem wyszedł w pole i włókł się bez żadnego celu, ot tak, aby iść. Głowę zwiesił, wąsiska opuścił, przygarbił się, wyglądał jak dziad, tak dalece, że Rokita, polną ścieżką powracający do domu, nie poznał go odrazu.

— Wszelki duch Pana Boga chwali — zawołał zdziwiony — toć pan Walenty!

— Nie poznałeś, bracie?

— Sprawiedliwie, że nie. Coś pana tego zmogło...

— Wielkie są grzechy nasze, Michale, więc zmożeni jesteśmy i sponiewierani — a mnie zmogło to samo, co i ciebie.

— Słyszałem, słyszałem, że i pana Walentego też obrabiają żydy po sądach. Aleć panu pół biedy, pan znający...

Waszążek ręką machnął.

— Niech tam — rzekł — choć i znający, ale czym płacić nie mający, jest ginący. Nie dam im rady, a oni mnie zmogą. Myślałem już i tak i siak... Spekulowałem, kręciłem głową, próbowałem różnych sposobów — wszystko na nic. Zguba przychodzi na człowieka i na ten skutek.

— I cóż oni wam, panie Walenty, zrobią?

— To samo, co i tobie... sprzedadzą, zniszczą i na cztery wiatry wypędzą.

Chłop drgnął.

— Ja — rzekł — ratuję się jeszcze, jak mogę.

— Do czasu, mój bracie.

— Co mam zboża, oddaję; z przychówku, oddaję, zarobię jaki grosz — oddaję, furmanki żąda — jadę, aby choć tylko z chałupy nie ruszał, i jakoś do tej pory nie rusza.

— Do czasu, Michale, do czasu. Taki, mój bracie, to jak wilk... dasz mu jagniątko, chce owcę, daj owcę — krowy mu się chce; krowę dasz — zjadłby konia, a nie masz konia, to i ciebie samego pożre. Znam ja ich doskonale, te wory dziurawe, beczki bezdenne; żebyś nie wiem jak pchał, nie napełnisz i nie napchasz. Mówią w bajce o smoku, co mu codzień barana na pożarcie dawali; taki smok, Michale, lepszy od naszych Jukłów i Chaskłów, bo ich żarłoczność granicy żadnej nie zna. Tak i z tobą, bracie kochany, tak i ze mną, z drugim, dziesiątym i setnym... Wyciśnie z ciebie wszystko, co będzie mógł wycisnąć, a potem pożre cię z kośćcami...

— Oj, mój panie Walenty, żeby on mnie miał z chałupy wyrzucić, to ja sam nie wiem, cobym uczynił?...

— A ja wiem...

— Powiedzcież, panie Walenty, może i mnie to się na co przyda...

— Wątpię, mój Michale. Ja obrót sobie dam,

bo edukowany jestem, a ty zaś robotnik tylko — to służby będziesz szukał. I znajdziesz, bo z ciebie oracz wielki i kosiarz wielki: siłę masz i zdatność za trzech. Gdziebądź przyjmą cię — w każdym dworze.

— Nie...

— A to dlaczego?

— Bo ja nie pójdę do służby...

— To i co zrobisz? Może komornikiem we wsi będziesz na pokomornem, a do roboty na dniówkę, I tak ludzie robią.

— Chyba nie...

— Więc jakże będzie z tobą?

— Nie wiem, nic nie wiem i, Bóg świadkiem, wiedzieć nie chcę.

— O! nie ciekawys?

— Nie, panie Walenty, wolę już posłuchać, co wy ze sobą poczniecie...

— Ja już sobie obmyśliłem. Wojować z żydami nie będę, bo ich nie zmożę. Oddać nie mam z czego, zniszczą mnie. Cała moja fortuna nie ob stanie, żeby ich zaspokoić.

— Cała fortuna?

— Jakbyś wiedział!

— To nie może być, panie Walenty, posiadzialność macie porządną, gruntu też.

— Pójdź-no, bratku, do regenta, to się dowiesz, jak owe zagonki na wszystkie boki są opi-

sane. Żydom się z nich wiele nie dostanie, ale i mnie wykurzą, jak lisa z jamy.

— I cóż poczniecie?

— Ha, mój Michale, choć ty prosty chłop, ale szczery i dobry człowiek, tedy ci powiem. Mógłbym ekonomować gdzie na folwarku, ale nie chcę. Od małości na swoim, to mi kark bardzo zesztyniał. Jużbym ja nie mógł u takiego Różańskiego, naprzykład, koło drzwi stać i jego fochów znosić, jużem zastary, ale jest jeden Pan wielki, u którego służba honorem mi będzie.

— I cóż to za pan?

— Pan Bóg nasz miłosierny, Michale. Już ja trzy tygodnie bez roboty żadnej chodzę, jeno medytuję a dumam, dumam a medytuję; oj, i dodumałem się, że wielkie są grzechy moje i wielkie zmarnowanie życia mojego było... Opatrzyłem się, bracie, ale po niewczasie... Nie trzeba było tyle kodeksów w łeb kłaść sobie, i tyle spraw prowadzić, i tyle jarmarków odwiedzać i tyle pisania żydom podpisywać. Roześmiejesz się może ze mnie, powiesz: „Aha! obejrzał się kusy, jak mu ogon ucieli.“ Prawda, bracie, wszystko prawda i „nierychło, Marychno, po śmierci wędrować“ — to też prawda, ale Bóg miłosierny i jużem sobie postanowił Jemu do śmierci służyć i tak w onej służbie żywota dokonać.

— Jakże to? Przy kościele?

— A juści.

— Za dziada, czy co?

— O! zaraz ci za dziada! I to nie hańba, owszem, aleć ja jeszcze na co lepszego zdatny. Na książce każdej czytam, a choćby łacińska była, też potrafię, jako, że za młodu ciekawy byłem i pokazywali mi; nabożeństwo rozumiem, a nie chwalcę się, śpiewam pięknie. Toć słyszysz nieraz w kościele. Pięknie śpiewam, co?

— Juści prawda, jak pan Walenty zaśpiewa, to jakby kto na wielkiej trąbie zatrąbił.

— Chwalić Boga, głos jest, a nie ma takiej pieśni kościelnej, którejbym nie umiał. I nietylko te, które naród śpiewa, ale łacińskie. Ja i „Asperges“ i „Veni Creator“ i „Salve Regina,“ co tylko chcesz, nie chwalcę się, znam; do mszy posłużę, aparat przysposobię, księdza ubiorę; więc umyśliłem sobie: pójdę w służbę Bożą i zostanę zakrystyanem.

— To nasz zakrystyan nie będzie?

— Będzie, ale przecież nie jeden kościół na świecie.

— I daleko pan Walenty od nas odejdzie?

— Nie bardzo. Za Kopytkowem.

— Może do Biedrzeńca?

— Nie, do Woli... Byłem tam już, mówiłem z proboszczem, obiecał przyjąć od świętego Jana.

— No, no...

— Cóż robić, bracie. Będę żył spokojnie, Pana Boga chwając, za grzechy odpuszczenia prosząc i niech tam... Zrobiłem rachunek sumienia, winowajcą jestem względem siebie samego, względem żony, względem dzieci, względem sąsiadów. Biję się w piersi i powiadam: moja wielka wina! Niech je psi zjedzą te kodeksy i procesy, dość już mam tego. I tobie, Michale, życzę po dobroci, ty za mną pójdź... Wszystko jedno, nie utrzymasz się tutaj.

— A cóż ja przy panu Walentym robić będę?

— Będiesz za dziada przy kościele.

— Nie było w moim rodzie dziadów i nie będzie.

— Hardy z ciebie chłop, Michale; parobkiem wolisz być?

— Nie będę, panie Walenty, jakom rzekł, nie będę.

— A czemże zostaniesz?

— Nie wiem, głowy na to nie mam. Chałupy swojej trzymać się będę, póki mogący i dziej się wola Boża. Wyście, panie Walenty, człowiek znający, piśmienny, wy i na książce potraficie, toście sobie obmyślili; ja chłop ciemny, nie potrafię. Jedno tylko wiem doskonale, że ojciec mój w tej chałupie siedział, ojcowy ojciec siedział, to i ja siedzieć powinienem... I... ach! panie Walenty, nie mówmy już o tem, bo jak pomyślę, to mi zaraz we łbie poczyna się kotłować, gorącość na mnie bije,

a potem ziąb taki czuję po plecach, jakby mnie na polu, na to mówiący, zgrzanego, zimny wiater obleciał — i Bóg wie, co sobie do głowy dopuszczam i w uszach mi bębni, jakby sześciu chłopów młóciło i w ślepiach się robi czerwono, a w gardzieli tak sucho, tak sucho, że słowo się z niej wydobyć nie może... Już ja, panie Walenty, myśleć o tem nie chcę, zaciężka rzecz to dla mnie; wolę orać od świtania do zmroku, wolę kosić, wolę najcięższą robotę, bo kiedy grzbiet trzeszczy, to odełba gorącość odchodzi i takie wichry w uszach nie gwizdzą i takiego łomotania w skroniach nie czuję. Dziw, do prawdy, że pan Walenty inaczej to rozumie.

— Niby... jakże to dziw?..

-- A że pan Walenty tak całą swoją chudobę na ich pastwę zostawi, bez żadnej obrony.

— Ja?

-- Takeście przecież rzekli.

— Rzekłem, bracie i prawda. Wielkie są grzechy nasze i ja już się prawować nie będę. Panu Bogu przy kościele służyć pójdę, a tu niech się dzieje, co chce.

— No, no... A tak się pan Walenty kodeksami przechwalał, tak zawsze dużo o prawie opowiadał.

— He, nie myśl-no, Michałku, że ja znów taki głupi. Ustąpię i pójdę, bo nie mam forsy na to, żeby się prawować, ależ żona moja w chałupie zosta-

nie do czasu i żydy jeszcze długo potańcują. Narobiłem ja im kapusty dość.

— Kapusty?

— A juści. Cóż ty, Michale, myślisz, że ja byłem głupi czekać, aż mi oni grunt i dom opiszą. Sam po dobrej woli sprzedałem, póki był czas.

— Jakże pan Walenty sprzedał, kiedy sam w chałupie siedzi?

— Sprzedałem, bracie kochany, rejentalnie, pół roku temu, zanim jeszcze żydzi procesować mnie zaczęli i nie u naszego rejenta w Kopytkowie, ale u gubernialnego, żeby się zaraz nie rozniosło.

— Któż kupił?

— Byli tacy, co kupili; jeden, mój szwagier, a drugi kum, obaj przyjaciele. Ja już do mego gospodarstwa nie mam nic i jeno kobieta moja dzierżawczynią w niem siedzi. Ja biedak, ja pójdę w świat, ale kobiety mojej nie łatwo będzie zmódz, bo ona żadnych podpisów nie dawała, a jako dzierżawczyni, za kontraktem, na swoim prawie siedzi. I bydełka resztę, co mi zostało i kobyłę moją staruchę sprzedałem też, zanim wójt zajęcie dla żydów zrobił. Co do jednego ogona wyzbyłem się wszystkiego, niech teraz robią, co chcą.

— Jakże, toć bydło u pana Walentego w o-borze?

— Czasowo tylko, mój bracie, na przechowa-

niu. Tylko patrzeć, właściciele prawdziwi przyjdą i zabiorą.

— Takim prawem, Chaskiel, Jukiel i insze żydy nie nie dostaną.

— Albo ja wiem, nie moja w tem głowa, ale ich...

— Panie Walenty!

— A co, Michale?

— Ani w ząb nie rozumiem, co wy mówicie. Dopieroście rzekli, że jako za wielkie grzechy swoje, na służbę Bożą do kościoła idziecie, że niechacie już wszystkie sprawy i procesy, że zostawiacie waszą fortunę żydom na pastwę, a teraz znowu o procesach gadacie i że jako żydy wam nie wezmą nic. Sprzecznie to; niby na prawo, niby na lewo, a po prawdzie ani tak, ani siak.

— Oj, nie rozumiesz ty, Michale, nic nie rozumiesz. Grzechy moje są wielkie, na prawowanie pieniędzy nie mam, fortunę żydom zostawiam, ale nie byłbym ja Walentym Wasążkiem, nie umarłbym spokojnie, w grobie, w świętej ziemi jeszczebym się przewracał, żeby onym gałganom kapusty nie narobił. Toć i koń, skoro go wilcy opadną, nie da się zjeść odrazu, jeno obróci się do nich tyłem i jak pocznie wierzgać, to niejednemu zęby popsuje, albo i szczękę przetrąci. Cóż ja mam być gorszego od konia? Tak się dać zjeść bez obrony? Ej, bracie kochany, to nie na mnie. Kopyt ja, co

prawda, nie mam, ale głowa, chwalić Boga, jest, i zawczasu piwo warzyć umiem. Wasażka samego nie zjedzą, a jeżeli już przyjdzie na to, że zjedzą, to sobie zęby poszczerbią. Rozumiesz teraz, bracie?

— Nie.

— A toć jasne, jak dzień. Moja fortuna szlachecka, kupić każdemu ją wolno; wyroki są, przyjdą żydy do opisu, a skoro przyjdą, to zaraz szwagier mój i kum do nich z aktem, jako jednego jest połowa i drugiego połowa. Kupili, zapłacili, opisali się dokumentnie, a mojego nie ma w tem nic. Biedak jestem i w służbę idę. A chcą się do bydła dobrać i do konia, to też posprzedawane. Żydy uderzą w gwałt, zaczną krzyczeć, poznają, że Wasażek twardy, że trzeba mocnych zębów na niego.

— I nic nie wskórają?

— Nie wiadomo, mój bracie, może wskórają, może i nie. Do sądu pójdą, szwagra zapozwą, kuma zapozwą, świadków zaczną ściągać, dowodzić, że te wszystkie kupna nieprawdziwe, że to tylko udanie na ich krzywdę. Dopiero się zacznie kapusta! A i to, bracie, trzeba ci wiedzieć, że rejentalny akt, to twarda rzecz, jak mur, niełatwo go obalić. Będą próbowali, a ja się będę śmiał. Popamiętają oni Wasażka!...

Rokita zamyślił się i po chwili spytał:

— Panie Walenty, a dla mnieby pan takiego dobrego sposobu nie znalazł?

— Oj, nie bracie; tyś już dawno opisany; żeby przedtem, to jeszcze, ale teraz już nie rychło, już wszystko przepadło.

Chłop głowę zwiesił i poszedł ku domowi. Gnębiło go pytanie, dlaczego Wasążek znalazł sobie sposób, a on nie ma drogi wyjścia i czy naprawdę już nie ma? Wasążek mądry, aleć chyba na świecie są mędrsi od niego. Trzeba poszukać.

Zaraz, przyszedłszy do domu, zebrał wszystkie papiery sądowe, jakie mu podczas procesu z Chasklem przyniesiono, zebrał, złożył je porządnie, owinął w gałgan i troskliwie ukrył w zanadrzu, potem wziął kawałek chleba na drogę, kij w rękę i na całą noc poszedł do gubernialnego miasta, o dziesięć mil drogi.

Tam ludzie mądrzy są i prawo znający, może oni co na jego niedolę poradzą?

Szedł chłop równym, miarowym krokiem, księżyc mu przyświecał, szedł i rozważał w duchu opowiadanie Wasążka o tym koniu, co, gdy go wilki na pastwisku obskoczą, nie da się pożreć dobrowolnie, ale broni się i wierzga.

W tym samym czasie, kiedy Rokita w drogę się puścił, w Czarnembłocie Mojsie Fisch poszedł odwiedzić swego przyjaciela Engelmana i zapropono-

wać mu wspólną przechadzkę na miasto, trochę dla zdrowia, a trochę dla wymiany myśli.

Filozof czarnobłocki długo prosić się nie dał. Poszli więc. Z początku kroczyli w milczeniu, jak ludzie, którzy wyłącznie tylko ruch mają na celu, potem zaczęli przebąkiwać coś półsłówkami, aż wreszcie, doszedłszy do kamienia, wpadli w porządną i poważną rozmowę.

— Wiecie, Uszer — rzekł Mojsie — mam wam ważną nowinę powiedzieć. Głównie ona dla mnie jest ważna, ponieważ mnie bezpośrednio obchodzi, ale że swego czasu mówiliśmy o tem, więc może i dla was będzie też ciekawa.

— Wszystko, o czem się mówi, jest ciekawe — odrzekł sentencyonalnie Uszer — jeżeli nie samo przez się, to pośrednio, to jako punkt przyczepienia, z którego można rozpocząć i wysnuć zajmujący dyskurs. Mówcie tedy, co mówić macie, Mojsie, ja was z uwagą słucham.

— Była niedawno pomiędzy nami rozmowa o ładnej kobiecie i o dyable. Nie potrzebuję wam powtarzać, gdyż pamiętacie zapewne, że ładna kobieta, to była moja żona, szatan — szatan, a jego wysłaniec i czeladnik — ten młody goj z Zatraceńca! Mówiliście wtedy pięknie o kobietach, jako że do późnego wieku są one współniczkami szatana i że wierzyć im nigdy nie można. Rzekliście wówczas, że nawet o waszą żonę, która już ukończyła

sześćdziesiąt lat życia, nie jesteście jeszcze zupełnie spokojni i obliczyliście zgrabnie, jak wielki musi być mój niepokój wobec tego, że Małka ma dwadzieścia kilka lat wieku i że, co prawda, to prawda, częściej zagląda w lustro, aniżeli w garnek. Wywiedliście wtedy bardzo zgrabnie wnioski i na nich zbudowaliście argument, że ponieważ w garnku gotuje się krupnik z koszerne go mięsa, a w lustrze siedzi cała trefność dyabelska, przeto niewiasta, która patrzy w lustro, nie może być koroną głowy męża swego. Wyraziliście też mądre zdanie, że są wypadki, w których nie można być zanadto podejrzliwym i są mężowie, którzy nie powinni ani na jedną minutę zamykać oczu, lecz mieć zawsze otwarte źrenice. Wszak to są wasze słowa?

— Moje i zachwycony jestem waszą pamięcią.

— Ja wtenczas powiedziałem wam, Uszer, że czasem podejrzliwość chodzi zadaleko.

— Jakto?

— Naprzykład, za ścianą coś drapie i nam się zdaje, że tam jest wielki pies, tymczasem pokazuje się często, że to nie był ani wielki pies, ani mały pies, ani nawet mysz, tylko nasze zdawanie się.

— Bardzo was przepraszam, Mojsie — rzekł Uszer — ale orzech, który mi podajecie, ma łupinę zatwardą na moje stare zęby, musiałbym długo gryźć; bądźcie przeto łaskawi, rozłupcie ją sami odrazu, a mnie dajcie czyste ziarnko, bez łupiny.

— To znaczy?

— Powiedzcie wprost, jaką przynosicie mi nowość?

— Skoro taka wasza wola, odwracam kota ogonem; wyjdzie to na jedno, tylko początkowo chciałem wam przedstawić sens moralny, a potem przyjść do rzeczy. Żądacie inaczej — zgoda, macie rzecz. Podejrzewaliście, że Małka jest dla tego puryca życzliwa, więcej nawet, niż dla interesu handlowego wypada; tymczasem, żebyście wy słyszeli, jak ona go przeklina, jak przeklina! Aż moje serce rośnie, a jak ona go dusi za dług, jak ona go dusi, jakie ona jemu figle robi, to ja się tak cieszę, że o mało nie tańczę z radości. Ja teraz mogę spokojnie spać, mogę zamykać jedno oko i drugie oko i oba oczy razem.

— Wiecie wy co, Mojsie? — rzekł Uszer.

— No?

— Nie zaszkodzi, jeżeli wy jutro rano, skoro tylko zaświta, pójdziecie do mykwy i tam trzykrotnie, raz po raz, zanurzycie się w zimnej wodzie, wraz głową.

— Po co?

— Będziecie mieli jaśniejszy sąd o rzeczach.

— Ja was nie rozumiem, Uszer.

— Pomaleńku przyjdziemy do porozumienia, ale przedewszystkiem odpowiedzcie mi na pytanie: co wy myślicie o zdrowiu i siłach szatana?

— Co ja mam myśleć o zdrowiu takiego paskudnika? Niech on zdechnie!...

— Stoimy przy pytaniu, Mojsie. Jak wam się zdaje, czy dyabeł jest zdrów i czy ma siłę?

— Bez obrazy waszego honoru, ale ja nie jestem dyabelski doktor. Zresztą, co mnie do tego? Uszer, ja nawet nie mogę zmiarkować, co was to obchodzi?

-- A jednak zastanówmy się nad tą kwestyą. Nie mówię o milionach drobnych dyablików, tego tałałajstwa, tej hołoty, która się codzień rodzi ze złych uczynków i która ginie od jednego spojrzenia, od jednego zaklęcia, od kłębu dymu z fajki sprawiedliwego. To są muchy, komary, sam drobiazg. Ale mówmy o prawdziwych szatanach, o tych, co stoją na zdradzie ludziom i prowadzą swój interes hurtowo, na wielką skalę. Stawiamy kwestyę: czy oni są zdrowi, czy nie?

— Niech ich dyabli porwą?

— To nie odpowiedź, Mojsie.

— To nie pytanie, Uszer. Niech kto spróbuje wziąć takiego łajdaka za puls, niech opuka jego nieczyste boki! Ładnie będzie wyglądał!

— A jednak łatwo znaleźć odpowiedź.

— No, no bardzo jestem ciekawy?

— Bierzmy rzecz gruntownie. Dyabeł istnieje od początku świata i będzie istniał do końca świata. Czy wierzycie w to?

— Wierzę.

— Tedy łatwo wam będzie kombinować tak: jeżeli taki paskudnik tyle czasu żyje, do tej pory nie umarł i do końca świata żyć będzie, to jest zdrow. Choroba nie przyczepi się do niego, i on jest zdrow, jak koń.

— Ale na co to wiedzieć?

— Czekajcie. Idźmy dalej. On robi rozmaite szprynce, figle, on biega po świecie, a na to trzeba siły. Siłę on ma, ale każda siła ma swój „in plus“ i swój „in minus“ — tak, jak licytacya. Siła się wysili, a wtenczas ten, co miał siłę, musi się zrobić osłabiony, dopóki nowa siła jemu nie przybędzie. Bywa czasem, że w studni braknie wody, za dwie lub trzy godziny woda przybędzie, ale tymczasem jej nie ma i próżno człowiek wiadro zapuszcza — nic nie wyciągnie. Sądzę, że nie będziecie zaprzeczali mojemu zdaniu, iż Siła ma taką córeczkę, która się zowie Osłabienie.

— To jest prawda.

— Więc wychodząc z tego punktu, przyznacie, że dyabeł, chociaż zawsze jest zdrow, jak byk i nigdy nie choruje, miewa jednak chwile osłabienia. Przyznajecie?

— Owszem, wasze rozumowanie jest zupełnie dobre, przyznaję; tylko chcecie mi powiedzieć, z kąd my, nie doktorzy, ale zwyczajne czarnobłockie

żydki, przyszedliśmy do tego konsylium nad dyabelskim zdrowiem i co nam z tego interesu przyjdzie?

— Powoli, Mojsie, powoli. Pod wpływem wielkiej radości, wasz umysł cokolwiek stępniał, tak samo. jak dobrze wyostrzony i zahartowany nóż stępniałby, gdyby go w ogień włożono.

— Nic nie rozumiem.

— A przecież to takie proste. Skoro powiedzieliście, że wasza żona tak okropnie przeklina, tak się na tego goja zawzięła, to mnie zaraz przyszło na myśl dyabelskie zdrowie i zaraz zrozumiałem, że nasz wróg szatan chwilowo wpadł w stan osłabienia. Wy sobie to dobrze zapamiętajcie, Mojsie, i jeżeli macie trochę rozumienia rzeczy, nie zamykajcie prawego i lewego oka jednocześnie; nie zaszkodzi, jak jedno będzie zawsze trochę otwarte. Nie radzę wam też spać zbyt twardo, ani oddalać się od domu zbyt daleko, gdyż szatan, chwilowo osłabiony, może swoją siłę odzyskać. Mądrej głowie, jak wasza, Mojsie, nie potrzeba dużo gadać, prawda?

— Aj, Uszer, Uszer, wyście mi otworzyli, nie powiem jedno oko, ale dwa! Słusznie powiada przysłowie, że nie każdy śpi, kto chrapie. Wy jesteście bystry człowiek, Uszer, i widzę, że znacie się na kobietach, jeżeli nie lepiej, to równie dobrze, jak ja na próbie wódki.

Długo jeszcze trwała rozmowa na ten temat

i późno już było, gdy się dwaj przyjaciele, powróciwszy do miasteczka, rozeszli.

— Dobranoc wam, Uszer! — rzekł Mojsie.

— Dobranoc wam, Mojsie! A pamiętajcie o tym gałganie, że on jest tylko chwilowo osłabiony.

— Bądźcie spokojni. Niech-no on przyjdzie do siły, to ja zaraz przebudzę w sobie lwa — i pokażę swoją sztukę.

ROZDZIAŁ XIV,

*opowiadający, dlaczego pan Borecki kazał konie
wyprządz i po co ciotka Gertruda posyłała
Błażeja.*

Wiosna, coraz milej uśmiechając się do ziemi, poruszyła całą ludność wiejską. Mało kto w domu siedział, wszyscy dążyli na pola, do ogrodów, do pracy. Nawet osłabiony starzec wywłóczył się przed dom, na powietrze, na światło, a nie mogąc wraz z innymi jąć się ciężkiej roboty, chociaż kartofle przebierał, lub drobne narzędzia naprawiał, nie mogąc się oprzeć wezwaniu. Bo na wiosnę wszystko człowieka woła i wabi.

Zieleniejące drzewa, promień słoneczny, woda w rzece, ptak śpiewający, pierwszy kwiatek, wszystko, wszystko woła na człowieka: wstań i idź!

Wstaje więc człowiek i idzie do pług, do bro-

ny, do siewu, na nowy chleb pracuje, bo mu już rychło starego zabraknie. Ruch się na polach robi. Z pastwisk dolatują odgłosy fujarek, a często i od zagonów wiatr na skrzydłach swoich dźwięki prostej, niewyuczonej pieśni przynosi.

To jest taki czas, w którym się wszystko budzi: od ziemi, co w śnie zimowym spoczywała, do motyla, do najdrobniejszej muszki...

W Brzozówce ruch się także zrobił, jak wszędzie.

Pan Borecki po całych dniach był w polu, ciotka Gertruda przy ogrodach warzywnych, przy oborze, przy najrozmaitszych zatrudnieniach, jakie ta, niecierpliwie przez wszystkich oczekiwana pora roku, przynosi.

Panienki objęły, jak co rok, ogród w posiadanie. Ten do nich należał i panowały w nim niepodzielnie.

Ciotka dawała im kilka dziewczyn do pomocy i zaczynało się kopanie, grabienie, sadzenie, a nieustające narady nad kwestyą, jakby ten, ich opiece wyłącznie oddany zakątek przyozdobić?

Zazwyczaj, co roku, o takiej porze, panienki wydobywały z różnych skrytek nasiona, cebulki, kłącza różnych roślin, bardzo osobliwych, odznaczających się jakimiś zaletami nadzwyczajnymi, a było przytem niemało śmiechu i przekomarzania

się, gdzie to posadzić, a gdzie tamto, co na tej, co na owej zasiać rabacie?

I w tym roku dziewczęta pracowały w ogrodzie; Jadwinia z zajęciem wielkiem, Zosia obojętnie.

Było jej wszystko jedno, gdzie ma być rezeda, gdzie balsaminy, lub gwoździki, a na zapytania siostry, odpowiadała półgłosem:

— Jak chcesz, jak uważasz, jak ci się podoba. Niecierpliwiło to Jadwinię.

— Doprawdy, Zosiu — rzekła — ja ciebie nie rozumiem. Czemu się tak ciągle martwisz i wzdychasz?

— Niby to nie wiesz...

— Właśnie że wiem i dlatego się dziwię. Ciotka za tobą...

— I cóż z tego, kiedy ojciec nie jest za mną.

— Więc i cóż? Ojczulek zły nie jest, jak go zaczniesz prosić gorąco a serdecznie, nie będzie cię przymuszał. Żebym ja była na twojem miejscu, umiałabym sobie radzić. Ty tylko wzdychasz i płaczesz po kątach.

— Bo jestem bardzo, bardzo nieszczęśliwa...

— A ja ci mówię, że wszystko idzie ku lepszemu.

— Nie widzę ja tego, siostrzyczko.

— Bo masz ciągle oczy zapłakane. Ale ja widzę za ciebie. Tu się coś dzieje!

— To, co i zawsze.

— A ja ci mówię, że nie to, co zawsze; ale coś nowego, coś takiego, co ci wyjdzie na dobre.

— Ale cóż właściwie?

— Ja nie wiem dokładnie, lecz widzisz, są znaki, które dają dużo do myślenia.

— Szczególna rzecz, że ty zawsze widzisz to, czego inni nie widzą.

— Mylisz się, Zosiu, to, o czym myślę, widziało chyba ze stu ludzi, co mówię stu... więcej!

— W całym folwarku tyłu nie ma.

— Bo też to było nie na folwarku, tylko koło kościoła. Wczoraj. Nie wiem dlaczego nie chciałaś z nami jechać i wymawiałaś się bólem głowy, chociaż nie bolała cię wcale.

— Wolalam się pomodlić w domu, aniżeli narażać się na spotkanie z panem Różańskim.

— Nie był.

— Ale mógł być. Jest prawie co niedziela.

— A niech go tam! Teraz słuchaj. Wczoraj nie mogłam ci opowiedzieć, bo ciągle ktoś był, a wieczór spać mi się chciało, więc dziś zdam ci relację. Po nabożeństwie ojciec rozmawiał z proboszczem. Przyłączyło się jeszcze kilku sąsiadów-dzierżawców, kilku panów z zarządu dóbr. Jeden opowiadał widać coś bardzo ciekawego, bo wszyscy słuchali uważnie, a już najbardziej ojczulek. O! marszczył brwi i targał wąsy, jak to zwykle robi, kiedy jest zirytowany. O czym mówili, do-

kładnie nie wiem, ale ciągle słychać było: Zatrąceniec, Różański, żydzi... Jak mi się zdaje, nic dobrego o tym Zatrąceniu nie mówiono. Ciocia rozmawiała przez ten czas z panią Zawadzką, a ja z twoim panem Stanisławem.

— Z moim ?

— Ach, nie przerywaj, kiedy mówię z twoim, to z twoim, to znaczy, że ja ci go nie odbieram. Kiedy się panowie rozeszli, ojciec zbliżył się do nas, bardzo grzecznie przywitał panią Zawadzką, Stasiowi, ach, przepraszam, panu Stanisławowi, podał rękę.

— I?...

— No i nic. Pojechaliśmy do domu. Ojczulek z ciotką umieścili się w bryczce na siedzeniu, ja, jak zwykle, nawprost nich, na przodzie. Przez całą drogę i ojciec i ciotka nie wymówili ani jednego słowa; ojczulek wciąż brwi marszczył i wąsy przygryzał. Widzisz więc, jakie są znaki.

— Jak cię kocham, Jadwiniu moja, nic nie widzę.

— A! jeszcze ci mało? Słuchaj więc dalej. Po obiedzie ty wyszłaś, ja pomagałam Kasi sprzątać i słyszałam najwyraźniej, jak ojczulek mówił do ciotki: „Pani siostró, jest zmartwienie i duże. Pełne uszy mi nakładli.“ Te słowa słyszałam i powtarzam najdokładniej.

— Cóż ciotka?

— Wzruszyła ramionami i rzekła: „Może to plotki, chociaż w każdej plotce znajduje się zawsze jakaś cząstka prawdy.“ Tyle tylko — więcej nie już nie rozmawiali. Ale po obiedzie była długa narada. Ojciec bardzo się irytował; rozkładał rękami, targał wąsy. Ciotka zaś była w doskonałym humorze, ciągle się śmiała, wreszcie ojciec trzasnął mocno drzwiami i wyszedł. O czem rozmawiali, nie mam pojęcia, bom z trzeciego pokoju przez drzwi otwarte słyszeć nie mogła, ale ruchy wszystkie widziałam doskonale i powiadam ci, Zosiu, są znaki, o! są!

— Ach! moja droga, żeby to można jakim sposobem dowiedzieć się od cioci...

— Myślisz, zem nie próbowała?

— I cóż?

— Na nic. Ciotka oświadczyła mi wręcz, że to do mnie nie należy i że nie powinnam się wtrącać w nieswoje rzeczy. Mój Boże! jakby twój los, twoje szczęście, były dla mnie nieswoje rzeczy! Usłyszałam też przy tej okazji, że jestem dzieciak, bęben i że najwłaściwszem dla mnie zatrudnieniem jest szycie i cerowanie. Czy ja jeszcze mało szyję? O, patrz, cały palec mam podrapany i pokłuty. Swoją drogą, nasza ciotka, nawet wówczas, gdy się gniewa, nie jest zła, gdyż powiedziała, że w swoim czasie dowiemy się o wszystkim. Nie ma więc co, Zosiu, zdobądźmy się na cierpliwość i czekajmy.

Jak myślisz, czy tu będzie właściwe miejsce dla gwoździków?

— Co mnie teraz gwoździki obchodzą? Czy tu będą, czy gdzieindziej, to mi zupełnie wszystko jedno.

— A przepraszam, moja siostró, tak nie idzie. Według mnie, nie masz już powodu do zmartwienia; z tym Zatraceńcem coś niedobrego się zrobiło. Ja to czuję, ja wierzę w znaki.

— O jakich ty znakach ciągle mówisz, moja kochana?

— Widzisz, Zosiu, mam takie przekonanie. Naprzód zwykle śnieg ginie i lód topnieje, rola zaczyna się czernieć, przylatują skowronki, za skowronkami niedługo zjawiają się bociany, potem jaśkółki i różne ptaszki, trawa się zieleni, na wierzbinię ukazują się kotki, na agrestie malutkie listki, można już zbierać fijołki...

— I cóż ztąd?

— Co? To są, kochanie, znaki, po których łatwo poznać, że idzie wiosna, że będzie coraz milej, coraz piękniej na świecie. Otóż te znaki, o których ci mówiłam poprzednio, zdają się być zapowiedzią twojej wiosny. Ja mam takie przecucie, Zosiu — i doprawdy, co nam po wielkiem państwie, po cudzych sukcesach i majątkach, dość dla nas tego, co mamy.

Zbliżyła się do siostry, objęła ją, ucałowała

serdecznie, a potem obie pochyliły się nad rabatką i z różnych torebek, woreczków, paczek, wydobywały nasiona, aby je w ziemię rzucać.

W tym samym czasie Borecki, powróciwszy z pola, kazał zaprządz konie do bryczki. Usłyszawszy to panna Gertruda, porzuciła robotę i pobiegła do brata.

— Podobno pan brat wyjeżdża? — zapytała.

— Tak, pani siostrze, wyjeżdżam do...

— O, nie pytam dokąd? Idzie mi tylko o to, kiedy wrócisz, czy mamy czekać z obiadem?

— Zaczekajcie... albo nie, nie trzeba. Zresztą, jak chcecie.

— Nie jak my chcemy, ale jak brat sobie życzy. Cóżby to był za dom, w którym nie stosowaliby się do woli gospodarza?

— Kiedy w samej rzeczy, pani siostrze, ja nie wiem, może wrócę prędko, może zabawię dłużej; jak wypadnie. Droga niedaleka, lecz...

— Panie bracie, nie jesteś szczery ze mną, to źle?

— Ależ...

— Źle, źle! Masz, oprócz dzieci, jedyną istotę życzliwą na świecie i nie powinienbyś ukrywać przed nią...

— Kiedyż-bo ja nie mam nic do ukrywania...

— A przepraszam, chociaż ja jestem kobieta,

ale swojemi babskimi oczami widzę więcej, niż się bratu zdaje.

— I cóż siostra widzisz?

— Wybierasz się do Różańskiego...

Borecki szarpnął siwe wąsy i zaczął chodzić po pokoju.

Pani Gertruda patrzyła na niego przez chwilę, wreszcie rzekła:

— Dlaczego pan brat nie zaprzecza?

— No tak, nie zaprzeczam, jadę, alboż mi nie wolno?

— Zapewne, że wolno. Ale czy wolno głupstwa robić, to znowuż inne pytanie...

Borecki zaczął tracić cierpliwość.

— Pani siostra impertynencye mi mówi.

— Bo jestem siostra! Mnie też przykro, ale sumienie mi nakazuje ostrzedz.

— Przed czym? Co mi zagraża?

— Sam sobie zagrażasz. Potrzeba to w nie-swoje rzeczy się wdawać?

— Ale...

— Nie, panie bracie, Bogu dzięki, ślepa nie jestem. Widzę, co się święci, a z kilku słów twoich odgadłam zamiary. Jedziesz do Zatraceńca, chcesz Różańskiego ratować, niepytany i nieproszony.

— No, więc cóż? Tak, chcę go ratować, bo chwilowo on tego ratunku potrzebuje.

— Chwilowo?

— Oczywiście. Sukcesyę odbierze i to, co mu dziś dam, wróci.

— Proszę!

— Dlaczego nie mam dopomódz? Chłopak dobry i sąsiad. Potrzeba jest chwilowa, a mogą go zniszczyć. Powiada siostra, że pomagam nieproszony. Prawda, nie żądał tego, ale sam widzę, w jakich jest opałach. Pani siostra, chociaż tak się rzucaś i, srożysz, zrobiłabyś to samo, co ja.

— A broń Boże!

— Nie wystawiaj się gorszą, niż jesteś. Mając wszelką pewność oddania..

— Aha! hipoteka, prawda? Pierwszy numer na księżycu.

— Bardzo przepraszam, są kapitały i majątek.

— Widział pan brat, liczył pan brat, co?

— Nie liczyłem, ale to rzecz wiadoma; wszyscy o tem mówią.

— Także dowód! O tobie, panie bracie, wszyscy mówią, żeś bogacz, a jesteś tylko zamożny. Nie, nie spodziewałam się po bracie, żeby tak bez namysłu lecieć, jak ćma w ogień. Jak mi Bóg miły, nie uchodzi. Skoro się już jest w latach, trzeba być uważnym i rozważnym, dotrzeć do źródła, przekonać się, sprawdzić. Są ludzie, którzy się takiej zasady trzymają.

— Cóż to za ludzie!

— Choćby, nie chwając się, ja! Baba jestem,

a biore się do rzeczy inaczej, niż ty, mężczyzna. To też brat się łudzisz, a ja wiem dokumentnie...

— Co pani siostra wie, co pani siostra wiedzieć może?

— A, panie bracie, przepraszam, co zrobiłam, to dla twego dobra i twych dzieci. Pan brat byłeś zaślepiony, więc ja musiałam mieć oczy otwarte za nas oboje.

— Ale nareszcie niech usłyszę, co właściwie pani siostra wie, jakie odkrycie zrobiła?

— Takie, że twój protegowany kawaler jest bankrut, że sukcesya, jaką ma otrzymać...

— Więc jest jednak sukcesya?

— Jest, ale tak mała, że na opłacenie połowy jego długów nie wystarczy... Chciał panicz skorzystać z rozgłosu, jaki zrobiono, zawrócić głowę panu Boreckiemu i wziąć jego starszą córeczkę z posagiem. Wcale nie głupia myśl i byłaby się niezawodnie udała, wbrew woli Zosi, ale, na szczęście, panna Borecka ma ciotkę, która zginąć jej nie da. Panie bracie, to, co ci mówię, jest szczerą prawdą, rzetelną. Panie bracie, zastanów się! Dziecka nie gub, a pieniędzy w błoto nie rzucaj, bo na nie ciężko pracowałeś i nikt ci ich w podarunku nie dał...

Chwilowo nastąpiła cisza. Borecki był przekonany, że siostra ma słuszość, ale nie chciał się przyznać do tego. Wstyd mu było, że kobieta oka-

zała więcej przezorności, niż on, który za bardzo przezornego się uważał. Sam nieraz mówił, że musi bardzo rano wstać ten, kto chce Boreckiego oszukać, tymczasem Różański ani rano nie wstawał, ani starań wielkich nie dokładał i... jednak...

— A, pani siostró, skoro tak powiadasz — rzekł — chciałbym ci wierzyć, ale proszę, dajże mi jakiś dowód, niech będę przekonany.

— Bracie, daję ci słowo uczciwe; jak cię kocham, jak twoje dzieci kocham, a wierz mi, że to jedyne moje ukochanie na świecie. Wierzysz?

— Wierzę.

— Ale nie poprzestaję na słowie, dowód ci dam.

— Jaki?

— Otóż widzisz, kiedyś ty się łudził, ja miałam jakieś przeczucia; mnie dziwne się wydały te pogłoski i ten nagły afekt dla Zosi. Póki był biedny, nie starał się o nią, naraz, mając dostać sukcesy, zakochał się szalenie. O, gdyby istotnie wielki majątek na niego miał spaść, wielka fortuna, to onby na twoją córkę nie patrzył! Pani-by szukał, ale nie dziewczynki skromnie wychowanej; do pałaców-by szedł, nie do zwyczajnego dworku. Możeby o jaką bogatą żydówkę konkurował. Wiedziałam, że moje słowo pana brata nie przekona, bo choć opowiadacie dziwne rzeczy o kobiecym uporze, ale ja mam to przekonanie, że upór męski prze-

szedł dziesięć kobiecych, postarałam się przeto o dowód.

— Jakim sposobem?

— Posłałam kogoś na miejsce, aby obejrzał to nadzwyczajne dziedzictwo i dowiedział się, ile ono warto.

— Zapewne użyła pani siostra jakiego żyda?

— Nie, panie bracie, posyłałam dziada, Błażeja Pokrzywę. Dowłókł on się na miejsce, wszystko zbadał i spenetrował doskonale, ze szczegółami najdrobniejszymi i obszerną relacją mi zdał. Przyjdzie on tu jeszcze dziś po południu, może brat zechce go wybadać i rozmówić się z nim. Warto, do prawdy. No, powiedziałałam już wszystko, zrobiłam, co do mnie należało, odchodzę; niech się pan brat zastanowi i niech postępuje dalej, jak uważa.

Z temi słowy ciotka Gertruda wyszła. Borecki pozostał sam w pokoju. Doznawał on bardzo przykrych wrażeń, bo i plany względem córki, jakie zaprojektował sobie i ułożył, obracały się w nic — i zawód doznany go bolał.

Borecki polubił młodego dzierżawcę, a wyobrażał sobie, że będzie miał z niego pociechę; nie mając syna, pragnął mieć zięcia według swojej myśli i mniemał, że właśnie Różański takim synem przybranym dla niego się stanie.

Słowa siostry rozwiały złudzenia. Borecki marszczył się, targał wąsy, wreszcie przez otwarty

lufcik zawołał na stangreta, żeby odjechał do stajni i konie wyprzął. Następnie schował do biurka gruby, dobrze naładowany pugilares i poszedł do zwykłych swoich zatrudnień, na folwark.

Podczas obiadu był milczący, jak grób. Do siostry i do córek nie przemówił ani słowa, prawie nic nie jadł i zaraz po obiedzie w pole poszedł.

Za bramą spotkał Błażeja, wlokącego się do dworu.

Sam go zaczepił i ze dwie godziny na skwarze słonecznym z nim rozmawiał.

Ludzie folwarczni, widząc to zdaleka, wydziwić się nie mogli, o czem pan, zazwyczaj małomówny, może z takim dziadem, obieżyświatem, tak długo rozmawiać?

Tegoż dnia wieczorem ciotka zawołała Zosię do siebie i uściskawszy ją, rzekła:

— No, winszuję panie, jesteś nareszcie swobodna. Nie wyda cię ojciec.

— O, moja ciociu jedyna!

— Nie dziękuj. Nie ma za co. Tak się stało, bo tak musiało się stać.

— Więc już, ciociu, on nigdy tu nie przyjedzie?

— Tak przypuszczam.

— I nie będzie mnie prześladował swemi czułościami?

— Chyba przez imaginację...

— Ciociu, proszę cioci...

— Ciekawam, czego jeszcze chcesz?

— Czy, proszę cioci, ja... to jest, moja ciociu, niech się ciocia nie gniewa...

— Ależ czego, o co?

— Czy ja mogę myśleć o...

— Ile ci się tylko podoba.

Z okrzykiem radości Zosia rzuciła się ciotce na szyję i zaczęła ją ścisnąć i całować.

— Co robisz, waryatko! — wołała stara panna, wrywając się z objęć siostrzenicy. — Roztrzęsiesz starą ciotkę, a w takim razie, któż cię ze złej przygody wyratuje, co?

Na drugi dzień, w ogródku, w którym pracowały panienki, było bardzo wesoło, coraz to słychać było śpiew, żywą rozmowę, wybuchy srebrnego śmiechu.

Niby ptaszki, wypuszczone z klatki na wolność, radowały się siostry; ciotka, patrząc na nie, uśmiechała się tryumfująco, tylko pan Borecki smutny był i zamyślony. Nie bolała go już strata korzystnych widoków materialnych dla dziecka, lecz to mu było przykro, że zawiódł się na człowieku, do którego taką powziął sympatyę.

ROZDZIAŁ XV,

*o Berku Dyszlu, sławnym woźnicy czarnobłockim,
tudzież o bardzo przyjemnej majówce, na której
królowała piękna Małka.*

Ponieważ w Czarnembłocie wszystko było znakomite, wspaniałe i sławne, przeto i główny furman nie mógł być ladajaki. Byli wprawdzie podrzędni, ordynaryjni, zwyczajni, jak naprzykład Chune Drąg, Lejbuś Maźnica, Gdal Błotnik, ale prym wśród nich trzymał Berek Dyszel.

On miał najwięcej koni, on miał wozy, przysposobione do kursów pasażerskich lekkich, lub towarowych, chociaż najczęściej urządzał pociągi mieszane, w tem słusznem przekonaniu, że towar nie przeszkadza osobom, ani osoby nie szkodzą towarowi. Czasem, gdy chodziło o nadzwyczajny pośpiech, Berek Dyszel umiał wyspekulować ekwipaż lekki, a jednak tak pakowny, że mogło w nim sie-

dzieć wygodnie ośmnaście osób, nie licząc właściciela, a swoją drogą, jeżeli w czasie podróży trafił się przygodny pasażer, to i dla niego znajdowało się miejsce dość wygodne, na drążku, lub w kielni, napelnionej sianem.

Do takiego ekwipażu, na żądanie podróżnych, Berek dodawał budę płócienną na drewnianych obręczach i, trzeba mu oddać sprawiedliwość, dodatkowej opłaty za to już nie wymagał.

Głównie bryka Berka odbywała kursa pomiędzy Czarnemblemem a stacją drogi żelaznej, gdy jednak trafiło się żądanie na drogę boczną, do Kopytkowa na jarmark, albo też na wieś gdzie niedaleko, Berek, wytargowawszy możliwie dobrą zapłatę, wypuszczał ekstra-pociąg.

Uprzejmością Berek Dyszel nie odznaczał się, nawet był trochę gburowaty i nie miał delikatnego, politycznego wychowania, ale posiadał praktyczny rozum; znał się na koniach, wiedział, gdzie i po czemu owies, gdzie niedrogie siano i który kowal robi najlepsze podkowy.

Umiął też przepowiadać pogodę i jeżeli spodziewał się deszczu, to można było być pewnym, że deszcz będzie.

Koni posiadał trzy, ale lubił się chwalić, że ma ich aż dwanaście.

— Proszę rachować — mówił — kary koń, biały koń i kasztanowaty koń, to trzy; ślepy koń,

spleczony koń i dychawiczny koń — to sześć; wielki koń, średni koń i mały koń, to już dziewięć, a leniwy koń, gorący koń i znarowiony koń — to dwanaście...

W rachunku tym fałszu nie było, lecz szczerą prawdą, od karego aż do znarowionego.

Jednego dnia wieczorem, Berek siedział na progu przed swoją izbą, palił fajkę i rozmyślał, gdy przybiegł do niego zadyszany Mojsie Fisch.

— Dobry wieczór wam! — rzekł.

— Dobry rok!

— Jedziecie jutro do kolei?

— Co wam do tego?

— Chcę wiedzieć. Czy nie wolno zapytać?

— Owszem, wolno; komu innemu nie powiedziałbym ani tak, ani siak, wam jednak powiem: ja jutro do kolei nie jadę, aż dopiero pojutrze.

— To bardzo dobrze, ja wam nastęcę zarobek.

— Naprzykład?

— Zawieziecie kilka osób do Zatraceńca. Trzeba wyjechać rano, ażeby tam stanąć na dziesiątą, a najwyżej na jedenastą. Interes jest terminowy i dlatego przychodzę do was, bo jesteście znani w całym mieście, jako człowiek w swoim fachu grubo honorowy i akuratny.

— To prawda jest. Ja wolę ochwacić konia, aniżeli mieć feler na honorze. Do Zatraceńca jest

dwie mile drogi i miejscami piasek. Kogo mam tam zawieźć?

— Parę osób...

— Naprzykład?

— No, ja, moja żona, Jankiel Bas, Dawid Śliwka, Hil Glancman, Uszer Engelman, Nuchym Grynszpan, Mordko Ryps, jego żona też, Chaim Berek Zastawnik, Michel Smutny, Judka Migdał, Judkowa także, Szulim Łokciowy i może jeszcze parę pasażerów.

— Co ma być w Zatraceńcu, wesele?

— Trochę zgadliście, trochę nie; nie będzie wesele, tylko licytacya i radzę wam wziąć z sobą cokolwiek pieniędzy; będziecie mogli kupić tanio bardzo porządnego konia. Zgódźcie wy się ze mną za tę furmankę hurtem. Ja od was wynajmuję i dobrze wam zapłacę, trzy ruble, jak jeden grosz, a gdy powrócimy szczęśliwie, poczęstuję was dużym kieliszkiem mocnej, sprawiedliwej wódki. Znaście trochę mój honor.

— Ja wam coś powiem, Mojsie — odrzekł Berek — idźcie wy z waszym hurtem, honorem i kieliszkiem wódki do pierwszego lepszego rowu i złamcie sobie nogę.

— Tfy! Co wy za grubianin jesteście! Nie potraficie powiedzieć kilku wyrazów bez przekleństwa! Prawdziwie bałagulska natura i paskudne przyzwyczajenie.

— Jak wam się nie podoba bałagufa, to idźcie do zegarmistrza; niech on wam da porządną furę do wyjazdu.

— Co będziemy próżno klektali, zgodzicie się hurtem, czy nie?

— Albo ja waryat? Chcecie, żebym za trzy ruble zawiózł wszystkich żydków z miasta do Zatraceńca? Berek nie jest głupi. Zgódźcie się od osoby, a jeżeli nie, to idźcie sobie złamać obie nogi!

— Szkaradna gęba! Po czemu chcecie? Mówcie, jak człowiek!

Berek wymienił liczbę, Mojsie podzielił ją przez trzy — i obydwaj natychmiast skoczyli sobie do oczów, a potem besztali się nazwzajem z przyzwoitej odległości; Mojsie dorzucił pięć procent, Berek tyleż opuścił i tak postępując, opuszczając znowuż, zbliżyli się jeden do drugiego, aż wreszcie nastąpiła zgoda zupełna.

Stanęło na tem, że nazajutrz rano, skoro tylko dzień się zrobi, Berek furą, zaprzęzoną w trzy konie, zajedzie przed „Zielonego łabędzia,“ gdzie całe towarzystwo oczekiwać będzie.

Nazajutrz ranek był prześliczny, słońce jaśniało wspaniale. Czarnebłoto kąpało się w blaskach. Uszer Engelman mówił, że mało w życiu swoim widział dni tak pięknych i rozkosznych, ale też nie codzień bywa święto i nie codzień licytacya.

Aczkolwiek niehandlujący i prawie wyłącznie myśleniu i księgom oddany, Uszer postanowił jednak pojechać do Zatraceńca. Skłaniało go do tego kilka chęci, a mianowicie: chęć użycia przejażdżki przy pięknej pogodzie i w dobranem towarzystwie, chęć zabawienia się na takim przyjemnem widowisku, jakim jest każda licytacya wogóle, i wreszcie chęć kupienia jakiego przedmiotu tanio i spieniężenia go następnie, tak, aby opłaciły się koszta podróży i parę rubli pozostało w zysku.

Kapitał, na ten cel potrzebny, dała sama pani Uszerowa, ale nie dowierzając zdolnościom finansowym swego małżonka, prosiła Małkę, żeby rozciągnęła nad Uszerem kontrolę i nie pozwoliła mu ani hazardować zawiele, ani też nabywać takich przedmiotów, których zbyt nie jest pewny.

Małka przyrzekła, że mieć będzie nad całą działalnością Uszera baczne oko i że Mojsie Fisch nie odstąpi go ani na krok. Wprawdzie Mojsie Fisch nie jest to wielka głowa do interesów, ale obadwaj, razem wzięci z Uszerem, znaczyć mogą tyle, co pół porządnej głowy, a bystre oko Małki dopełni reszty — i z tych dwóch głów i tego bystrego oka, zrobi się jedna głowa; nie wielki cymes, nie nadzwyczajność, ale taka oto sobie, średnia głowa żydowska.

Kiedy Berek zajechał przed „Zielonego łabędzia,” była godzina siódma rano. Zanim pasażer-

rowie zebrali się, zanim opłacili Berkowi należność za jazdę, zeszło do godziny ósmej.

Wystąpiły na porządek dzienny kwestye wytartych trojaków, fałszywych dziesiątek, był gwałt lepszy, niż na jarmarku, ale jakoś ułożyło się przecież.

W każdym interesie musi być trochę sprzeczki, a potem, jak już sprzeczka przeminie, nastaje zupełna zgoda, harmonia i grzeczność.

Kilkanaście osób pomieściło się na lekkim ekwi-pażu Berka. Nie było im zbyt przestrono, owszem, mogli się nawet skarżyć na ciasnotę, ale tę małą niedogodność wynagradzało sownie przyjemne towarzystwo, w każdej wogóle podróży bardzo miłe i bardzo chętnie widziane.

Berek, policzywszy w myśli, ile jest osób i skombinowawszy w pamięci, czy wszystkie należność opłaciły, zdjął koniom torby ze łbów i wzięwszy lejce do ręki, wgramolił się na przodek wasąga, poczem, obejrzawszy się uważnie po za siebie, w celu sprawdzenia, czy jaki bezpłatny pasażer i licytant z tyłu wozu się nie przyczepił, śmignął konie biczem i fura potoczyła się po nierównym bruku.

Do samej rogatki siedząca na wozie publiczność zachowywała się cicho, dlatego, że Berek, chcąc pokazać swoją sztukę, ruszył z miejsca bardzo ostro, skutkiem tego zrobił się niesłychany turkot

i takie trzęsienie, że każdy pasażer o tem tylko myślał, jakim sposobem na wozie się utrzymać.

Dopiero za rogatkami, gdy fura znalazła się na piaszczystym gościńcu, a rozpędzone konie utraciły już swój nadzwyczajny fajer, zaczął się przyjemny dyskurs, w którym całe towarzystwo żywy przyjmowało udział.

Pani Rypsowa, utrzymująca sklep towarów łocciowych, kobieta pospolitego umysłu, o szpetnej twarzy, ale bardzo zazdrosna i złośliwa, odezwała się do Małki:

— Dla pani ta dzisiejsza podróż zapewne przyjemna nie jest?

— Z jakiej racyi ma być dla mnie nieprzyjemna? — odrzekła Małka. — Chwała Bogu, ciepło jest, słońce świeci, a fura Berka jest tak bardzo wygodna, że nietylko ja, młoda, ale nawet stare, plotkarstwem tylko zajęte baby, mogą na niej jechać, bez niebezpieczeństwa dla swoich delikatnych kości.

— Ślicznie pani Małka powiedziała i nie ma się czemu dziwić. Taka ładna buzia sławna jest na całe Czarnebłoto, a nawet na szeroką okolicę. Ha! ha! O takiej buzi dużo mówią, a skoro o niej mówią, to i ona także chce swoją sztukę pokazać.

Małka nie pozostała dłużna w odpowiedzi.

— Różne są buzie na świecie — odrzekła —

jedne ładne, kto na nie spojrzy, to mówi — inne brzydkie i o tych nikt nie mówi, bo nie ma czasu.

— Jakto nie ma czasu?

— Gdyż spojrzawszy na taką, musi przedewszystkiem... splunąć.

Wszyscy podróżni wybuchnęli śmiechem, a pani Rypsowa wpadła w pasyę i zaczęła miotać straszne przekleństwa. Przytem twarz jej, rzeczywiście nie bardzo piękna z natury, wydawała się przerażającą.

— Żmijo!

— Gadzino!

— Ty współniczko szatańska!

— Ty stara czarownico! Oby twój język zmienił się w kołek drewniany!

— Widzieliście ją!

— Cicho, cicho! — wołał Jankiel Bas.

— Uspokójcie się, to niepięknie jest! — reflektował Uszer Engelman.

— Ona taka harda, że jedzie do swojego puryca! — wrzeszczała na cały głos pani Rypsowa.

— Dość, dość już!

— Jakto? W porządnem towarzystwie, jadąc na bryczce, robić takie brewerye!

Berek wdał się w sprawę.

— Kto — zapytał — zapłaci mi za to, że moje konie od tego wrzasku ogłuchną?

— Cicho! cicho, sza!

Z wielkim trudem udało się uspokoić wzburzone umysły. Na szczęście, z bocznej drogi od Kopytkowa, nadjechała także fura, pełna żydów.

— Dokąd jedziecie?

— Do Zatraceńca.

— I wy także?

— Co chcecie? Pan Bóg daje licytacje dla wszystkich.

— Prawda, ale spodziewamy się, że nie zechcecie nam psuć interesu?

— Nie ma o czym mówić, zrobmy współkę.

— Zrobmy współkę — rzekł Jankiel Bas. — Tak postępowali nasi dziadkowie, nasi ojcowie, tak należy robić i nam. Jakie są wasze warunki, ile chcecie zarobić?

Na obydwóch furach zrobił się taki wrzask, iż nie można było dojść, o co chodzi.

Jankiel Bas wrzeszczał na całe gardło:

— Cicho, cicho, powoli! Niech jeden mówi. Kto jest u was głównymacher do tego interesu?

— Icek Szpindler.

— Bardzo dobrze, owszem. Szpindler jest znany, jest osoba, niech Szpindler złazi z fury.

— Niech Jankiel złazi też.

Dwaj delegaci wygramolili się z wozów i zaczęli pertraktacje na stałym gruncie, na piasku.

Narada trwała niedługo; w kwadrans stanęła

ugoda i następnie dwie fury, niby dwa wielkie okręty, popłynęły po piasku, w stronę Zatraceńca.

Uszer Engelman odezwał się do Mojsia, że wycieczka na licytację jest bardzo przyjemna, o ile swarliwe niewiasty nie psują jej uroku.

Odrzekł na to Mojsie, że sama wycieczka, sama podróż, to jest nic, w porównaniu z rozkoszą, jaką daje licytacja.

— Obaczycie — rzekł — i przekonacie się, że to jest zabawa o wiele lepsza, niż wesele...

Gdy fury wjechały na dziedziniec w Zatraceńcu i zatrzymały się przed dworkiem, cała gromada pasażerów wnet rozsypała się po pokojach, po zabudowaniach, po folwarku.

Opozycja służby niewiele pomogła, bo świat handlowy czarnobłocki i kopytkowski, gdy idzie gromadą, odznacza się wielką śmiałością i odwagą.

Nieproszeni goście wtargnęli do stajen, do obór, do pokojów, oglądali inwentarz, meble, drobiazgi.

Różańskiego nie było. Pojechał on raniutko do trzeciego miasteczka, w nadziei, że choćby na najgorszych warunkach dostanie pieniędzy i zażegna katastrofę, ale doznał tego samego losu, co Rokita i Wasążek. Mówić z nim żaden kupiec nie chciał, wszyscy odsyłali go do Jankła Basa i Małki.

Zrozpaczony powracał do domu, a pędzić kazał, co koń wyskoczy, bo mu się zdawało, że może je-

szcze w ostatniej chwili zajdzie jakaś okoliczność nadzwyczajna, stanie się cud...

Kiedy stangret osadził spienione kasztanki przed domem, przystąpił z wielką powagą Berek Dyszel i ująwszy jednego z nich za chrapy, chciał mu w zęby zajrzeć. Przestraszony koń stanął dęba, a stangret krzyknął na Berka:

— Ustąp!

— Ty sam ustąp, gałganie jeden, ty parobku! — wołał Berek. — To moje konie! Dlaczego je tak zmęczyłeś, paskudniku?

Różański zirytowany, blady, zeskoczył z bryczki i pochwycił Berka za brodę. Na szczęście, znajdujący się w pobliżu kasyer zarządu dóbr, który z obowiązku na licytację przybył, wziął młodego człowieka na stronę.

— Panie — rzekł — nie irytuj się napróżno. To ci już, biedaku, nic nie pomoże. Niech zaczynają, a im prędzej się to skończy, tem lepiej. Wybacz pan, że ja tu jestem, ale rozumiesz... obowiązek.

Różański wpadł do mieszkania. Na kanapie siedziała Małka, na fotelach, na krzesłach, różni kupcy. Szwargotali oni bardzo wesoło, palili fajki i cygara, plując bez ceremonii na świeżo wywoskowaną posadzkę.

Młody człowiek odwołał Jankla na stronę. Coś

mu długo szeptał, przekładał, ale żyd obojętnie słuchał; w końcu wzruszył ramionami i rzekł:

— To dla mnie żaden interes. Pan ma tylko dwa sposoby: albo zapłacić wszystkie pretensye, albo dać sprzedać ruchomości.

— Więc niech sprzedają!

— Właśnie my po to przyjechali...

Spostrzegłszy Małkę, młody człowiek wydał okrzyk zdziwienia.

— I pani tutaj? pani?

— Dlaczego ja nie mam być tutaj? Panu należy się odemnie dawno wizyta.

— A doprawdy, miałem panią za coś lepszego, niż ta hałastra!

— Pan się myli, to nie jest żadna hałastra, to wszystko porządni ludzie i obywatele. Naprawdę, pan sobie za dużo pozwala... Że ktoś przyjeżdża odebrać swoją należność, to ma być hałastra?

— Widzę, że pani jesteś taka sama!

— Proszę mi nie ubliżać! Pan dobrze wiesz, kto ja jestem!

— Szelma pani jesteś i dość na tem!

Piękna Małka narobiła takiego wrzasku, że ją ledwie uspokojono, zaś pani Rypsowa zrobiła delikatną uwagę, że nawet taki goj, taki kapcan, którego licytują, może wymówić jednak mądre i pełne prawdy słowo.

Zaczęła się sprzedaż.

Ponieważ w pokojach strasznie panowie licytanci nadymili, przeto wyrzucono ich na dwór. Urzędnik, prowadzący licytację, kazał postawić stolik na ganku, woźny ulokował się na wysokiej ławie a wójt, przy pomocy sołtysa, utrzymywał porządek, przemawiając łagodnie, ale zarazem stanowczo:

— Nie pchajta się, cygany jedne! Odstąpta, łajdaki! Nażreta się jeszcze dość cudzej krzywdy!

Ponieważ Mojsie Fisch, usłyszawszy okrzyk: „Kto da więcej?“ — poczuł w sobie przebudzonego lwa i zaczął się okropnie rzucać, sołtys żelazną łapą ujął go za kołnierz i jak kociaka wyniósł z pośród gromady.

Biedny Mojsie i pożałowania godzien!

Ordynaryjny chłop zepsuł mu pierwszy smak uczyty i odepchnął go od głównego stołu; ale przebudzony lew ma siłę i niełatwo daje się pokonać, to też Mojsie obiegł gromadę dookoła i wypatrzywszy miejsce stosowne, wśliznął się znowu, jak wąż, aż do samego stołu.

Małżonka jego, trzykrotnie obrażona w tym dniu, z czarnych źrenic miotała pioruny. Była na obliczu czerwona, jak krew, chwilami zacinała usta i przygryzała je ze złości, to znów z gardła jej wydobywały się jakieś dźwięki chrapliwe, w których drgała chciwość i zemsta.

Mojsie, spojrzawszy na swoją małżonkę, przeko-

nał się dopiero, jaka to piękna i niebezpieczna zarazem kobieta.

Licytacya szła doskonale i prędko.

Z wielkim ogniem i zapalem kupcy czarnobłocy i ich wspólnicy z Kopytkowa dorzucali po kilka, kilkanaście groszy; a kiedy Jankiel Bas szepnął „sztyle“ — delikatne to słówko, niby iskra elektryczna, obiegało wszystkich obecnych i zaraz robiła się głucha, grobowa cisza, aż dotąd, dopóki woźny nie wykrzyknął:

— Po raz trzeci!

Po raz trzeci i ostatni! Na to hasło robił się znowu wrzask piekielny; do stołu przybliżało się dwóch, trzech, czterech wspólników, wydobywali z pugilaresów pieniądze, liczyli je, a tymczasem inni rzucali się do pokojów, chwyтали kupione graty i wynosili je na dziedziniec.

Nie obeszło się przytem bez kłótni, szturchańców i interwencyi sołtysa, który wyrazów zbyt wyszukanych nie dobierał, a i kułakiem sobie pomagał, żeby jaki taki porządek utrzymać.

Znowuż rozlegał się głos woźnego i znowuż krzyk, rzucone szeptem „sztyle“ — cisza grobowa, „po raz trzeci i ostatni!“ — nowy napływ tej fali burzliwej do wnętrza dworku, hałaśliwe wynoszenie sprzętów, gruby bas sołtysa.

Różański nie mógł znieść tego widoku. Uciekł do ogrodu; niech się dzieje, co chce, niech biorą,

grabią — wszystko skończone, ratunku nie ma żadnego.

Usiadł na ławce, oczy rękami zasłonił i nieruchomo siedział, zgnębiony, smutny, w najczarniejszych pograżony myślach.

Przed oczami jego wyobraźni przemknęła uroczą postać Zosi. Czemuż nie przestąpił wcześniej progu cichego dworku w Brzozówce, czemu nie szedł drogą prostą, bez obłudnej maski na twarzy?.. Wszystko, wszystko byłoby się ułożyło inaczej.

A teraz co? Co teraz? Kawalek ołowiu w skroń i koniec życia, czczego, pustego, nie pożytecznego nikomu. Jedna chwila i po wszystkim.

I na cóż tę chwilę odwrócić, na co czekać jeszcze, czego się spodziewać? Alboż jest inna droga wyjścia?

Jakby w odpowiedzi na to pytanie, czyjaś ręka dotknęła lekko jego ramienia.

Otworzył oczy. Przed nim stał kasjer dominalny, siwy, przygarbiony trochę staruszek. Stał i patrzył na niego oczami wilgotnemi, jakby od cichej łzy współczucia.

— Szukam pana umyślnie — rzekł starowina.

— Czy podpisać mam co? Czy już koniec?

— Nie, panie; tamto jeszcze z godzinę potrwa, ja przyszedłem z panem pomówić. Pozwolisz, że usiądę; stare nogi wymawiają posłuszeństwo. Jam, widzisz, przyszedł do ciebie, bo w takich chwilach

niedobrze być samemu. Nie dziw się i nie gniewaj, że tak poufale przemawiam, panie Różański. Ja mógłbym ojcem twoim być. Widziałeś mnie wśród tej zgrai, która tam ostatki twego mienia rozgrabia; przyszedłem tak samo, jak oni, aby cię egzekwować. Żalu o to do mnie nie miej, spełniam bowiem tylko obowiązek.

— Ja też do pana żadnej nie mam pretensyi, ani urazy.

— Mój panie, pozwólże mi mówić dalej. Co robić dziś z sobą zamierzasz?

— Nie wiem jeszcze, nie myślałem, nie mogłem myśleć...

— Za parę godzin zostaniesz samotny, wśród pustych kątów i ogołoconych ścian, a samotność w takich chwilach to niedobry towarzysz.

— Ja chcę wyjechać do Warszawy, a może... nie wiem, ja nic nie wiem. Panie, dziękuję ci za twoją dobroć, ale zostaw mnie w spokoju.

— Tego zrobić nie mogę, nie opuszczę cię. Pojedziesz do nas.

— Jakto do nas?

— Do mnie i do mojej żony. Starzy jesteśmy, pocieszać może nie potrafimy, ale postaramy się, aby cię ukoić, może radę dobrą damy, może coś obmyślimy, może, albo ja wiem? Nie gardź szczerem sercem, niech ci się zdaje, że to ojciec z matką

chęcią cię do piersi przycisnąć i podtrzymać, żebyś nie upadł.

Te proste słowa szarpnęły Różańskiego za serce. Więc są jeszcze ludzie. Rzucił się w ramiona staruszka i zapłakał.

— Panie, panie, jakim ja nieszczęśliwy! Panie, com ja stracił!...

— Uspokój się, straciłeś bardzo niewiele, a pozostało ci zdrowie, młodość, siła. Wierz mi, mój drogi, że niejeden bogacz wszystkie skarby swoje oddałby za to, a ty rozpaczasz i ręce opuszczasz. Ja ci nauk dawać nie chcę, gdyż w tej oto chwili życia, ten najlepszy nauczyciel, daje ci bolesną lekcję. Tyś się po niej odrodzić powinien; pójsz w świat przebojem. Nie żałuj tego, co zostawiasz za sobą — idź, pracuj. Powtarzam ci, że skarby posiadasz, boś młody, boś silny, a przepraszam cię najmocniej za wyrażenie, po dzisiejszych przejściach będziesz zapewne i rozumny. No, posłuchaj starego, tu już nie siedź, masz dość tego widowiska. Bryczka za ogrodem stoi, siadaj i jedź. Żona moja oczekuje cię, a ja, jak się tu już wszystko skończy, przyjadę z plenipotentem razem. No, jakże, jedziesz?

— Bóg ci zapłać, panie, jadę:

— A co to masz tu w kieszeni, mój kochany?

— To... — odrzekł zmieszany Różański — to pugilares.

— Nieprawda, to rewolwer. Daj-no go, on ci niepotrzebny...

— Ale...

— No, no, nie dysputować, lecz słuchać, dawaj bracie. Zabieram go i zatrzymam, jako depozyt... I rzeczy twoje, sprzedaży nie podlegające, przywieść każe i rachunki po powrocie załatwię, a teraz jedź...

Małka nie mogła odgadnąć, gdzie się młody człowiek podział. Szukała go wzrokiem na wszystkie strony, posyłała Mojsia, żeby go znalazł — na próżno.

Ponieważ wszyscy, zajęci licytacją, lub przez ciekawość zwabieni, gromadzili się przed domem na dziedzińcu, więc nikt odjeżdżającej z po za ogrodu bryczki nie zauważył.

— Gdzie się ten gałgan podział? Gdzie on się podział? — zapytywała męża.

— Albo ja wiem? Przepadł, może go już dyabli wzięli?

— O, aby jeszcze nie teraz!

Mojsie drgnął.

— Słuchaj-no, Małciu — rzekł — skoro przyjechałaś na licytację, to trudnij się kupowaniem ruchomości, ale nie ucz dyabłów, kiedy mają brać takich puryców. Na to nigdy nie zawczasie, a nie twoja głowa do tego, żebyś im miała terminy wyznaczać.

— Ty, Mojsie, głupi jesteś! — rzekła ze zło-

ścią — w twojej pustej głowie nie może się nic mądrego zmieścić.

I w rzeczy samej, Mojsie za głupi był na to, aby zrozumieć, o co Małce chodziło. Ona przecież nabyła garnitur mebli, ten sam, który Różański przeznaczył do pokoju przyszłej swej żony. Pani Różańska miała na tych fotelikach siadywać — otóż nie, nie i nie!

Zasiadać na nich będzie Małka i Mojsie, skakać po nich ma i bujać się na sprężynach synek Małki. Ona się już na nich rozsiada.

Kazała wynieść cały garnitur na dziedziniec, postawić go na samym środku, usiadła, a raczej położyła się prawie na kozetce. Kołysze się na nowych, mocnych sprężynach i rzuca oczami na wszystkie strony, czy z dworku, z ogrodu, lub ze stajni nie wyjdzie Różański. Ona pragnie go widzieć i upokorzyć, poniżyć, ma nawet dla niego parę słów takich, któreby mu z lichwą zapłaciły za rzuconą przed kilkoma godzinami obelgę.

Licytacya idzie dalej w najlepsze, a Małka wciąż siedzi i czeka. Mojsie wydziwić się nie może, z kąd nagle jego żonę napadło takie dziwne, takie szczególne lenistwo!

Tam sprzedają miedz, samowary, takie rarytne rzeczy, a ona siedzi; licytują lampy, na które miała ochotę — ona siedzi; przychodzi kolej na dywany, wymawiała sobie, żeby ich nikt nie licytował,

tymczasem siedzi, wciąż siedzi i czeka. Mojsie przybiega, targa ją za rękaw i woła:

— Małka, dywany!

I słyszy odpowiedź:

— Idź do dyabła!

— Ale dywany, słyszysz, teraz są dywany!!

— U mnie teraz majówka, ja sobie odpoczywam.

— Ale dywany! Tam nie licytują, miałaś kupić!

— Idź, kup i daj mi pokój!

Kto kobietę zrozumie? Kto zgadnie, jaki figiel za jej pośrednictwem wyrządzi szatan? Słusznie mówi Uszer Engelman, że taka, co ma dwanaście lat, już nie wzbudza zaufania, a taka, co ma pięć razy po lat dwanaście, jeszcze ufnością natchnąć człowieka nie może; dorzuć jeszcze raz dwanaście lat, i także nie możesz być pewnym swego.

Oh! Uszer Engelman, on zawsze pięknie i rozumnie mówi, a gdyby go kto zapytał, dlaczego Małka, zamiast licytować, pokładała się na kozetce, odpowiedziałby, że to jest nowy figiel szatański.

Sprzedano dywany — kupił je Mojsie, sprzedano resztę sprzętów domowych — nabyła je Rypsowa, sprzedano konie — kupił je prawie wszystkie Jankiel Bas, prócz jednego, nabytego przez Berka Dyszla. Piękne woły, dojne krowy i owce wzięli za bezcen rzeźnicy z Kopytkowa; uprzęż, wozy, narzędzia rolnicze, zabrali za psie pieniądze obywatela czarnobłocy, gdyż sąsiadów gospodarzy na

licytacyi nie było, a chłopci, pomimo namawiania, kupować nie chcieli.

— Nie gospodarska rzecz — mówili — na cudzej biedzie się dorabiać. Nie zarodzi rola takim płużkiem orana!

Licytacya skończyła się, a Małka nie zeszła z kozetki; przybierała coraz to inne pozy, a oczy jej biegały na wszystkie strony.

— Gdzie on jest? — pytała męża. — Idź zaraz, dowiedz się, gdzie on jest?

— Na co on ci potrzebny?

— Na co? On mi w tej chwili tak jest potrzebny, jak głodnemu chleb, jak nędzarzowi pieniądze. On tu musi być zaraz!

— Małka! — krzyknął Mojsie groźnie — albo ty jesteś wielka szkaradnica, albo dostałaś nagle waryacyi!

— A! tak ci się zdaje, a ja chcę, żeby on tu był, żeby widział swemi oczami, że jest zdeptany jak robak; żeby usłyszał odemnie, że jest łobuz, kapcan i nie wart złamanego szeląga, żeby...

— Co ci z tego? Odebrałaś swoje pieniądze, to się ciesz pieniędzmi. On i bez twego powiedzenia wie, że jest kapcan i nie wart złamanego szeląga.

Wzruszył ramionami i odszedł, mrując gniewnie:

— Dziwna to kobieta, nawet w złości. Chce

mu powiedzieć wielką nowinę: że taki, co nie ma grosza, jest kapcan.

Skończyła się wreszcie licytacya. Świeżo odnowiony dworek wyglądał, jak po pożarze; powynoszone rzeczy leżały na ganku, na dziedzińcu, na schodkach.

Urządник, prowadzący sprzedaż, odjechał; chłopci rozchodzić się zaczęli. Pozostał tylko wójt, soltys i oficyalista z zarządu dóbr, mający objąć folwark w administracyę, do czasu przybycia nowego dzierżawcy.

Wójt był w złym humorze, tembardziej, że jeść mu się chciało ogromnie, pragnął więc jak najprędzej czynność swoją ukończyć.

— No, dalej, żydy! — wołał — ruchajcie się, zabierajcie, co wasze i jedźcie! Nie będę tu dla was do nocy stojał!

— Co to „żydy?“ — rzekła Małka — pan wójt sobie za dużo pozwala. Pan wójt nie jest żadna osoba, tylko zwyczajny chłopski wójt.

— A juści! A Małka jest żydowica!

— Ja sobie nie dam ubliżyć! Ja kupcowa jestem!

— Ale żydowica!

— A wy jesteście cham, proste chłopisko, bez żadnej delikatności!

— Idź ty z gębą, bo będzie źle!

— Małka, gaj weg! — zawołał Mojsie i zwraca-

cając się do wójta, dodał: — Niech się pan wójt nie gniewa, moja żona ma taki feler, że czasem nie wiadomo o co złości się.

— Pewnie ją jaki robak ukąsił.

— Albo ja wiem? Może robak, różne przytrafienie się trafia na świecie.

— Insze bydlę — dorzucił sentencyonalnie sołtys — a najbardziej krowa, jeżeli ją giez utnie, to się zara gzi...

Mojsie splunął i małżonkę swoją ku rzeczom odciągnął.

Trzeba było furmanek, żeby kupione ruchomości zabrać. Chłopi swoich koni wynająć nie chcieli, ale były konie i wozy nabyte na licytacyi; był Berek Dyszel ze swoją furą, do której czwartego rumaka, świeżo nabytego, zaprzągnął; był furman z Kopytkowa, dał swój wasąg Jukiel pachciarz i zaczęło się pakowanie z wielkim krzykiem, targowaniem się, kłótniami...

Nabywcy wozów i koni na poczekaniu przedzierżgnęli się w furmanów i zaraz chcieli mieć dochód.

Już się słońce dobrze ku zachodowi zniżyło, gdy wozy, obładowane rzeczami i ludźmi, wyjechały z dziedzińca.

Towarzystwo, z powodu większej ilości furmanek, podzieliło się na mniejsze grupy, a Małka mo-

gła skutkiem tego uniknąć niemiłego dla niej sąsiedztwo pani Rypsowej.

Uszer Engelman zachwycony był licytacją i siedząc na furze Berka, oddawał się bardzo poważnym rozmyśleniom na ten temat.

Mojsie, zmęczony fizycznie, drzemał, a i ten lew duchowy, co się w nim był rano przebudził, spał teraz, jak zabity, schowawszy głęboko straszne swoje pazury.

Gorący, parny dzień zbliżał się do końca. Na horyzoncie ukazała się chmurka, za nią druga, trzecia i dziesiąta. Rosły i zlewały się w jedną.

Berek Dyszel spojrział w górę i rzekł do siedzącego obok Glancmana:

— Jestem pewny, że będzie deszcz.

— W takim razie, dlaczego nie urządziliście na furze budy płóciennej?

— Możecie trochę zmoknąć, co mi to przeszkadza? Wy nawet dobrze zmokniecie, ponieważ zanosi się na burzę.

— Spieszcie, może zajedziemy przed deszczem.

— Po co mam spieszyc? Zgodziłem się, że was zawiozę do Zatracańca i że was ztamtąd odwiozę do domu. W jednej połowie już to uskuteczniłem, w drugiej mam nadzieję uskutecznić, a czy macie być przywiezieni na mokro, czy na sucho, to mi zupełnie wszystko jedno, abym was przywiózł.

Gruba, ciężka kropla deszczu spadła mu na nos

i nagle, bardzo szybko, zaczęło się ściemniać, a z oddalenia dał się słyszeć głuchy, przeciągły grzmot.

Na furach zrobił się popłoch. Takie kosztowne rzeczy mogły zamoknąć, damom chodziło przytem o stroje. Pani Rypsowa bowiem miała na sobie suknię jedwabną i aksamitną mantylę, bardzo starożytnego fasonu, Małka zaś nowiuteńki kostyum. Na taką licytację nie można było przyjechać w la-dajakiem ubraniu.

Była chwila, w której zdawało się, że deszcz ustanie, a burza przejdzie bokiem, lecz przypuszczenie to nie sprawdziło się. Chmury nie ustąpiły, zrobiła się ciemność zupełna, zerwał się wiatr gwałtowny, a potem straszna ulewa. Błyskawice ślizgały się po niebie we wszystkich kierunkach, ogłuszający huk grzmotów co chwila wstrząsał powietrze.

Berek, który jechał naprzód i prowadził całą karawanę za sobą, zatrzymał konie, pomimo protestu i krzyku swoich pasażerów.

— Jedź! — wołano na niego — czego stoisz, czy chcesz, żebyśmy przemokli zupełnie?

— Ja też moknę.

— Co nam do tego? Moknij, kiedyś furman, ale nas wieź, prędko wieź, aby do miasta.

— Mam taki zwyczaj, że podczas burzy stoję. Jeszcze nieboszczyk ojciec mój, który też był fur-

manem, tak mi przykazywał. Niech to nie będzie w złą godzinę wymówione, ale widzicie i słyszycie co się dzieje. Piorun może...

— Cicho; cicho, daj pokój. Chcesz stać — stój!

Zrobiła się cisza wśród podróżnych. Wszyscy szeptali modlitwy, aby Bóg odwrócił nieszczęście.

Rypsowa wciąż wzdychała; nie mogła ona odżałować, że puściła się w taką niebezpieczną podróż razem z Małą.

— Ja wiem — mówiła do swoich sąsiadów na wozie — wiem, gdzie jest przyczyna burzy, co nam przynosi nieszczęście. Ta wystrojona lalka, ta współniczka szatana, ściągnęła burzę, oby na nią samą spadła!

Jęki i lamenty pani Rypsovej przeszły bez wrażenia, każdy bowiem o sobie tylko myślał i o siebie się bał — i w śmiertelnej trwodze zesła prawie cała godzina. Wreszcie deszcz ustał, niebo wypogodziło się i na hasło Berka, karawana wozów pociągnęła dalej ku Czarnemubłotu.

O ile wyjazd był bardzo wesoły, o tyle powrót smutny.

Dużo rzeczy uszkodziło się i przemokło, a bohaterowie, zajęci suszeniem splukanej przez deszcz garderoby, nie mieli ochoty do opowiadania szczegółów, wypadków i wrażeń doznanych.

Małka była zła, jak całe piekło, Mojsie milczał, a nawet Uszer Engelman, zamiast zwyczajem swoim zasiąść przy stole i rozmyślać, udał się zaraz na spoczynek.

Nad Czarnemblemem jaśniały gwiazdy, a promienie księżyca ślizgały się po dachach mokrych i kałużach rozlanych szeroko.

ROZDZIAŁ XVI,

*opisujący osobliwą rezygnację Wasążka, oraz wielką
naradę prawników czarnobłockich.*

Gdy Wasążek przyjechał do Czarnegoblota w dzień targowy, za ledwie z woza zsiąść zdążył, obskoczyła go cała gromada finansistów, wśród której prym trzymali Chaskiel i Jukiel.

— Co wasan sobie myśli?! — wołał pierwszy.

— Niech wasan odda dług. Co to wasan! Wasan myśli, że wasan jest wasan, wasan nie jest wasan, tylko oszust!

Jukiel usiłował pochwycić Walentego za kołnierz, ale silny szlachcic wyciągnął rękę i zakreślił nią w powietrzu koło, na skutek czego finansisci odskoczyli i hałasowali dalej z pewnej odległości.

— Kochane żydki — rzekł Wasążek — dwoma kijami bić nie można. Skoro prawujecie się ze mną, to nie napastujcie, bo was poturbuję i zaskar-

żę do sądu o napaść na równej drodze. Lepiej rozmawiajcie po dobroci i po sprawiedliwości, to prędzej będzie jaki skutek.

— Jaki ma być skutek? Zapłać wasan!

— Oj, oj! i od tego nie odbiegam; zapłacę, tylko nie teraz, bo akurat na tę chwilę nie mam.

— No, a kiedy, kiedy wasan zapłaci?

— Żebyście byli nie szli do procesu...

— Kto do procesu chce iść? To wasan lubi się procesować, wasan jest taki amator do sądów!

— Fałsz mówicie, łgarstwo. Alboż to ja was pozywałem? Wy, wy sami! Powiadacie, że lubię procesy, łgarstwo jest, nie lubię. Czy stawałem w sądzie? Czy nie puszczałem wszystkiego zaocznie? Czy bronilem się? Rzekłem sobie: dość, chcę pozywać, niech pozywają; chcę mnie sprzedać, zniszczyć, niech sprzedają i niszczą. Ja się bronić nie będę, nic a nic. Rzekłem sobie: przepadło i niech się dzieje, co chce!

— Jakto wasan się nie bronił? Co to za głupie gadanie jest? Wasan się nie bronił, a na co wasan narobił tyle symulacyj, tyle fałszywych sprzedaży, tyle oszukaństwa?!

— Niech-no Jukiel o symulacjach nie gada, bo to kalumnia jest. Trzeba dowieść, a jak się nie dowiedzie, to można potem cienko śpiewać.

— My dowiedzimy, my wasana wsadzimy do kozy!

— Owszem, wsadźcie!
— Sprzedamy wszystko, zniszczymy!
— Owszem, zniszczcie! Mnie już wszystko jedno!

— Wasan chyba nie wie, co było w Zatraceńcu? Hardy purec był, wielkiego pana udawał, teraz kapcan jest!

— Teraz go wcale nie ma!

— Niech wasan wie o tem, że my potrafimy pokazać swoją sztukę!

— Wiem, wiem — odrzekł szlachcic. — Wy mądrzy jesteście, znacie prawo na wylot! Ha! wola wasza, prawujcie, choć zgodnym sposobem pewniejszy skutek.

— To niech wasan zgodnie płaci!

— Jak wasza wola, ja na wszystko przystaję.

— Więc góźdzmy się.

— Tu, na rynku?

— A gdzie wasan chce?

— Nie, moi kochani, zgoda musi być robiona pod dachem i przy szkłe. O suchej gębie jeszcze nikt porządnej zgody nie zrobił.

— To chodźmy pod „Łabędzia.“

— Owszem, idźcie, ja tam nadejdę, tylko muszę się jeszcze z jednym człowiekiem zobaczyć.

Rozeszli się.

Wasążek zniknął między licznymi wozami na rynku, żydzi rozbiegli się w różne strony. W dniu

targowym czas jest dla nich bardzo drogi, każdy ma różne interesa. Kupno, sprzedaż, rozmaite transakcye, pożyczanie pieniędzy...

Ten ostatni rodzaj spekulacyi został nagle zachwiany. Niewiadomo z kąd zaczęły się rozchodzić różne plotki, takie plotki, że nawet wiary im dać trudno; ale swoją drogą czarnobłoccy kapitaliści doznawali bardzo niemiłego wrażenia, tem więcej, że owe bajki, zamiast zmniejszać się i cichnąć, rosły. Powtarzano je nietylko w Czarnembłocie, ale i w Kopytkowie i we wszystkich okolicznych miasteczkach.

Berek Dyszel zapewniał, że mówili o nich bardzo solidni kupcy na stacyi kolei żelaznej, a Mojsie Fisch, powróciwszy z Warszawy, dokąd jeździł w celu zakupu towarów, przywiózł wiadomość, że na Franciszkańskiej o tem tylko mówiono. To było najgorsze, że wszyscy mówili, iż coś ma być, ale właściwie nikt nie wiedział, co mianowicie.

Takie nieokreślone przykrości są właśnie najgorsze; człowiek, nie wiedząc, czego się ma spodziewać, nie może przygotować dostatecznych środków obrony. Głancman postanowił poświęcić się dla dobra ogółu i pojechać do gubernialnego miasta, aby tam zasięgnąć języka.

Wogóle nastrój umysłów był niespokojny i niepewny, nie wiedziano czego się trzymać. Z tego

powodu i na targu panowała stagnacya, kupowano zboże niechętnie i odrazu obniżono ceny.

Gdy chłop sprzedający dziwił się, zkąd ten nagły spadek, odpowiadano mu, że takie czasy przyszły; i chłop ponosił koszta niepewności, nie mogąc się dowiedzieć, jakie to są czasy właściwie.

Niejednen gniewał się i do rozmowy o interesach wtrącał nieprzystojne słowa, ale trudno. Nie można od chłopca wymagać elegancyi, ani delikatności. On już bowiem z natury swojej jest grubiański i ordynaryjny.

Chociaż na rynku ruch był słaby, jednak „pod Łabędziem“ stagnacya nie dała się uczuwać, zwłaszcza w tych stancyach, gdzie gromadziła się tak zwana niższa populacya.

Już to niejednokrotnie Mojsie zauważył, że ceny zboża na targu wywierają pewien wpływ na interes szynkarski, ale że wpływ ten jest zawsze jednakowy. Jeżeli ceny są dobre, chłop pije z radości, jeżeli złe, ze zmartwienia, gdy średnie — z przyzwyczajenia. Tak więc, czy owak, na jedno wychodzi.

Małka siedziała prawie ciągle w sklepie i nie zaglądała wcale do pokojów gościnnych. Od czasu licytacyi w Zatraceńcu, była wciąż w złym humorze, a nawet, ku wielkiej radości Mojsia, zaczęła zaniedbywać się w ubraniu.

To jest bardzo dobry znak! Na dzień targowy

nie wystąpiła w nowej sukni, ale w dość zniszczonym kaftanie, nie miała na sobie biżuterij. Mojsie postanowił w duchu, że z nadejściem wieczoru zakomunikuje wiadomość o tym fakcie Engelmanowi i obadwaj, wspólnymi siłami, zaczną z niego snuć wnioski. Jest to bardzo przyjemne zatrudnienie, godne ludzi wyższego umysłu.

W drugiej stancyi „pod Łabędziem“ było pełno, a nad głowami zgromadzonych unosił się gęsty obłok dymu z fajek, cygar i papierosów, coraz bardziej w modę wchodzących.

Waszązek siedział przy osobnym stoliku z kilkoma szaraczkami i popijał piwo, gdy nadbiegł zadyuszany Jukiel.

— No, panie Walenty? — zapytał — róbmy koniec. Co wasan myśli?

— Co chcesz?

— Ja chcę, żeby już raz był koniec. Cały ten interes uprzykrzył mi się; więcej tracę czasu, niż to warto.

— Ja to samo powiadam.

— Wasan to samo powiada! Ja się dziwię. Wasan wciąż powiada, że zgoda, że dobrze, a pieniądze wasan nie pokazuje. Takim sposobem nigdy nie dojdziemy do ładu!

— Owszem, ja choćby i dziś.

— No, to płać wasan.

— Akurat w tej chwili nie mam, ale spodzie-

wam się, jest taki interes, że pieniądze będą i to niemałe pieniądze.

— Ale kiedy?

— Najdalej za kwartał. Nio mogę mówić jak, co, zkąd, bo się boję zdrady; ale jeszcze Wasążek będzie pan, jeszcze sobie gruntu kawał kupi, dom postawi!

— No, no, niech wasan kupi, a tymczasem co będzie?

— Co tylko Jukiel zechce. Zgoda — owszem, proces — owszem, wasza wola!

Żyd ramionami wzruszył i odszedł.

— Słuchaj-no, Waluś — rzekł szwagier Wasążka, tuż obok niego siedzący — zkąd na ciebie fortuna jaka ma spaść?

— Cicho, cicho, to jeno dla zadania myślunku żydowi tak się rzekło.

— I cóż ci z tego przyjdzie, mój Walusiu?

— Jedno z drugim nic, ale zawsze odwłoka. On dobrze wie, że ja przez całe życie moje po sądach chodziłem i może myśleć, że po prawdzie należy mi się trochę pieniędzy po ludziach. Będzie przepytywał, będzie szukał, a tymczasem dzień za dniem ucieka. Nie wadzi, że się żydowi trochę ślepie zamydli.

— Jednak może was prawować za te sprzedaże.

— Śmieję się, bracie, długa to historia! Niech

prawuje, ale nie wiadomo, co wyprawuje. Już ja dobrze to sobie w głowie kalkulowałem i rozważyłem. Ma mnie zjeść, niech zje, ale przynajmniej niech sobie trochę zębów napsuje. Niech wie, że trafi się inszy człowiek twardy. Oto, widzisz, takiego panicza z Zatraceńca, to wnet zgryźli.

— Oj, zniszczyli go do nitki, to prawda. Już on się tu chyba w naszych stronach więcej nie pokaże, bo nie ma po co i wstyd jakoś na takiego kawalera świecić oczami po okolicy, gdzie się takie miało przeprawy.

— Prawda, kochana Małka ustroiła go ładnie, przyjaciółka!

— Wszyscy oni przyjaciele, póki jest czem płacić, a jak już widzą dno w mieszk, to na nic nie zważają.

— Zawszeć to tak bywało — rzekł Wasązek — i po nas tak samo będzie. Pana zjedzą, chłopca zjedzą, tylko z nami, co nie jesteśmy ani panowie, ani chłopci, trudniej im idzie. Ja im tam mojego mienia łatwo nie oddam, potańcują oni jeszcze kawał czasu, zanim się do skutku dobiją, a że ja nie mam na tańcowanie forsy, to obróciłem zawczasu kota ogonem, żeby oni musieli tańcować i pieniądze z kieszeni wykladać. Co dalej będzie, to będzie, ale zawszeć ta choć człowiekowi pociecha, że się im sprawę zamąciło, kapusty narobiło i że muszą te

raz dobrze łbami kręcić i dużo na kosztą wydać, zanim przyjdą do czego.

— Nie wielkać to, mój Walenty, pociecha!

— Jak dla kogo; dla mnie wielka. Jak ja widzę, że taki niedowiarek tańcuje, to mi jakoś na sercu lżej.

Tego dnia Wasążek bardzo się do szwagra swego rozczulał, gawędzili obszernie, nawzajem honory sobie świadcząc, pomimo, że nieraz bywały pomiędzy nimi procesy i spory zawzięte byle o co.

Atoli taki Wasążek, jako i jego szwagierek, jedną mieli zasadę, a mianowicie: że w familii kłócić się można, ale niechby kto obcy jednego z familiantów zaczepił, to wtenczas, choćby i powaśnieni, choćby nawet w kłótniach będący, powinni za „familiantem“ stanąć, jak mur, i bronić go całą mocą.

Tak i teraz było. Walenty, porywczy i do kłótni pohopny, nie bardzo się z bliską zadawał rodziną, ale kiedy widział, że z nim źle być może i postanowił drogą symulacyi żydom windykowanie należności utrudnić, wszyscy szwagrowie i bracia najchętniej w tem mu dopomogli i liczyć mógł napewno, że go żaden nie zdradzi.

— I wilk w pojedynkę nie straszny — mawiał często Wasążek — a w gromadzie niech Bóg broni go spotkać.

Po południu na targu Jukiel Wasążkowego szwagra zaczepił pytaniem:

— Czy wasan słyszał, co Walenty mówił do mnie „pod Łabędziem?”

— Słyszałem.

— Co wasan myśli, czy to może być prawda, czy też łgarstwo jest?

— Może być i tak i tak.

— No, przecież wasan szwagier jest, powinien wiedzieć. Jak się wasanu zdaje?

— Widzi Jukiel, to tak. Walenty dużo procesów miał — i swoich i za cudzemi, bywało, chodził, bo nie ma co mówić, głowacz to wielki do takiej roboty. Wyroków u niego pełna skrzynia, to też i nie dziw, jeżeliby gdzie jeszcze jakie należności miał.

— Naprawdę?

— A juści...

— A wasan nie wie, jakie to należności?

— O, żebym ja wiedział, tobym zaraz i swojego dochodził, bo to my ze szwagrem różnych starych rachunków mamy dość. Prawowanie pomiędzy nami było nie jedno i nie dwa — ale nie wiem. Przypominam ja sobie, że on przy parcelacyi paru majątków się kręcił, kupców na grunt sprowadzał, porękawiczne duże miał dostać. Nie dostał. Proce-sował, sprawę wygrał, na hypotekę wszedł. Można by spenetrować, żeby czas był, ale w naszym stanie biednym od gospodarstwa trudno się oderwać, a po drugie, jeżdżenie po miastach, szukanie, to koszt znaczny... Ale wypłynie to kiedyś na

wierzch, jak oliwa, a wtenczas ja swoje odzyskam. Nie będę pytał, że to szwagierek, jeno stanę, gdzie trzeba i powiem: oddaj-no, kochaneczku, co moje...

Jukiel zamyślił się, a szaraczek, westchnąwszy głęboko, dodał:

— Wiadomo, że różnie się z ludźmi dzieje na świecie; dziś człek może być na wozie, jutro pod wozem, a pojutrze znowu na wozie. Może nie?

— Bywa, rozmaicie bywa — odrzekł Jukiel — ale częściej źle, niżeli dobrze i trzeba się dowiadywać.

Gdy już targ się skończył i rynek opustoszał, zaczęli z różnych stron miasteczka, z różnych uliczek i domków, schodzić się finansiści czarnobłoccy. Może nadeszła jaka świeża wiadomość, może kto otrzymał list, może się choć cokolwiek położenie wyjaśniło. Zanadto poważna jest sprawa, aby długo mogła trwać niepewność.

Uszer Engelman powiedział, że przyszedł strach, który wstrząsnął każdym obywatelem czarnobłockim szczegółowo, a całym Czarnembłotem wogóle.

Wprawdzie plotka głosiła, że coś nieprzyjemnego zagraża tylko lichwiarzom, ale lękali się wszyscy.

Dziś takie czasy paskudne, że kto bierze tylko pięć kopiejek od rubla tygodniowo, także nazywany jest lichwiarzem!

Wszyscy dążyli na rynek, aby się czegoś stanowczego dowiedzieć i życzenie to spełniło się do pewnego stopnia. Jankiel Bas otrzymał list bardzo ciekawy. Pismo było niedługie, lecz nader interesujące i pełne treści, tak dalece, że przeczytawszy je, Jankiel natychmiast udał się na rynek.

Szedł, jak zawsze, powoli, małomówny i majestatyczny, czapkę na tył głowy nasunął, z pięknej porcelanowej fajki dym puszczał.

Wnet zebrała się koło niego gromadka współobywateli; każdy bowiem z miny Jankla poznał i odgadł, że człowiek ten coś ważnego do powiedzenia ma.

Gromadka powiększała się szybko, bo już od dawna w Czarnembliżu taki jest obyczaj, że gdy czterech żydków rozmawia na rynku, to do każdego z nich przyłącza się także po czterech i do każdego z tych przyłączonych znów po czterech i tak dalej, dopóki wszyscy mężowie pełnoletni nie uformują wielkiego zgromadzenia.

Tak było i w tym wypadku. Jankla Basa otoczyła pokaźna gromadka słuchaczy, uważnych, baczących, chciwie połykających każdy wyraz, pomimo, że smak tych wyrazów był niezmiernie gorzki, kwaśny i przykry.

Czego człowiek nie przełknie!

Otóż Jankiel Bas potwierdził, na podstawie świeżo otrzymanego listu, że chociaż w szkarad-

nych plotkach, jakie rozpuszczono, jest część przesady, fałszu, ale jest również znaczna część prawdy; że dziś interesa finansowe, które były niegdyś bardzo przyjemne i korzystne, przybierają charakter śliski i niepewny; że jeżeli dotychczas kapitalista ryzykował, iż może natrafić na niewypłacalnego dłużnika, to obecnie ryzykuje, że może natrafić na sąd, na sprawę, na utratę zysku i w dodatku na kryminal.

Gdy Jankiel to oświadczył, zrobił się wielki krzyk.

— Co? jak? dlaczego? — pytano ze wszystkich stron.

— Dziwne pytanie! A wiecie wy dlaczego deszcz pada?

— Deszcz? Co nam do deszczu?

— No, widzicie, on pada dlatego, że... pada!

— Jest zupełna racya — rzekł Uszer Engelman. — Nam się nie podoba, że woda z góry cieknie i na nosy nam kapie, ale wodzie to jest zupełnie wszystko jedno.

— Wcale nie ma racyi! — zawołał Głancman. — Uszer się myli.

— Uszer?

— Jakto? Nasz Uszer, taki myśliciel, pierwsza głowa na całe Czarnebloto, miałby się mylić?

— Tak jest, myli się. Mowa o deszczu. Bardzo dobrze, deszcz pada. Niech sobie pada, skoro nie

możemy go powstrzymać, ale kto wam broni ukryć się na ten czas pod dachem, albo sprawić sobie porządny parasol?

— Racya, wielka racya! — zawołał.

— Pięknie powiedział Glancman — rzekł Uszer spokojnie — chociaż tego, co rzekłem o deszczu, bynajmniej nie obalił. Swoją drogą, słowa Glancmana byłyby jeszcze piękniejsze, gdyby zechciał ukazać nam, gdzie jest ów dach, albo z czego można zrobić parasol, mogący zasłonić od nieprzyjemnej i niepożądaney wilgoci? Dopóki nam tych wskazówek nie da, słowa jego będą tylko słowami.

— Prawda, prawda! — odezwano się w gromadzie. — Dajcież nam dach, dajcie parasol!

— Jabym sądził — odezwał się Mojsie Fisch — że jest jeden niezawodny sposób uchronienia się od tej zimnej wody, która niejednemu może wlać się za kołnierz... Sposób doskonały, niezawodny, a taki pewny, że już pewniejszego wynaleźć nie można.

— Słuchamy! Mojsie Fisch chce zostać naszym zbawcą!

— No, Mojsie, nie drożcie się, pokażcie nam tę perłę!

— Wycofać się całkiem z takich interesów i na przyszłość wcale się nimi nie zajmować. To jest sposób!

W zgromadzeniu zrobiła się cisza; trwała ona jednak bardzo krótko, ktoś krzyknął:

— Mojsie jest głupi!

Wykrzyk ten zaczęto powtarzać różnemi głosami, ku wielkiemu oburzeniu męża pięknej Małki. Chciał się bronić, niepozwolono mu przyjść do głosu; usiłował pięknie przemówić, zakrzyczano go.

W zgromadzeniu zrobił się wielki gwałt i rejewach, wszyscy mówili jednocześnie, a ponieważ każdy pragnął, aby jego głos był słyszany, więc zrobiła się silna licytacya krzyku. Można było wyrozumieć tylko to, że rada Mojsia odrzucona została z powszechnem oburzeniem, że nikt nie myśli bynajmniej o odwróceniu deszczu, lecz każdy pragnie, żeby mu dano parasol. Przedewszystkiem dobry parasol, a deszcz niech sobie pada, dopóki sam nie ustanie.

Jankiel Bas nakazał milczenie — i uciszyło się zupełnie.

— Trzeba radzić — rzekł poważnie — głów u nas nie brak.

— Kto ma radzić? — zapytano.

— Każdy, kto ma głowę, niech ją puści w ruch. Zamiast coby miał spać, niech myśli; zamiast coby miał jeść — niech myśli; kiedy będzie się znajdował w drodze — niech myśli. Nie sposób, żeby takie wielkie, takie powszechne myślenie miało pozostać bez rezultatu. Skutek być musi. Wiecie, o co idzie, wiecie, że będzie deszcz, więc, jak dobrze mówi Glancman, szyjcie parasol.

— Tak — potwierdził Uszer Engelman — szycie parasol; niech was to nie zraża, że będzie on zrobiony z kawałków, taki jest znacznie mocniejszy i wytrwalszy, bo jeżeli na jaki materiał da się łatę, na tę łatę jeszcze łatę i jeszcze raz łatę, to oczywiście te warstwy będą o wiele mocniejsze, aniżeli sam materiał z nowości.

— Aj, aj! — odezwał się krawiec Mordka — nasz Uszer każdą myśl ślicznie sfastrygować potrafi. Na moje sumienie, on mówi, jak najlepszy krawiec!

— Ładny komplement! Mordka niech pilnuje swego fachu; jeszcze nie przyszedł czas, żeby krawcy sądzili słowa uczonych! — zawołał oburzony Mojsie Fisch.

— Tymczasem — odrzekł Mordko — prawo tego sądu przywłaszczają sobie... szynkarze!

— Cicho, cicho! Nie kłóćcie się. Nie jest to czas stosowny do prowadzenia bezowocnych sporów; lepiej oddajcie się wszyscy myśleniu. Wiadomo wam, że czas jest brzydki i że powietrze terazniejsze nie bardzo sprzyja delikatnym ludziom. Puszczajcie wasze głowy w gwałtowny ruch — rzekł Jankiel Bas.

— Od początku świata tak było — dorzucił sentencyjonalnie Engelman — że wykpiwaliśmy się od różnych, nieraz bardzo przykrych i niemiłych interesów, więc i teraz znajdzie się jakiś sposób.

Pocieszeni tą myślą, członkowie zgromadzenia

zaczęli się rozchodzić do domów, a Jankiel zaprosił do siebie kilku co poważniejszych, oraz biegłych w prawie.

W tej liczbie był, oprócz kilku ludzi starych i doświadczonych, Glancman, Engelman, dwaj pokątni doradcy, tudzież Mojsie Fisch.

Ten ostatni nie cieszył się opinią wielkiego znawcy prawa, ani wogóle nie był uważany za tęgą głowę, ale na wszystkich zgromadzeniach asystował, jako właściciel zajazdu „pod Zielonym łabędziem,“ a zarazem jako mąż Małki, która musiała mieć przecież o wszystkich ważniejszych sprawach, obchodzących miasto, dokładne relacje.

W zaufanem kółku rzeczoznawców toczyła się ożywiona dysputa, na której przedewszystkiem zapadło postanowienie, ażeby wszystkie już zawarte interesa pożyczkowe kończyć i egzekwować co najrychlej. Chociażby nawet ze stratą, byle tylko był koniec.

Dawny system wychodzi z mody, trzeba stworzyć nowy.

Proponowano rozmaite.

Pożyczka na zwyczajny rewers jest źle widziana przez sądy, ale może być kupno i sprzedaż.

Dlaczego chłop nie ma być winien kapitaliście miejskiemu za konia, krowę, lub za wóz?

— Dobrze — rzekł Mojsie — ale gdzie ukryje się procent?

— W koniu, albo w krowie...

— To ładne jest!

— Nie bardzo — rzekł Jankiel Bas — ludzie uprzedzeni gotowi wbrew prawdzie twierdzić, że koń nie jest koń, tylko nie całkiem wypłacona waluta. Oni gotowi są znaleźć procent nawet w koniu.

— Więc co robić?

— Ja wam powiem — rzekł pokątny doradca — procent należy schować w wyrok sądowy.

— Jakim sposobem?

— Mówię wam, że to najlepsze schowanie. Sąd może grymasić, gdy zobaczy weksel, rewers lub dokument prywatny; ale gdy mu się pokaże jego własny wyrok, to grymasić nie będzie, nie powie, że jest fałsz albo oszukaństwo.

— To prawda, ale chcąc mieć wyrok, trzeba wprzód mieć rewers.

— Bardzo łatwy na to sposób jest. Dawniej, gdy chłop żądał pieniędzy, braliście od niego rewers i interes był skończony; teraz weźmiecie wpieryw rewers, ale pieniędzy nie dacie, aż zapadnie wyrok. W rewersie będzie napisane, że Maciek winien wam, dajmy na to, sto rubli, że pożyczyl rok temu, że obowiązał się płacić procent mały, dwanaście od sta na rok i że nie zapłacił dotąd ani procentu, ani kapitału. Pozwiecie Maćka do

do sądu. Maciek się stawi i przyświadczy, że to prawda.

— A jeżeli nie zechce?

— Jakto nie zechce? Skoro mu pilno potrzeba pieniędzy, to wszystko zechce, co wy tylko zechcecie. Wszystko przyzna, podpisze. Zapadnie wyrok, uprawomocni się, wtenczas wypłacicie Maćkowi pożyczkę, a wypłacicie tyle, ile wam się podoba.

— No, no, dobry sposób!

— Bardzo dobry. Różne rzeczy można ukąsić, ale prawomocnego wyroku, to już nikt nie ukąsi.

Wszyscy juryści czarnobłoccy zaczęli tę rzecz rozważać, ten i ów rzucił jeszcze jakiś projekt, ale ostatecznie odrzucono wszystkie, tylko ten jeden uznano za dobry.

Jakoż zapadło postanowienie ostateczne, które polecono obecnym rozgłosić i rozpowszechnić jak najszerzej, na rynku, w sklepach, „pod Zielonym łabędziem,” wszędzie, gdzie tylko zgromadza się światek handlujący.

Postanowienie było bardzo lakoniczne; obejmowało tylko dwa punkta, a mianowicie: Wszystkie dawniejsze interesa jak najprędzej likwidować i kończyć, a nowych nie robić inaczej, jak tylko na prawomocny wyrok.

Takie hasło rozniosło się z ust do ust, po całym Czarnembłocie, takie hasło podane zostało przez pantoflową pocztę do okolicznych wiosek, do odle-

głych zakątków, wszędzie, gdzie tylko mogą być interesa i finansowe transakcje.

I co dziwne, także same, jednakowe zupełnie rozkazy dzienne, wyszły z Kopytkowa, z Białego-
błota, ze wszystkich centrów, dokoła których grupują się wsie, folwarki, małe wioski i kolonie.

Słusznie Uszer Engelman podziwiał misterne świata urządzenie, słusznie zachwycił się kunsztownym jego mechanizmem, bo jak ani jedno ziarno zboża, ani jedno jajko z chłopskiej zagrody nie wydestanie się na świat, nie zawadziwszy o miasteczko, tak mądre słowo z miasteczka po owych kołach i kółkach, splecionych misternie, ni-
by po drucie telegraficznym, przebiega po całej okolicy i daje delikatny „wink,” jak mężowie mądrzy postępować mają, aby tę misterną siateczkę jeszcze bardziej zadzierżgnąć, zacisnąć i umocnić; ona albowiem musi być mocna i dobrze zadzierżgnięta, bo inaczej cały porządek świata byłby zagrożony, delikatność rozumu nie mogłaby panować nad grubą siłą chłopskich pleców, a ludzie uczeni, myśliciele wielcy, musieliby narówni z ordynaryjnym plebsem stanąć do takiej roboty, która jest uciążliwa i poniżająca.

ROZDZIAŁ XVII,

*w którym, po raz ostatni widzimy Michała Borutę
i innych dobrych znajomych, oraz w którym jest
parę mądrych zdań Uszera Engelmana.*

Żniwo już było na ukończeniu, ostatnie kopy zwożono do stodół lub układano w sterty; wszędzie po wioskach panowała radość, bo urodzaj był dobry, więc ludzie się cieszyli, że chleba im do nowego wystarczy, a jeszcze i na sprzedaż zostanie. Ale największa radość była w Brzozówce.

Ciotka Gertruda święciła swój tryumf. O Różańskim nie wspomiano już wcale, natomiast pan Stanisław przyjeżdżał bardzo często, jako narzeczony Zosi.

Postanowiono, że ślub odbędzie się na jesieni i ciotka zajęła się przygotowaniem wyprawy. Szło jej to bardzo szybko i bez żadnych trudności.

Od brata na ten cel nie chciała przyjąć ani grosza.

— Przepraszam, panie bracie — mówiła — ale byłabym bardzo lichą gospodynią, gdybym przez tyle lat nie potrafiła zebrać na dwie skromne wyprawy. I to panu bratu wiedzieć trzeba, że obie dziewczęta dostaną porówno, tyleż wszystkiego Jądwinia, ile Zosia; a jak im jeszcze w dzień ślubu trochę pieniędzy dam, to się chyba brat nie rozgniewa?

— Pani siostrze, ktoby się na panią siostrę gniewał? Zaczyna kobieta jesteś z kośćcami!

— Swoją drogą nie chciałeś mojej rady słuchać i byłbyś dziecko zmarnował.

— Nie mówmy już o tem. Chciałem jak najlepiej, byłem w błędzie, przepadło!..

— Tak, bracie, nie ma o czem wspominać. Cieszymy się raczej, że nasza Zosia będzie szczęśliwa. Chłopiec uczciwy i dzielny, pracy się nie ulęknie, a kochają się! Panie bracie, jak oni się kochają, to coś nadzwyczajnego!

— Jak młodzi. Cóż w tem za dziw?

— Właśnie, że dziw, bo dobrali się, jakby w korcu maku dwa ziareczka. Ja od pierwszego wejrzenia, gdy Staś pierwszy raz był u nas, zrozumiałam, przeczułam, że to się dobrze skończy, tak mi się przynajmniej wydawało. I niechże mi kto powie, że nie ma przeczuć? Owszem, są, tylko trzeba mieć serce. Kto kochać nie umie, ten i przeczuć nie potrafi. Tak się to przedstawia w mojej kobie-

cej głowie, ale mniejsza o to. Widzisz, panie bracie, od czasu, kiedy zgodziłeś się na to małżeństwo, widzisz dokoła siebie samo szczęście. Zosia, Jadwinia, ja, nie mówię już o Stasiu i jego matce. A ty, panie bracie, przyznaj, że jesteś też szczęśliwy. I czemuż to pan brat marszczy brwi tak srogo, kiedy w gruncie rzeczy serce ma napełnione radością? Wydajemy córeczkę nie za magnata, ale wydajemy ją dobrze, bo za człowieka, a jeżeli tak o kawalerze powiedzieć można, to już bardzo wiele; wierz mi, panie bracie, że wiele, nadzwyczaj wiele...

— Ja nie przeczę, owszem, ale moja siostró, dlaczego on się przy tej służbie upiera? Co mu po tem? Zatraceniec jest do wzięcia, doskonały folwark, warunki bardzo dogodne, dorobić się można. Ja przecież pieniędzy dam, ile będzie trzeba.

— Panie bracie, mógłby on i za swoje w tę dzierżawę wejść, bo matka mu chce swój kapitał oddać, ale on nie ma ochoty, a Zosia za nic na świecie nie zgodzi się na to, aby w Zatraceńcu mieszkać.

— Cóż jej przeszkadza?

— Widać, że przeszkadza, kiedy nie chce. Mogliby łatwo inny dobry folwark znaleźć, ale naprawdę, po co?

— Jakto po co? Żeby na swoim być, nie wysługiwać się nikomu.

— Eh! korona z głowy nie spadnie, panie bra-

cie, obowiązek nie hańbi. Zresztą tam jest dobry kawałek chleba; pensya niewielka, ale gospodarstwo na Majdanie znaczy tyle, co nieduży folwarczek, można się inwentarza dochować i całkowite utrzymanie mieć. Kawałek chleba porządny, co się zowie. Niech pobędą kilka lat, a przez ten czas i jego mająteczek i Zosi posag wzrośnie, no, i my będziemy mieli ich blisko siebie. Bo mów ty sobie, co chcesz, panie bracie, ale zawsze ta Zosia, chociaż i za mąż wyjdzie i nazwisko zmieni, jednak dla nas będzie to ta sama Zosia, to samo dziecko, które się na naszych rękach wychowało, które tak serdecznie kochamy. I miło nam będzie mieć ją niedaleko, prawie przy sobie, widzieć niemal codziennie. A jeżeli się jeszcze wnuków doczekamy... A, bracie, ja o tem bez wzruszenia mówić nie mogę. Stara panna jestem, dzieci własnych nie miałam, ale zdaje mi się, że gdybym została chociaż cioteczną babką, to... to... ech! niech lepiej nie doczekam, bo jabym te bachory na nic pieścizotami zepsuła.

Argumenta siostry przekonały Boreckiego, uznał ich słusność i postanowiono, że pan Stanisław pozostanie jeszcze przynajmniej na lat kilka na dotychczasowem stanowisku. Domek w Majdanie nieduży, wszystkiego cztery pokoje, ale na co więcej? Zosia utrzymuje, że sensu nie miał ten, kto pałace wymyślił; w takich bowiem wielkich salonach, jak stodoły, jest pusto i zimno; trzeba się

w nich szukać, jak po lesie, a w małym domku drewnianym może być, jak w raju. W jednej połowie będą mieszkali państwo młodzi, w drugiej pani Zawadzka. Matka, jak matka, wszystkoby rada oddać dzieciom, chce sobie zatrzymać jeden pokoik, ale Zosia na to się nie zgadza. Mówi, że mama jest główną osobą w domu i musi mieć jak największą wygodę.

Dwa pokoje, te, co nie dla mamy, są już prawie urządzone.

Pana Stanisława wyrzucono z tamtąd, będzie chwilowo na komornem u matki, dopóki się wszystko nie ukończy. Ileż to się sesyj nad tem odbyło!

Ciotka Gertruda, pani Zawadzka, Zosia i Jadwinia, ciągle miały konferencye nad tem, aby pokoiki wyglądały niby pudełka od cukierków.

Co tam naznoszono firanek, serwetek, dywaników na kanwie wyszywanych, a co kwiatów!

Pod każdym oknem stały schodki, i to nie byle jakie, ale naumyślnie robione i malowane przez stolarza w miasteczku. Dopiero na tych schodkach jaśniała kwiatami prawie cała oranżerya z Brzozówki. Zosia nie chciała tyle roślin zabierać, ale Jadwinia prosiła, nalegała prawie, zapewniając, że dochowa się nowych bardzo szybko. Zresztą, gdyby Jadwinia miała kiedy urządzać mieszkanie dla siebie, to Zosia jej część swoich kwiatów ofiaruje.

Domek na Majdanie przygotowany już był na przyjęcie młodej pary; termin ślubu się zbliżał.

Ciotka Gertruda widząc, że wyprawa Zosi już jest ukończona aż do najdrobniejszych szczegółów, zaczęła myśleć o strojach dla Jadwini i dla siebie. Jadwinia miała mieć na weselu suknię białą ze wstążkami i kwiatami, zaś ciotka postanowiła przywdziać strój wspaniały.

— To już trudno — mówiła do Zosi — nigdy w życiu nie ubiegałam się za strojami, nie myślałam wcale a wcale o elegancyi, ale na twojem weselu chcę zabłysnąć. Niech ludzie wiedzą, że nie byle kto jesteśmy i że w razie potrzeby potrafimy się pokazać.

Dla tej idei przepatrzyła ciotka swoją szafę i wydobyła z niej staroświecką suknię jedwabną, barwy osobliwej, mieniającej się jak skrzydło kaczora.

Szwaczka, która szyła wyprawę, nadała tej szacie kształty współczesne, a przynajmniej zbliżone do współczesnych, zaś Dawid Gont, pierwszy krawiec na całe Czarnebłoto i okolice, sporządził dla pana Boreckiego garnitur frakowy, w który włożył całą swoją umiejętność fachową, oraz zdolności dwóch młodych czeladników.

Wszyscy byli zajęci przygotowaniem do wesela, zakłopotani, zapracowani, oprócz narzeczonych.

Dla tych, jak się zdawało, świat nie istniał, zwłaszcza, gdy się znajdowali razem.

Co ich to obchodziło, że Jadwinia całemi godzinami rozmyśla nad kwestyą jakiej wstawki, lub gałganka, że ciotka Gertruda zgromadza takie zapasy różnych smakołyków, jakby miała niemi nie gości weselnych, ale całe rzesze zgłodniałych nasyć; że pan Borecki, ku wielkiemu oburzeniu Małki, puścił się w podróż do miasta gubernialnego, aby ztamtąd wina sprowadzić; że cała służba była w gorączkowym ruchu, zapracowana, zajęta od świtu do nocy...

Nie zważali na to bynajmniej, jak gdyby obcy temu wszystkiemu; szeptali tylko nawzajem do siebie, ale co, o czem, tego nikt nie słyszał.

Jadwinia domyślała się, że zapewne o kochaniu i dziwiła się siostrze, że jest taka poważna.

— Gdybym ja była zakochana — mówiła do ciotki — tobym się śmiała, cieszyła i mój narzeczony musiałby być koniecznie wesoły, a ci siedzą tacy zadumani i poważni, jak dwa bociany na gnieździe i każą nam w to wierzyć, że są nadzwyczaj szczęśliwi.

— Co ty się tam znasz, dzieciaku! — odrzekła ciotka — jeszcze czas — i ty nie będziesz wiecznie roztrzepańcem, lecz nabierzesz powagi.

— Ale moja ciociu!...

— Czegóż jeszcze chcesz?

— Proszę cioci, gdy Zosia wyjdzie już za męża, to czy ja mam mówić do pana Stanisława: panie Stanisławie, czy też „ty?”

— Naturalnie, że „ty.”

— Ja nie będę śmiała.

— Proszę, nie masz śmiałości? A może chcesz zachować powagę.

— Ja mam ochotę wytargać go za uszy, moja ciociu, za to, że jest taki nudny i ciągle wzdycha, ale także nie śmiem... Zresztą, zobaczymy.

W dzień wesela Zosi, zaraz po południu, wybrał się Rokita do Czarnegobłota, aby tam zobaczyć się z Chasklem, który jakby naumyślnie wyjechał.

Jakby naumyślnie, bo na dzień następny wyznaczony był termin sprzedaży całego dobytku Rokity.

Chłop nie wierzył, żeby to mogło przyjść do skutku, nie przypuszczał ani na chwilę. Kiedy baba zaczęła płakać i zawodzić, że ją z dziećmi na ulicę wyrzucą, że ją z wszystkiego mienia wyzują, pocieszał ją i próbował uspokoić, że Chaskla uprosi, aby ten fatalny termin odroczył.

— Już mu się do reszty zaprzędam — mówił — wszystko, co zechce tylko, dam, do najcięższej roboty się zaprzęgnę dla niego. niech mi jeno da siedzieć w tej chałupie. Dzieci podrosną, zaczną robić u ludzi, zbierze się trochę grosza i wykupimy się kiedyś... Tymczasem niech tylko siedzieć da...

Chce z mojego gruntu dochód ciągnąć, niech ciągnie, jako i teraz, ja i to przetrzymam... Będę go prosił, molestował, nuż uproszę...

Poszedł tedy chłop do Chaskła rano, poszedł go prosić, widocznie jednak przewidywał żyd, że tak będzie i chciał widzenia się z Rokitą uniknąć, gdyż jeszcze przed wschodem słońca do miasteczka wyjechał. Dowiedziawszy się o tem Rokita, zaraz z miejsca, nawet do chaty swojej nie wstępując, puścił się w drogę.

Szedł szybko, męczył się; pot grubemi kroplami spływał mu po czole. Od kilku dni, pod wpływem zmartwienia i niepokoju, chłop ten prawie nic nie jadł, ale głodu nie czuł; dręczyło go tylko niezmierne, nie dające się niczem uspokoić pragnienie. W każdej wiosce przy drodze zatrzymywał się przy pierwszej studni, jaką spotkał i pił wodę długo, chciwie, bez pomiarkowania. Pomimo tego jednak pragnienie nie ustawało, gorączka paliła go, jak ogień, w gardle schło, w piersiach chwilami tchu brakło, w skroniach coś łomotało, jak młotem.

Kilkakrotnie miał chęć rzucić się na ziemię i poleżeć, ale jakaś siła szczególna popychała go naprzód; koniecznie chciał tego żyda widzieć, rozmówić się z nim, uprosić.

Przy rogatce w Czarnembłocie zatoczył się i zachwiał na nogach. Ostatnim wysiłkiem dowlóknął się Rokita do szynkowni, wódki kazał sobie podać

całą kwaterkę mocnej, najmocniejszej, jaka jest. Wypił duszkiem, rzucił kilka miedziaków szynkarzowi i wyszedł wzmocniony. Doznawał takiego wrażenia, jak gdyby płomień miał w piersiach, a przytem był tak blady, tak kredowo blady, że aż ludzie, patrząc na niego, stawali.

Chaskiel stał na środku rynku i rozmawiał z kilkoma żydami, gdy Rokita nadszedł i dotknął go zlekka w ramię.

Żyd się obejrzał.

— Co chcesz?! — zapytał opryskliwie.

— Chasklu, ja do was potrzebę mam — rzekł chłop pokornie.

— Ja do ciebie nie mam żadnej potrzeby, idź sobie!

— Chasklu!...

— No, no, słuchajcie-no — rzekł Chaskiel do żydów — ten chłop ma do mnie interes!... Ładny interesant! No, co chcesz? Masz zboże do sprzedania, może konia, może bydłę? Owszem, daj, ja kupię. Ale ty nie masz nic do sprzedania; wszystko, coś miał, toś przemarnował, przepiłeś, czego teraz żądasz odemnie?

— Chasklu, ja parę słów na osobności chcę wam rzec.

— Gadaj przy ludziach, ja nie potrzebuję żadnych osobności.

— Więc przy ludziach powiadam. Chasklu,

miejcie litość nademną, nad żoną, nad dziećmi, nie wyganiajcie z chałupy, nie marnujcie naszego mienia, ja was proszę. Proszę was, miejcie litość! Co chcecie, robić będę, odpracuję, odśluzę. Każdej roboty się podejmę, gdzie każecie, pójdę, jeno ostawcie w chałupie. Ona po ojcach i po dziadkach, jam się w niej urodził, w niej się dziątek dochował, był gospodarzem...

— Co ty chcesz, Michał! — wołał zaperzony Chaskiel — co ty chcesz? żebym ja ci zrobił prezent z takiej sumy? żeby ja ci podarował taki duży majątek? Co to, czy ja nie mam żony i dzieci, czy ja potrzebuję napychać ciebie pieniędzmi?

— Chasklu, pofolgujcie... Toć Bóg najwyższy widzi, żem wam nic nie winien, że co wzięłem od was, tom w dubelt oddał pieniędzmi, zbożem, odrobił furmankami, żeście mnie jeno opętali na te kwitki, którem podpisywał, nieznawca na pismo i człowiek ciemny, niewiedzący. Chasklu, niechże się w was zbudzi sumienie, toć chociaż wy starego zakonu żyd, aleć Bóg miłosierny jeden dla nas wszystkich. Nie bądźcież kamieniem, toć proszę was i skomlę przed wami i schylam się, jak pies, Chasklu, trzeba mieć litość!...

Żyd rzucił się, jak ukąszony.

— Ty łajdaku! — wołał — ty pijaku! Ty powiadasz, że mnie się od ciebie nic nie należy, kiedy sąd przyznał, że się należy! Ty chcesz być mą-

drzejszy od samego sądu. Tyś zabrał moje pieniądze, moją pracę, moją krew i żądasz, żebym ja tobie folgował..

— Więc nic od was nie uzyskam, nie uproszę, nie ubłagam, mam zginąć marnie, jak robak... Chaskiel!

Żydzi, otaczający Chaskla, śmiać się głośno zaczęli, rzucając różne uwagi w żargonie.

Bawił ich widocznie ten olbrzym, to uosobienie siły fizycznej, płaszczącej się w pokorze przed takim drobnym, wątłym żydkiem.

— Chasklu — powtarzał Rokita — więc nic nie uproszę, nic nie uzyskam?..

— Idź do cholery, ty pijaku, ja wcale nie mam przyjemności z tobą rozmawiać. Wynoś się do dyabła!..

Chłop wstrząsnął się, jak pies, gdy go zimną wodą obleją, mruknął przez zęby jakieś przekleństwo, a pięść jego zaciśnięta, z szybkością błyskawicy opisała łuk i niby młot żelazny ugodziła w skroń Chaskla.

Stało się to w jednym mgnieniu oka, żyd padł na ziemię bez ruchu.

— Gwałt! rozbój! — wrzeszczeli inni. — Ty łajdak! ty zbójca! Trzymajcie go!

Ale zbójca uciekać nie myślał, stał nieruchomy, jak głaz i wpatrywał się w leżącego, mrużąc:

— Chasklu, toć zgódźmy się przecie... Co chcesz, jak chcesz, odrobień...

Żydzi zaczęli Chaskla cucić, sądząc, że zemdłał; jeden pobiegł po doktora, lecz zanim ten przyszedł, znalazł się felczer Icek, pochylił się nad leżącym, dotknął go i zawołał:

— Nie żyje!

— Nie żyje! Zabił! Zamordował!—wołali inni.

Zrobił się wrzask piekielny, a w chwilę później tłum ludzi zgromadził się na rynku. Rozlegały się krzyki, przekleństwa, a Rokita stał wśród tej gromady, bładł śmiertelnie, prawie nieprzytomny, może nawet nierozumiejący, co się stało.

Rzucono się do niego, chciano bić, wiązać, ale chłop odepchnął najbliższych i stanął w pozycji obronnej.

Burmistrz spieszył na miejsce wypadku, a za nim kilku mieszczan; już mu powiedziano co się stało.

— Tyś zabił? — zapytał Rokitę.

— Bóg świadkiem, nie chciałem, jenom go trącił, ręka ocieężała z żałości. On mnie wpierw jeszcze zabił...

— Słyszysz pan, co ten zbrodniarz gada!... Chaskiel jego zabił! My jesteśmy świadki, my byliśmy przy tem!

— Weźcie go! — rzekł burmistrz do mieszczan.

Kilku silnych mężczyzn rzuciło się na Rokitę.

— Dajcie pokój, ludzie! — rzekł spokojnie — pójdę z wami. Już czy tak, czy siak, zginąłem...

Wprowadzono go do izby, mającej okno opatrzone kratami żelaznymi i zamknięto. Zostawszy sam, rzucił się na podłogę i leżał, patrząc w sufit szeroko otwartymi oczami. Chciał myśli zebrać, ale nie mógł, plątały się one w jego głowie bezładnie, a w kilka godzin później, gdy burmistrz do spisania protokołu kazał go przyprowadzić, wstać już nie mógł; był nieprzytomny i mówił od rzeczy, a z urywanych słów można było rozumieć, że prosi o coś, obiecuje odrobić, zapłacić...

Nazajutrz odwieziono go do powiatowego miasta, do szpitala, a ztamtąd, po tygodniu, na cmentarz. Zmarł, nie odzyskawszy przytomności.

W chwili, gdy Rokitę do aresztu prowadzono, już całe miasteczko wiedziało o zbrodni. Ze wszystkich zakątków, ze wszystkich uliczek, dążyli mężczyźni i kobiety, dorośli i dzieci, aby zobaczyć ofiarę. Chaskiel leżał na ziemi nieruchomy i zimny.

Jankiel Bas, Glancman, Dawid Śliwka, Uszer Engelman, Mojsie Fisch, rozpoczęli starania, aby ciało można było jak najrychlej uprzątnąć, aby sekcyi uniknąć. Członkowie towarzystwa pogrzebowego przybyli z tragami.

Małka nie mogła przemódz ciekawości kobiecej, pobięła także na rynek, aby zabitego zobaczyć,

co ją jednak tak przeraziło, że przez kilka dni była jak nieswoja i w sklepie, pod wpływem tego wrażenia, omyliła się kilkakrotnie w wadze, dając funt za funt, bez ujęcia choćby drobnej cząsteczki. Ręce jej się trzęsły...

Wieczorem, kiedy się już trochę uspokoiło w miasteczku, a zwłoki Chaskla przeniesiono do budynku cmentarnego, gdzie miały do czasu przybycia sądu leżeć, Mojsie Fisch zaprosił Engelmana do siebie.

— Chodźcie, Uszer — rzekł — nie zaszkodzi wypić po szklance koszerne go wina, bo myśmy dziś dużo przeżyli.

— Owszem, wcale nie zaszkodzi. Myśmy dziś widzieli rzeczy przykre, które spędzają sen z powiek i dają dużo do myślenia.

— Wejdźcie, proszę was, Uszer, siądźmy w pustej stancyi, gdzie nikt nam przeszkadzać nie będzie i ulżyjmy sercom naszym, bo ciężko jest.

— Bardzo ciężko...

Przyniósł Mojsie butelkę i szklanki, nalał wino.

— Na spokój! — rzekł.

— Na zdrowie!

— Obyśmy mieli zdrowie i spokój! Oby oczy nasze nie patrzyły na zbrodnie! Uszer, zdaje się, że jak Czarnebłoto Czarnobłotem jest, jeszcze się nic podobnego nie zdarzyło.

— Ja nie pamiętam.

— Uszer, ja się boję.

— Czego wy się boicie, Mojsie?

— Chłopy są teraz bardzo harde. Oni się całkiem zepsuli, oni nie mają delikatności; ciężko żyć wśród takich zbrodniarzy. Dlaczego wy nic nie mówicie, Uszer?

— Ja myślę o tym wypadku.

— Cóż można myśleć? Zbrodniarz jest zbrodniarz.

— To prawda, ale prócz tego, ja mam jeszcze inne swoje kombinacje; mam w głowie takie smutne myśli, że tylko zapłakać.

— Ja się wcale temu nie dziwię, Uszer. Ktoby nie zapłakał, patrząc na taką brzydką, taką nie-szczęśliwą przygodę? Kogo serce nie zaboli wobec widoku morderstwa? Co to jest?... Taki Chaskiel idzie za interesami, rozmawia, handluje... Naraż przychodzi chłop, uderza go i zabija. Czy to nie jest straszne? Czy sama wiadomość o podobnym zdarzeniu nie wywołuje dreszczu? Ja przynajmniej, gdym się dowiedział o wypadku, uczułem zimno, bardzo dotkliwe zimno w całych plecach.

— Posłuchajcie, Mojsie — rzekł Uszer — jesteśmy sami, możemy mówić swobodnie. Nie zaszkodzi, jeżeli w umiejętny sposób zaczniemy obrabiać ten wypadek. Najpierw w trzech wyrazach opowiedzmy, co się stało. Niech to Mojsie sformułuje.

— Co tu formułować? Chłop żyda zabił. Macie trzy wyrazy, najpaskudniejsze w historii naszego miasta.

— Bardzo pięknie. Zaczniemy temi wyrazami obracać i przesiewać je przez przetak różnych zapytań i komentarzy. Chłop żyda zabił, dlaczego nie stało się odwrotnie? Dlaczego żyd chłopca nie zabił?

— Dziwne zapytanie. Dlatego, że żyd jest człowiek delikatny, nie grubianin, nie ma bydłeczego zdrowia, że jest człowiek handlujący, a nie rozbójnik. Czy wam to wystarcza?

— Owszem, a teraz postawmy takie pytanie: dlaczego chłop żyda zabił?

— Moja pierwsza odpowiedź, odwrócona do góry podszewką, może być odpowiedzią i na drugie wasze pytanie.

— Bardzo dobrze. Stoimy przy tem, że chłop jest grubianin a żyd delikatny. Prawda, myśmy też żydzi, ja i wy — i też delikatni; pytanie, dlaczego chłop, broń Boże, nie zabił was, ani, strzeż Panie, nie zamordował mnie?

— Dlatego, że myśmy nie prowadzili z nim żadnych interesów.

— Wasza odpowiedź jest niezła, ale ma cokolwiek feleru. Nie mówię o sobie, ponieważ mało zajmuję się handlem, ale mówię o was i o wielu innych, którzy prowadzą interesa z chłopami. Dlaczego oni nie są dotychczas zabici?

Mojsie nie odpowiadał.

— No, dlaczego? Odpowiedzcie.

— Ja nie wiem.

— Nie wiecie? Aj, Mojsie, wy wiecie, tylko nie chcecie powiedzieć? Chaskiel jest zabity, gdyż ciągnął z tego chłopu za dużo, gdyż nie dał mu żyć. Chaskiel był zanadto chciwy.

— Co wy mówicie, Uszer? To był spokojny żydek. On nic nie chciał, oprócz swojego. Żądał mieć swoją własność, swoją pracę.

— Aj, Mojsie, mówmy prawdę. Chłop jest grubianin, ale z niego można mieć dużo. On pozwoli brać, ale jeżeli się bierze zanadto, to on krzyczy, jeżeli jeszcze więcej, to bije.

— Uszer — rzekł Mojsie — wy dziwne rzeczy mówicie. Co to jest za dużo? Każdy chce brać tyle, ile może.

— Za dużo.

— A ile Chaskiel brał? Czy wiecie, czy byliście przy tem?

— Nie, ale domyślam się, że brał bardzo dużo.

— Co mógł brać? Pięćdziesiąt, osmdziesiąt, sto procent, niech sto dwadzieścia! Czy to nie praktykuje się wśród naszych żydków?

— Chaskiel brał więcej.

— Zkąd możecie wiedzieć, że więcej?

— Bo jego ten chłop zabił. Darmo nie zabija się człowieka. Nawet taki cham, grubianin, nie

podniesie ręki na kogo, jeżeli nie ma do tego powodu. Ten chłop musiał mieć powód.

— Uszer!

— Co chcecie?

— Uszer, wy rzucacie na nas ciężki kamień!

— Prawda, ja go rzucam i płaczę nad nami!

— Nie rozumiem was?

— Stoi w piśmie, że zguba żydów wyjdzie od żydów. Mieszkaliśmy między różnymi dzikimi narodami. Z tych narodów nie pozostało nic, nawet imię, a my jesteśmy. Więc my nie zginiemy od obcych narodów; zginiemy od siebie samych i nasza chciwość nas zgubi. Oto dziś Rokita zabił Chaskla. Kto powie, że się tak stało?

— Każdy powie...

— Nie, Mojsie, nie; każdy powie, że chłop zabił żyda... Rozumiecie wy, co to znaczy? Aj, Mojsie, wy macie małego syna — uczcie go, żeby on nie był zbyt chciwy. Niech nie drze za dużo, bo napisano jest, że zguba żydów od żydów idzie, od żydów wyjdzie. Wy to sobie do głowy weźcie, Mojsie, ja was proszę, a proszę was dlatego, że chciałbym, aby nasze miasteczko kwitnęło w spokoju, w handlu, w nabożności...

Długo Engelman rozprawiał na ten temat, Małka już oddawna spać poszła, sklep zamknięto, a dwaj przyjaciele jeszcze gawędzili.

Dopiero, kiedy zegar wydzwonił północ, filozof czarnobłocki podniósł się z ławy.

— Czas już iść — rzekł do Mojsia.

— Spać?

— Nie, nie mógłbym zasnąć przy takich ciężkich myślach.

— Dobranoc wam, Uszer!

— Dobry rok, Mojsie!

.....
Upłynęło kilka lat.

Czarnebłoto jest takie samo, jak dawniej, tylko na kirkucie przybyło kilkanaście nowych słupków. w brudnych izbach znaczna ilość kołysek, a warstwa śmieci proporcjonalnie zgrubiała.

Obliczono, że na sążeń śmieci trzeba trzech dziadków.

Mojsie Fisch, Jankiel Bas, Dawid Śliwka, Hil Glancman, Uszer Engelman, ci najpierwsi na całe miasto obywatele, żyją w dobrym zdrowiu, tylko postarzeliby się cokolwiek. Srebrne nici wplątały się w ich brody, padły na skronie, niby szron zimowy.

To srebro dostaje się ludziom w udziale za wysługę lat; ono wskazuje, że mąż dojrzeźwa, niby gruszka na drzewie i że niby gruszka z drzewa, może niebawem spaść na ziemię, aby więcej nie powstać.

Mojsie Fisch twierdzi, że taki srebrny patent

dostaje się ludziom darmo, dlatego, że za pieniądze niktby wykupić go nie chciał.

Cały kahał uznał, że Mojsie Fisch ma rację, że powiedział, przypadkiem zapewne, mądre słowo.

Małe bachorki, wyszedłszy z kołysek, wzrastały na pociechę ojców i matek. Abramek Mojsia robił się coraz piękniejszy, głowę miał ostrzyżoną przy samej skórze, a od obu skroni zwieszały mu się na twarz dwa śliczne, czarne, lśniące, aksamitne pejsy, niby dwie pijawki dobrego gatunku, które już się dobrze krwi nassały i zamierzają lada chwila odpaść.

Mądre to dziecię; jeszcze dziesięciu lat nie došlo, a już było biegle w prawie i umiało na pamięć wszystkie przyczyny, dla których mąż może żonie dać rozwód.

Małka pyszniła się swoim synem. Może ze względu na jego zdolności nadzwyczajne, na nabożność Mojsia, na zasługi przodków, dyabeł z Małki wyszedł, jak się zdaje, na zawsze.

Jak się zdaje, gdyż kto może ręczyć za przyszłość, za kobietę i za dyabła? Spółka rozwiązana chwilowo może znów przyjść do życia.

Tymczasem zerwanie było widoczne.

Małka zaniedbała się zupełnie w elegancyi. Na miejsce Różańskiego przybył do Zatraceńca dzierżawca, człowiek stary, nudziarz, któremu, jak się zdawało, życie obrzydło.

Do kogo było się stroić? Małka, widząc, że to się nie oplaca, przestała się myć i zaczęła chodzić prostemi drogami, co znać było na jej przydeptanych trzewikach i spódnicy tak zaszarganej uczciwie, że i stara Rypsowa nie mogła się taką pochwalić. Miejsce gorsetów i staników do figury, zastąpił kaftan, bogaty w plamy od oliwy i nafty.

Mojsie był w siódmym niebie; rozkoszował się on myślą, że nareszcie ma naprawdę żonę według serca, bez głupich fanaberyj i bez zalotności dyabelskiej, która uczciwemu mężowi spokój i sen odbiera.

O Rokicie mało kto już wspomina, tylko żydówki dzieci małe nim straszą.

Wasążek słowa dotrzymał. Za grzechy swoje wielkie poszedł kościołowi służyć, straszliwym basem pieśni nabożne śpiewa, w kościele usługuje, zakrystyanem jest. Żonę sprowadził do siebie, ale w chałupie jego szwagier siedzi i grunt Wasążka obrabia. Jukiel głowę sobie łamie, w jaki sposób te różne symulacye zwalić, a szlachciura śmieje się tylko.

— Niech biorą — mówi — co chcą, ale niech sobie zębów nałamią, nim ukąszą. Miałem kapusty narobić i narobiłem — niech jedzą!

W Brzozówce dobrze i na Majdanie dobrze. Jadvinia ślicznie wyrosła, trochę spoważniała. Ciotka Gertruda o wyprawie dla niej myśli, bo bliski

kuzyn pana Stanisława do Brzozówki zajężdza i bardzo się Jadwini zaleca.

Borecki gospodaruje i cieszy się wnukiem, psutym, rozpieszczanym przez ciotkę. Malec wygląda jak bryś, a takie mądre ma oczy, takie mądre, że niesposób opisać.

Dziadowi Błażejowi zmarło się; pochowany jest w Zimnej Woli, na cmentarzu, pod samym parkanem. Pani Zawadzka krzyż na jego mogile kazała postawić.

Jest noc letnia, po niebie płynie pełny księżyc.

W Czarnembłocie przed domem siedzi samotnie Uszer Engelman. Rozmyślał on długo, długo o swoim miasteczku i zaczął modlić się za nie.

— Błogosławione — mówi — Imię Tego, który nas umiłował; błogosławione Imię Tego, który nas zachował; błogosławione Imię Tego, który nam dał dziedzictwo świata.

A potem, cichym szeptem, jakby w obawie, żeby go kto nie usłyszał, dodaje:

— Panie świata! pohamuj chciwość ich! Panie świata! daj im pomiarkowanie i rozum! Panie świata! ukróć żarłoczność ich, aby nie sprawdziły się słowa, że zguba nasza od nas samych wyjdzie!

K O N I E C.



**INSTYTUT
BADAŃ LITERACKICH PAN**

Biblioteka

ul. Nowy Świat Nr 72

00-000 Warszawa

Tel. 26-68-63, 26-52-31 w. 42

F
1293